



STEFAN KRZYWOSZEWSKI

TEATR

NOC SYLWESTROWA
ZMARTWIENIE
PANA HAMMELBEINA
EDUKACJA BRONKI

INSTYTUT
BADAŃ LITERARNICH PAN
Biblioteka
ul. Nowy Świat Nr 72
00-230 Warszawa
Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

W A R S Z A W A • 1 9 3 2

NAKŁADEM KSIĘGARNI E. HOESICKA

<http://rcin.org.pl>



DRUK. GALEWSKI I DAU, WARSZAWA

<http://rcin.org.pl>

1833

NOC SYLWESTROWA

KOMEDJA KARNAWAŁOWA W 3-CH AKTACH

(AKTY I i II W 2-CH ODSŁONACH)

O S O B Y :

Artur	lat 44
Iza — jego żona	„ 32
Wanda — jego siostra	„ 25
Henryk — narzeczony Wandy	„ 36
Andrzej	„ 30
Djonizy — służący Artura	„ 46
Frania — pokojówka	„ 28
Szóstka	
Troszkie	
Piotr	
Barman	
Cygan	
Smutny Pan	
Podejrzany Gość	

Maski — goście maskaradowi

A K T I.

O d s ł o n a 1.

(Scena przedstawia duży hall w willi w Mokotowie. Naprzeciw widzów — rozgałęzione schody, łączące galerję, która półkolem obejmuje scenę. Schody i galerja posiadają ciężką balustradę dębową. Na bokach galerji drzwi do poszczególnych pokojów, nawprost widowni — górne okna. Między rozgałęzieniem schodów, w głębi, troje drzwi szklanych.

Hall umeblowany pięknie. Na przodzie sceny wygodne meble, szeroka kanapa z mnóstwem ładnych poduszek, fortepian, przykryty kosztowną makatą. Wielki komin. Obrazy, dzieła sztuki, kunsztowne meble.

Na lewo drzwi do kredensu, na prawo dwoje drzwi: jedno do jadalni, drugie do pokoju Artura.

SCENA 1.

FRANIA — ARTUR — DJONIZY — SZOFER

(Frania wchodzi z lewej strony, niosąc tacę z pierwszym śniadaniem. Postawiła tacę na stole, rozejrzała się, idzie ku drzwiom na prawo).

FRANIA *(w drzwiach)*. — Śniadanie podane!

ARTUR *(za drzwiami)*. — Dobrze... Zaraz idę...

(Frania cofnęła się; w drzwiach pojawia się Artur, w kamizelce, za nim Djonizy z marynarką w ręku).

ARTUR (*do Frania*). — Czy waliza zamknięta?

FRANIA (*spojrzała na walizę, położoną na krzesle*). — Zdaje się, że zamknięta... (*pochyliła się, próbuje*). Zamknięta.

ARTUR — Niech Frania zawoła szofera. Może zabrać. (*mocuje się z marynarką, którą usiłuje mu nałożyć Djonizy*). Djonizy zawsze mi nadstawia kieszenie. (*niecierpliwie*). Rękaw! Rękaw!

DJONIZY — Jaśnie pan jest zdenerwowany... (*Francia poszła do drzwi środkowych w głębi, wyszła przed dom*).

ARTUR — Wcale nie jestem zdenerwowany. I wogóle tego rodzaju spostrzeżenia Djonizy może zachować dla siebie. (*usiadł przy stole, rozbił nożem jajko*). Biało wcale nie ścięte! (*z żalem*). Czy ja już w domu nawet jajek na miękko nie mogę jadać? Cztery minuty!

DJONIZY — Ja zawsze mówię kucharce: jaśnie pan lubi cztery minuty! Ale Karolina, to taki patałach...

ARTUR — Co takiego?

DJONIZY (*delikatniej, nieco stropiony*). — Patałach...

ARTUR — Djonizy nie zna przyzwoitszych wyrażień?...

DJONIZY — Owszem, ale jak ktoś jest patałach, to nie można go nazywać ananase. (*zabiera talerz z jajkami*). Włożę do ukropu.

ARTUR (*nalewa kawę do filiżanki*). — Nie mam czasu... Nie chcę!

(*Francia wraca z szoferem, przyodzianym w duże futro, pokazuje mu walizę*).

DJONIZY (*perswaduje*). — Jaśnie pan pozwoli... zaraz się dogotują.

ARTUR (*zniecierpliwiony*). — Nie chcę... I wogóle niema potrzeby, żeby Djonizy mię namawiał! Nie chcę!

SCENA 2.

CIŻ — IZA

(*Iza pojawiła się na galerji, w rannym penjuarze. Wychyliła się ponad balustradę.*)

IZA — Co się stało?

ARTUR (*pije kawę*). — Nic! Nic!

DJONIZY (*z ubolewaniem*). — Jajka znów niedogotowane...

ARTUR (*do Izy, z łagodną wymówką*). — Miałaś zostać w łóżku?

(*Iza schodzi po schodach.*)

IZA — Nie mogłam już spać...

(*Siada obok Artura. Djonizy zabrał jajka i z godnością wychodzi na lewo. Szofer wziął walizkę, zamieniwszy kilka wymownych spojrzeń i uśmiechów z Franią — i wyszedł drzwiami w głąb. Frania go przeprowadziła, otworzyła mu drzwi i poszła za Djonizym na lewo.*)

IZA (*z utajonym żalem*). — Więc jedziesz?

ARTUR (*lekko zdziwiony*). — Naturalnie, że jadę.

IZA (*spojrzała w oszklone drzwi w głąb*). Śnieg z deszczem... Gorszej pogody nie mogłeś wybrać...

ARTUR — Samochód zamknięty.

IZA — Nie żał ci zostawiać mnie samą?... W wigilję nowego roku?

ARTUR — Sama wiesz, że muszę... Pewno, że gdybym mógł... A, nie, to nie jest wycieczka dla przyjemności... (*zmiana tonu*). Taczkami wywożą nam dyrektora z fabryki... Rozumiesz? Taczkami!

IZA — Ty w tych taczkach widzisz tragedję!

ARTUR — Bo tak jest! To jest rzecz wprost niesłychana! Za tydzień przyjadą z taczkami tutaj... A nie, przepraszam, to nie ze mną! Przedewszystkiem — porządek! Winien dyrektor? Zapłaci. Winni robotnicy? Zapłacą. U mnie musi być wszystko, jak w zegarku... (*skończył pić kawę, odsuwa filiżankę*). Jak w zegarku! (*wstaje*).

IZA (*bierze go za rękę*). — Zostań!

ARTUR (*całuje ją w rękę, ciepło, lecz stanowczo*). — Nie mogę.

IZA — Będzie mi smutno. Nowy Rok trzeba zaczynać razem.

ARTUR — Zaczniemy go jutro. Czy to nie wszystko jedno?

IZA — Nie.

ARTUR (*śmieje się*). — Przesąd.

IZA — Być może, ale skoro go odczuwam, jest dla mnie prawdą. Nowy, rozpoczynający się rok jest zawsze tajemnicą. Niewiadomo, co przyniesie, jakie ziści pragnienia...

ARTUR (*patrzy jej z pobłażliwym uśmiechem w oczy*). — Czy ty jesteś niezadowolona z tego, co masz?

IZA — Nawet człowiek szczęśliwy może pragnąć szczęścia jeszcze wyższego, innego... Człowiek musi pragnąć...

ARTUR — Tego nie rozumiem! Dla mnie, stan idealny, to kiedy się już wszystko ma, kiedy się niczego nie pragnie! A wtedy jeden dzień musi być podobny do drugiego.

IZA — Tylko my nie jesteśmy nigdy ci sami.
(z oczu Izy płyną łzy, on to spostrzegł, zdumiony).

ARTUR — Ty płaczesz?

IZA (prędko osusza oczy). — Nie... nie... to tylko nerwy...

ARTUR (bierze ją za rękę, czulej). — Wstydź się! Taka dorosła kobieta i nerwy! Sprowadzimy pani lekarza, wyślemy na kurację.. (zmiana tonu). Wanda śpi?

SCENA 3.

CIŻ — WANDA

(Na galerję wyszła ze swego pokoju Wanda).

WANDA (wesóło z galerji). — Nie śpi. (schodzi po schodach). Więc jednak jedziesz! (zatrzymała się).

ARTUR (urazony). — Bez żadnego jednak! Poprostu jadę.

WANDA (ton lekko uszczypliwy). — Trudno. (schodzi).

ARTUR — Moja droga, rozumiem jeszcze Izę! Ale ty masz narzeczonego...

WANDA — Mam narzeczonego.

ARTUR — Więc o cóż ci chodzi?

WANDA — O nic mi nie chodzi.

IZA (*z uśmiechem*). — Czy nie moglibyście sobie powiedzieć przynajmniej: dzień dobry?

ARTUR (*całuje Wandę w czoło*). — Nie, bo to byłby impuls do dalszej wymiany zdań, a ja nie mam czasu.

WANDA — Bardzo dobrze, że jedziesz. Dziś przeszkadzałbyś nam tylko.

ARTUR (*śmieje się*). — Nie przerażisz mię! Henio zostaje na posterunku... (*do Izy*). A Henio!... Nie mam powodu do obaw. Wino kazałem wstawić do kredensu. (*do Wandy*). Znamy się, prawda? (*Ona nie odpowiada — do Izy*). Znamy się, czy się nie znamy?

IZA — Nie wiem.

ARTUR (*zdziwiony*). — Jakto, nie wiesz?

IZA — Nie wiem. Tobie się wydaje, że mię znasz. Ja mam czasem wrażenie, że ciebie znam... i zwykle przekonywam się, że się myliłam...

WANDA — Ja go znam! Na wylot.

ARTUR (*odcina się*). — A ja ciebie!

WANDA — Ani trochę.

ARTUR (*pewny siebie*). — Niech i tak będzie. Ani trochę. (*do Izy, czulej*). Ciebie tak samo. Ani trochę! (*dzwoni na służącego*). Jutro wznowimy tę dyskusję.

IZA — Po co?

ARTUR (*stropiony*). — Po co? (*zorjentował się*). Możemy nie wznawiać.

SCENA 4.

CIŻ — DJONIZY

(W drzwiach z prawej strony pojawia się Djonizy).

ARTUR — Mój Djonizy! Dziś przyjdzie nowy służący. Djonizy pamięta? Ten, którego rekomenduje pan Henryk..

(Djonizy skinął głową poważnie, choć, jak zawsze, z życzliwym uśmiechem).

IZA — Wolałabym, żebyś ty sam...

ARTUR *(przerywa)*. — Djonizy wszystko mu wytłumaczy. *(do Djonizego)*. Chodzi o to, żeby się poduczył, zanim weźmiemy go na wieś.

DJONIZY *(pobłażliwy)*. — A on wieś lubi?

ARTUR — Podobno lubi... Futro! *(do pań, z lekką ironją)*. Bo Djonizy nie lubi wsi.

(Djonizy idzie z godnością w głąb po futro).

WANDA — Ja go rozumiem!

IZA *(nagle)*. — Nie wzięłaś ciepłej kamizelki! Nie zgadzam się... Na taką pogodę? Musisz wziąć ciepłą kamizelkę!

ARTUR — Nie, moja droga, błagam cię, nie mam czasu! *(spojrzał na zegarek)*. Już i tak straciłem pół godziny!

IZA *(stanowczo)*. — Wszystko jedno! Tak cię nie puszczę... *(Djonizy niesie futro)*. Djonizy! Proszę dać panu ciepłą kamizelkę.

ARTUR *(stanowczo)*. — Djonizy! Proszę podać mi futro!

(Wobec dwóch sprzecznych rozkazów Djonizy, z futrem w rękę, nie rusza się z miejsca. Uśmiecha się z życzliwą ironją).

ARTUR *(rozkazującym tonem)*. — Nie słyszałeś? Prędko!...

WANDA *(podpowiada)*. — Ciepłą kamizelkę...

ARTUR *(powtarza mimowoli)*. — Ciepłą kamizelkę. *(Djonizy rozjaśnił twarz szerokim, zadowolonym uśmiechem i idzie na prawo)*. *(Artur pogodził się z losem, do żony, z uśmiechem)*. Jeśli jeszcze będziesz twierdzić, że ci nigdy nie ustępuję..

(uśmiechają się do siebie).

IZA — Czasem... w drobiazgach!

ARTUR *(czuły)*. — Bardzo mię kochasz?

IZA *(lekko zdziwiona tem pytaniem)*. — Wcale cię nie kocham.

ARTUR — Dlaczego?

IZA — Nie wiem. Ale nie kocham cię wcale!

ARTUR *(szczerze)*. — Jak ty się nie znasz!

(Iza wzruszyła ramionami, uśmiecha się. Artur idzie za Djonizym na prawo. W drzwiach odwrócił się).

ARTUR *(do Wandy)*. — Jędza!

(Frانيا weszła sprzątać śniadanie).

SCENA 5.

IZA — WANDA — FRANIA

WANDA — Ja nie zostanę dziś wieczorem w domu! Tak we trójeczkę z Henrykiem? Za nic w świecie!

(Dzwoni telefon, Frania podchodzi do aparatu).
FRANIA — Aloo!... Tak... Zaraz poproszę... *(do Wandy)*. Pan Henryk prosi panienkę.
WANDA *(wzięła do rąk słuchawkę — do Izy)*. — Raz w porę. *(do aparatu, zalotnie)*. Dzień dobry! Już pan wstał? *(słucha z udanym podziwem)*. Ho! Ho! *(słucha)*. Artur wyjeżdża. Naturalnie, że będziemy na pana czekać... *(słucha)*. O siódmej? *(porozumiewa się spojrzeniem z Izą)*. Nie, to zawcześnie... O dziewiątej! Ale we fraku... *(słucha)*. Nudny pan jest! Ma pan być we fraku, słyszy pan? I ma pan przynieść lożę na redutę... Co, zemdłał pan? Nie? Chwała Bogu... loża i frak, reszty pan się dowie... *(pobłaźliwie, z lekkim persyflazem)*. Dobrze, niech pan całuje... *(z udanym podziwem)*. I lewą też? Proszę... *(śmieje się)*. Do widzenia! *(do Izy)*. Bardzo zaniepokoił go frak... a już loża... *(sposstrzega wychodzącego Artura)*. Cyt!

SCENA 6.

IZA — WANDA — ARTUR — DJONIZY

ARTUR *(wchodzi w futrze, za nim idzie Djonizy)*.

IZA *(wstaje żywo z fotela, podchodzi do męża, rozpina futro, sprawdza, czy ma kamizelkę)*. — Pokaż...

ARTUR *(śmieje się)*. — Rewizja osobista?

IZA — Alboż tobie można wierzyć? *(sprawdziła)*.

No, dobrze...

ARTUR — Mogę cię teraz pocałować?

IZA — Jeśli to uważasz za konieczne!..

ARTUR — Za nieodzowne!

IZA — Proszę cię!

(Nadstawia mu usta. Przyzwoity, czuły pocałunek małżeński).

ARTUR *(objął ramieniem Wandę, która się doń zbliżyła, całuje ją w czoło)*. — Do widzenia rozpustna dziewczyno! Proszę cię, nie myśl o mnie!

WANDA — Nie będę mogła! A uważaj, żeby i ciebie nie wsadzili do taczek!

ARTUR — Jędza!

(idzie w głąb, poprzedzony przez Djonizego. Iza odprowadza go kilka kroków).

ARTUR *(odwrócił się, jeszcze raz całuje Izę w rękę)*. — Do widzenia!

(Djonizy otworzył drzwi, przepuszcza Artura i wychodzi za nim. Po chwili słychać terkot motoru, hałas ruszającego samochodu).

SCENA 7.

WANDA — IZA — DJONIZY

WANDA *(zapala papierosa)*. — Pojedziemy na Redutę... a potem zajrzemy do jakiego dancingu.

IZA *(uśmiecha się)*. — Tylko tyle?

WANDA — Co najmniej!

IZA — Henryk nigdy się nie zgodzi. I Artur miałby żal!...

(Djonizy wraca).

WANDA *(porywczo)*. — Potem, to już wszystko jedno!

DJONIZY (*stanął przed Izą*). — Przepraszam jaśnie panią...

IZA (*łagodnie*). — Czego Djonizy chce?

DJONIZY — Czy jaśnie pani nie byłaby łaskawą... udzielić mi dziś urlopu?... Po kolacji.

WANDA (*śmieje się*). — Sylwester?

DJONIZY — Właśnie.. Panna Frania też bardzo prosi...

WANDA (*z udaniem oburzeniem*). — Chcecie iść razem? Nie pozwól im.

IZA (*śmieje się*). — Dlaczego?

WANDA (*j. w.*). — Gotów ją uwieść!

DJONIZY (*ze zwykłym lekko drwiącym uśmiechem*). — Proszę jaśnie panienki, u nas dziewczyna sama wie dobrze, czego chce... i czego nie chce..

IZA (*do Wandy z uśmiechem*). — Widzisz! (*do Djonizego*). Idźcie!... Ale nie wracajcie zbyt późno...

DJONIZY — Zaraz po północy... byle zacząć Nowy Rok..

WANDA (*porywczo*). — Wcale nie! Przeciwnie! Niech Djonizy się nie spieszy!

DJONIZY (*obleśnie*). — Na to potrzebny byłby inny kapitał!

WANDA — Niech Frania przyjdzie do mnie na górę.

DJONIZY (*skwapliwie, zawsze z tym samym uśmiechem*). — To już lepiej, jeśli ja sam! Pieniądze powinien mieć mężczyzna.

WANDA (*śmieje się*). — Żeby kobieta mogła je wydawać.

(*Djonizy skłonił się, przyznając jej słusność i z godnością odchodzi na lewo*).

SCENA 8.

IZA — WANDA

IZA (*z uśmiechem*). — Przerażasz mię! Panna z dobrego domu!..

WANDA — Obłudna burżuazka!

IZA — Ja?

WANDA (*dotyka palcami jej nosa, z czułym uśmiechem*). — Ty! Nie znam niebezpieczniejszej wyobraźni, jak twoja! Chłodna, biała lilja, a tutaj... (*dotyka jej czoła*) rwetes... Ile razy na tydzień zdradzasz przez sen Artura?...

IZA — Za sny nie odpowiadam...

WANDA — Im spokojniejsza powierzchnia jeziora, tem niebezpieczniejsza jego głębia!

IZA (*poruszona*). — A żeby tak ktoś obcy zajrzał do twojej wyobraźni!

WANDA (*roześmiała się*). — Zainteresowałby się!

IZA — Co ty przeżywasz... w nocy i w biały dzień... Ja czasem chwytam twoje spojrzenia... Jeśli ja mam imaginację... cokolwiek awanturniczą, to ty..

WANDA (*zamyka jej dłonią usta*). — Nie kończ! Piękną jest tylko prawda życia! Romantyzm, to jeszcze jedno z pospolitych oszustw... Perwersja mózgu!

IZA — Tybyś wolała perwersję zmysłów!

WANDA — Pewno! (*przeciągnęła się lubieżnie*).
Tylko ja mam dosyć teorii!

IZA (*obejrzała się*). — Chciałabyś raz wreszcie poznać wszystko... i jeszcze trochę.

WANDA — A nuż dziś na reducie... ty spotkasz zaczarowanego księcia — ja — pięknego, jak Apollo, maharadzę...

IZA (*krzywi lekko usta*). — Sama w to nie wierzysz!
(*Telefon dzwoni*).

WANDA — Jestem pewna, że nie wygram głównego losu, a jednak trzymam na loterji, żeby marzyć o wygranej... (*idzie do telefonu*). Alooo... Znowu pan?... (*słucha*). Ma pan lożę?... Pańskie szczęście... (*słucha*). Co?... Nie ma pan wielkiej ochoty? Nic nie szkodzi... Wystarczy mała. (*śmieje się do Izy*). A w ostateczności pójdzie pan bez ochoty!

Zasłona spada.

A K T I.

Odsłona 2-ga.

(Skrawek sali reductowej. Z boku wysoki bufet, za bufetem barman w białym fartuchu. W głębi, w małym wgłębieniu, podjum. Obóz cyganów, którym przywodzi stary cygan ze skrzypkami w rękę. Maski, kostjumy, panowie we frakach. Cała dekoracja jest tak skomponowana, żeby się mieściła — przy usunięciu części mebli — w dekoracji z pierwszej odsłony, aby zwłaszcza nie potrzeba było ruszać schodów z tej pierwszej dekoracji i, ażeby przerwa między I a II odsłoną nie trwała dłużej, niż dwie minuty.

Między I a II obrazem niema antraktu. Gdy po pierwszym obrazie zapada kurtyna, widzownia pozostaje w ciemności. Wnet odzywa się jakby oddalona muzyka. Z początku brzmi jak dalekie echo, zbliża się, głośniejsza, aż wreszcie brzmi coraz hałaśliwiej, słycać gwar i okrzyki rozbawionego tłumu. Nagle uderza śpiew chóru cygańskiego. Dopiero po pierwszej zwrotce zasłona podnosi się. Cyganie gestykulują i śpiewają z wielkim temperamentem drugą zwrotkę. Maski i goście skupili się koło nich).

MASKA (zbliża się do samotnego i smutnego pana, który gapi się dość bezmyślnie na cyganów) — piskliwie). — Znam cię, stary bałamucie!

SMUTNY PAN (obejrzał się, sądząc, że ona mówi nie do niego). — Pani bierze mię za kogo innego...

MASKA — Właśnie, że nie.. (wsuwa mu rękę pod ramię i szepce coś do ucha). No, teraz się pan do mnie nie uśmiechnie?

SMUTNY PAN — Owszem.

(Wykrzywia twarz grymasem, który ma być uśmiechem).

MASKA — Mocniej!

(Smutny pan jeszcze silniej wykrzywia usta. Cyganie śpiewają drugą zwrotkę. Z prawej strony wchodzi Frania, przebrana za krakowiankę. Prowadzi na łańcuszku niedźwiedzia. Niedźwiedziem, w lichą skórę zaszytym, jest Djonizy. Stanęli oboje za Smutnym Panem. Gdy cyganie skończyli drugą zwrotkę, Djonizy, korzystając z przerwy, ryknął z lekka nad jego uchem. Smutny Pan odskoczył przerażony).

SMUTNY PAN (bardzo obrażony). — Także pomysł! Przyszedł na maskaradę i ryczy! Pan idź ryczeć do lasu.

FRANIA (uprzejma). — On nie gryzie, proszę pana. Nie potrzebuje się pan obawiać.

SMUTNY PAN (j. w.). — Ja się wcale nie boję, ale tu ryczeć nie wolno.

GŁOSY — Wolno! nie wolno! wolno!

STARY CYGAN (który przywodzi bandzie — czarna gęsta, nie dość dokładnie przymocowana broda zasłania mu całą nieomal twarz, w uchu duża srebrna obrączka — surowo). — Cicho! (głosy: cicho!)

(Cyganie śpiewają trzecią zwrotkę. Gdy kończą, rozlegają się okłaski. Djonizy, chcąc zaznaczyć swe

uznanie, ryknął zlekka Smutnemu Panu nad uchem.
Ten znów odskoczył).

SMUTNY PAN (*groźnie*). — Panie, ja sobie wypraszam...

PODEJRZANY GOŚĆ (*akcentem z Woli, życzliwie, do Smutnego Pana*). — Nie masz pan pistoleta? Najlepiej zastrzelić!

FRANIA (*urazona*). — Proszę pana, tutaj nie można strzelać!

PODEJRZANY GOŚĆ — A ryczeć można? Takie bydlę powinno siedzieć w menażerji!

MASKA (*przy Smutnym Panu*). — Albo w Ogrodzie Zoologicznym!

FRANIA — Niech pani go nie drażni... On jest z natury łagodny, ale gdy się rozżłości..

STARY CYGAN — Te... krakowianka! Dawać tu niedźwiedzia. Niedźwiedź jest nasz!

FRANIA — Jeszcze czego!

CYGANIE — Dawać niedźwiedzia! Dawać niedźwiedzia!

(Djonizy, nieco wylękniony, porykuje i chce umknąć na prawo. Cyganie szarpia go, usiłują wyrwać łańcuszek z rąk Frani. Ona nagle spostrzega, że z prawej strony wychodzi Iza i Wanda, obie w maskach i dominach, oraz Henryk. Parę kroków za nimi idzie Andrzej. Frania gwałtownie skręca na lewo. Robi się zamieszanie. Krzyki, śmiechy, Podejrzany Gość gwizdnał przeciągle, znów nad uchem Smutnego Pana, który drgnął przerażony).

FRANIA (*do Djonizego*). — Prędko.. tędy... (*przeciska się szybko, wybiegają*).

WANDA — Co tu się stało?

(Opodał stanął Andrzej).

HENRYK — Nie wiem... Taki krzyk, że nic zrozumieć nie można...

WANDA *(do Izy, wzrokiem wskazuje Andrzeja).* — Czy on nas wreszcie zaczepi?

IZA — Nie ma odwagi.

WANDA — Ja go ośmielę. *(zmienia ton, udaje bardzo obrażoną, do Henryka, głośno).* Ja pana proszę, niech pan mi da spokój. Wymawiam sobie takie żarty...

HENRYK *(zdziwiony, bo nie wie, o co jej chodzi, wybałuszył oczy).* Przepraszam... Pani do mnie?...
(Iza wchodzi w grę Wandy).

IZA *(do Henryka, z utajonym uśmiechem).* — Pan naprawdę staje się natrętnym!

HENRYK *(coraz bardziej urażony).* — Ja proszę, żeby panie powiedziały jasno, wyraźnie..

ANDRZEJ *(odsuwa go lekko i staje między nim a Izą i Wandą).* — Łaskawy panie, czy pan nie zdaje sobie sprawy, że te panie nie życzą sobie pańskiego towarzystwa?

HENRYK *(zdumiony i zarazem oburzony).* — Co takiego? Skąd pan się tu miesza? Ja pana wcale nie znam.

(Wanda ledwo może poskromić radość. Iza odczuwa ją łagodniej, jest przytem nieco przestraszona).

ANDRZEJ *(wyniosły, lecz uprzejmy).* — To niema nic do rzeczy... *(do Izy i Wandy).* Czy panie godzą się na dalsze towarzystwo tego pana?

WANDA (*j. w.*). — Nie.

IZA (*j. w.*). — Tak.

(*Henryk mówi do pań pocichu*).

ANDRZEJ (*do Henryka, surowo*). — Potajemna agitacja jest zakazana. To nie jest fair play...

HENRYK (*zły*). — Proszę pana, ja nie potrzebuję nauk... (*do pań*). Wracamy do łoży. A może panie zgodziłyby się całkiem opuścić ten lokal? To był wogóle szalony kaprys!

IZA (*z akcentem żalu*). — I wrócić do domu?

HENRYK — Pewnie!

WANDA (*energicznie*). — Nigdy!

IZA — Jeszcze tak wcześnie!..

WANDA (*do Andrzeja*). — Panie, ten człowiek chce, żebyśmy wracały do domu!

ANDRZEJ (*mierzy surowym wzrokiem Henryka*). — Do domu? O tej porze? To jest przewidziane w kodeksie karnym. Namawianie do czynów występnych...

IZA (*do Henryka*). — Słyszysz pan? (*do Wandy*).
Prawnik.

WANDA (*do Andrzeja tonem skargi*). — I do tej pory nie postawił nam szampana!

ANDRZEJ (*ze wzmożoną surowością*). — Co? Nie postawił szampana? Takim aniołom?

WANDA — Prawda? Pan jest zacnym człowiekiem...

HENRYK (*strofuje ją*). — Panno Wando!

ANDRZEJ — Zdajemy go na pastwę wyrzutów sumienia! (*do Wandy*). Mógł postawić butelkę i nie chciał?

WANDA — Tak!

ANDRZEJ — Okoliczności bardzo obciążające. Pa-
nie pozwolą!... (*bierze je bez ceremonji za ręce
i prowadzi do bufetu*). Dwie butelki Veuve
Cliquot! (*do Henryka, który bezradny idzie za
niemi*). Etykieta pomarańczowa?

HENRYK (*bezwiednie*). — Owszem... pomarańczo-
wa. (*do Izy, z uznaniem*). Na winie się zna..
(*Cyganie brzdąkają jakąś melodję na swych instru-
mentach*).

WANDA (*do Henryka*). — Niech pan da papierosa...
(*do Andrzeja*). Tutaj można palić?

ANDRZEJ — Niechby spróbowali zabronić! (*podał
jej ogień — do Henryka poważnie*). W której
z tych pań pan się kocha?

HENRYK (*obruszony*). — Proszę pana, ja nie mam
zwyczaju zwierzać się nieznanym...

WANDA (*przerywa*). — We mnie! (*do Henryka*).
Tak czy nie?

HENRYK — Owszem... ale wolałbym...

ANDRZEJ (*przerywa, z autorytetem*). — Pani nie
będzie z tym panem szczęśliwa. Nie chcę pani
zrażać, powiem tylko: ze mną byłaby pani znacz-
nie szczęśliwsza...

WANDA (*do Henryka*). — Widzi pan!

ANDRZEJ (*do Izy*). — Pani zatem jest wolna. Skła-
da się doskonale. Bo ja dziś również jestem wol-
ny. Będzie mi szaleć.

IZA (*łagodny uśmiech*). — Musi pan nas nauczyć,
jak się to robi...

ANDRZEJ — Pani się zdziwi, jakie ja posiadam ta-
lenty pedagogiczne. Niezrównane!



WANDA (*poważnie*). — Metoda skrócona?

ANDRZEJ (*tak samo*). — Oczywiście. Niech panie raczą usiąść. (*wskazuje wysokie stołki bez poręczy*).

HENRYK (*wskazuje na barmana, który otworzył dwie butelki i nalewa szklanki*). — Dlaczego oni otwierają odrazu dwie butelki?

ANDRZEJ — Później otworzą dwie następne, niech pan się nie boi.. (*do Izy*). Proszę... (*pomaga jej wejść na stołek, potem Wandzie*).

IZA — To bardzo wysoko...

WANDA (*uradowana*). — Ach, jak to zabawnie!

ANDRZEJ (*usiadł obok nich, przysuwa im szklanki*). — Pierwsza szklanka do dna!

IZA — Jabym się odrazu upiła!

(*Henryk spróbował wejść na stołek, ale bezskutecznie. Przyjrzał się stołkowi nieufnie, ponawia eksperyment*).

ANDRZEJ (*obserwuje go z zajęciem*). — Zwali się!...
Trzymam sto złotych, że się zwali.

(*Stołek przechylił się i Henryk spada na Smutnego Pana, który właśnie stanął obok, gapiąc się na cyganów*).

SMUTNY PAN (*oburzony*). — Panie! Co pan robi!

To nie jest miejsce na ćwiczenia gimnastyczne!

HENRYK (*skonfundowany*). — Bardzo pana przepraszam.

(*Wanda pęka ze śmiechu, Iza stara się opanować swoją wesołość. Andrzej zachowuje powagę, pełną wewnętrznej radości*).

HENRYK (*do Wandy*). — Coś podobnego tylko mnie się może przytrafić. Pani najlepiej wie, że jestem bardzo zręczny...

ANDRZEJ (*podał mu rękę, pomógł wywindować się na stołek*). — Ten, co panu to powiedział, był skończony łajdak. Zdrowie.. (*przepija do niego*).

HENRYK (*pije; nagle odsuwa od ust szklanę, obrażony*). — Mój panie, ja sobie wypraszam ten ton... Nie mam dotąd zaszczytu znać pana...

(*Cyganie rozproszyli się, chwilowo robi się na scenie bardziej przestrono i cicho. Słychać tylko oddaloną muzykę i echa dalekiego zgiełku*).

ANDRZEJ — Skoro tylko panie zdejmą maski, niezwłocznie się przedstawię.

WANDA (*drwiąco*). — Ma pan przed sobą dużo czasu.

ANDRZEJ — Tem lepiej, droga pani, tem lepiej. E, to nie jest żadne tempo... (*trąca się z Izą i nuci wcale głośno parę taktów piosenki z „Cavalerji”*). Viva l'vino spumegiante!...

(*Piją. Henryk spojrział z ukosa na śpiewającego Andrzeja: widocznie nie uważa tej dezynwoltury za właściwą*).

IZA (*do Andrzeja*). — Pan jest bardzo miły!

BARMAN (*stawia przed niemi talerzyki*). — Migdałki solone?

ANDRZEJ — Dawać! (*do Izy*). Ja dopiero zyskuję przy bliższem poznaniu, (*wskazuje na Wandę, która rozmawia z Henrykiem*). Mąż?

IZA — Gorzej! Narzeczony!

ANDRZEJ — Uwierzytelniony kandydat! (*zmiana tonu*). Nie wiem, czy pani jest ładna, ale głos... głos pani jest jak aksamit!

IZA (*ton lekko drwiący*). — Chwała Bogu, że chociaż to! Bo reszta!

ANDRZEJ — Żle?

IZA (*j. w.*). — Bardzo.

ANDRZEJ — Ja jestem ryzykant. Idę.

IZA — Nie zaprzeczy pan, że ostrzegałam.

ANDRZEJ (*głośniej*). — Idę.

HENRYK (*zdziwiony*). — Gdzie pan idzie?

ANDRZEJ (*śmieje się*). — Bez pana. (*do Izy*). A, nie, bez niego, prawda?

HENRYK (*obrażony*). — Pan ma sposób wyrażania się, który mi się nie podoba. Co to jest: bez niego?

ANDRZEJ (*podniósł palec do góry, surowo*). — Niego!

HENRYK (*nie zrozumiał*). — Więc co?

WANDA (*do Henryka*). — Pan nie umie się bawić na maskaradzie. (*trąca się szklanką z Andrzejem*). Zdrowie!

HENRYK (*pije, potem do Andrzeja*). — Proszę pani! Czyż to wogóle jest zabawa dla ludzi inteligentnych! (*do Andrzeja*). Pan nie jest może człowiekiem z towarzystwa, ale pan jest człowiekiem inteligentnym, prawda?

ANDRZEJ (*stanowczo*). — Nie, panie.

HENRYK (*zdumiony*). — Jakto, pan nie jest inteligentny?

ANDRZEJ (*jak wyżej*). — Nie. Ja już dawno straciłem wiarę we własną inteligencję!

(*Iza i Wanda śmieją się*).

WANDA — Pan jest szalenie miły! (*wyciągnęła ku niemu rękę ze szklanką wina*). Jeszcze raz! (*piją*). (*Na podjum znów gromadzą się cyganie. Przygotowują się widocznie do jakiejś produkcji, słychać brzdąkanie instrumentów; dokoła podjum skupia się coraz więcej gości*).

ANDRZEJ — Gdyby serce moje było wolne, zabiłbym pani ukochanego. (*wskazuje ręką Henryka*).

WANDA (*klasnęła z radości w dłonie*). — Panie! Jak ja bym chciała przeżyć taki dramat!

HENRYK (*obrażony*). — Dziękuję pani!

ANDRZEJ (*spogląda czule na Izę*). — Lecz serce moje nie jest wolne... (*przyciska ramię Izy do swego*).

IZA (*odsuwa się*). — Panie, wylewa pan wino.

ANDRZEJ (*do barmana, który od dłuższej chwili wybałuszył ślepie na ładną cygankę*). — Panie barman! Pan sobie zwichniesz oko! Szklanki puste!

BARMAN (*cokolwiek skonfundowany*). — Przepraszam. (*nalewa*).

STARY CYGAN (*stanął pośrodku swej trupy na podjum, szerokim gestem usiłuje zapanować nad zgielkiem*). — Cicho! Nędzna hołoto! Ucisz się! Uciszcie się, młode gapie, stare pierniki i wy, zamaskowane potwory! Usłyszycie pieśń namiętności i bólu, prawdziwą pieśń cygańską...

ANDRZEJ *(ze swego krzesła)*. — Obraziłeś mię,
stary zbóju! Muszę cię zakatrupić! *(do barmana)*.
Broni!

BARMAN *(rozkłada ręce z uśmiechem)*. — Nie trzy-
mamy!

JEDNA Z MASEK *(piskliwie)*. — Ja jestem Bronia!
Proszę!

ANDRZEJ — Ale nie jesteś armatą... *(śmiechy)*.
Armaty! Dajcie mi choć małą armatkę!

PODEJRZANY GOŚĆ *(do Andrzeja)*. — Armaty by-
li, ale wyszli! Daruj mu pan życie! On ma je-
szcze tyle świństw do zrobienia!

(Henryk oburzony).

*(Stary cygan pokazuje Andrzejowi całą gamę ge-
stów, że mu zaschło gardło i że chętnie napiłby się
szampana. Andrzej śmieje się, odmawiając ruchem
głowy)*.

ANDRZEJ — Niema tak dobrze! Wody!

STARY CYGAN — Szkodzi mi na wątrobę.

(Młoda Cyganka wystąpiła na przód podjum).

GŁOSY — Cicho!

STARY CYGAN — Cicho!..

*(Gwar milknie, cyganie zaczynają grać. Cyganka
śpiewa tęskną, dziką pieśń)*.

IZA *(po pierwszej zwrotce, widocznie poruszona)*. —
To jest naprawdę piękne!

ANDRZEJ — Chce pani podejść bliżej?

*(Iza skinęła głową, Andrzej zeskoczył ze swego
stołka, pomaga zejść Izie. Oboje podchodzą bliżej
do cyganów)*.

(Cyganka śpiewa dalej. Gdy kończy, rozlegają się oklaski).

HENRYK *(ciągnie dalej rozmowę z Wandą).* — Pani daruje, to może okazać się wielką nieostrożnością i Artur może mieć do mnie słuszny żal. Pani tego nie rozumie, bo pani nie zna życia... *(Tłumkoło podjum rozprasza się, Andrzej i Iza wracają ku bufetowi).* To mię tylko dziwi, że on tak stawia szampańskie... Odrazu dwie butelki! Pani wie, ile tutaj kosztuje butelka? Sto złotych! Osiem korcy żyta! dwadzieścia korcy kartofli!

(Iza i Andrzej zbliżają się do bufetu).

WANDA *(wyciąga do nich ręce).* — Ratunku!

IZA *(zaniepokojona).* — Co się stało?

WANDA *(zeskoczyła ze stołka).* — Zabierzcie tego rodaka! *(wskazuje na Henryka),* albo zamknijcie mię odrazu w więzieniu... zanim popełnię zbrodnię...

HENRYK *(dotknięty).* — Przepraszam panią, ale ja niezupełnie zdaję sobie sprawę.

(Stary Cygan przybliżył się do niego, położył mu ciężką rękę na ramieniu. Henryk drgnął i odwrócił się).

STARY CYGAN *(tajemniczo).* — Czy to pańskie wino? *(wskazuje butelkę szampana, jeszcze do połowy wypełnioną).*

HENRYK *(zmieszany).* — Tak... to jest... właściwie... *(oczyma wskazuje Andrzeja; Andrzej rozmawia żywo z Izą i Wandą. Widocznie namawia je: Wandę odrazu przekonał, Iza opiera się).*

STARY CYGAN *(nie zwraca żywszej uwagi na odpowiedź Henryka, do barmana, z autorytetem).* —

Proszę o szklanekę... (*barman podaje mu małą szklaneczkę*). Nie, większą! (*barman podaje, cygan nalewa sobie z butelki do pełna*). Zdrowie państwa!

(*Wypił do dna, postawił szklanekę na bufecie, ukłonił się wyniośle i odchodzi*).

HENRYK (*wytrącony z równowagi, do Andrzeja*). — Widział pan? Nie!... Taka bezceremonjalność, to już graniczy poprostu z bezwstydem... Panie darują... to nie jest żadne towarzystwo!

WANDA — Dlatego jest tak przyjemnie!

ANDRZEJ (*do Henryka*). — Niech się pan nie przejmuj! Pijmy! (*do barmana, który nalewa*). Pan rozkłada to nalewanie na raty... (*piją*). Prędzej!

HENRYK (*z ironicznym podziwem*). — Pan ma tempo! (*pije*).

ANDRZEJ (*półgłosem do Izy*). — Wiejemy?

WANDA (*podaje mu nieznacznie wachlarz*). — Niech pan schowa do kieszeni. (*do Henryka*). Zdaje mi się, że zostawiłam w łoży wachlarz...

HENRYK (*zdziwiony*). — Byłbym przysiągł, że przed chwilą miała go pani w ręku!

WANDA (*tłumi śmiech*). — Widzi pan, jak niebezpiecznie jest wierzyć nawet własnym oczom!

HENRYK (*zaabsorbowany*). — Rzeczywiście... byłbym przysiągł... (*złazi z trudem ze stołka*). Zaraz przyniosę. (*skłonił się lekko, idzie na lewo*).

ANDRZEJ (*gdy Henryk zniknął, do Izy i Wandy*). — A my tam! (*wskazuje na prawo*). Nie zwlekajmy... (*Iza i Wanda robią parę kroków na prawo, on wraca do barmana, ciszej i od niechcenia*).

Rachunek dla tego pana. *(wskazuje stołek, na którym siedział Henryk. Barman skłonił się poważnie. Andrzej odwraca się do pań, bierze je pod rękę, do Izy).* Teraz niech pani uchyli maski!

(Cyganie znów zaczynają brzdąkać).

IZA *(usiłuje odsunąć się).* — Nie... nie!...

ANDRZEJ — Kawałeczek!

WANDA — Ani kawałeczka!

ANDRZEJ — Potwór!

IZA — Ja jestem już zupełnie pod gazem!

WANDA — A ja!

ANDRZEJ — Avanti! *(wybiegają na prawo).*

(Z lewej strony wychodzi Frania z niedźwiedziem, oblegana dość natarczywie przez paru młodych ludzi, między którymi przewodzi Gość Podejrzany. Udają ostre szczekanie psów.

Drażnią niedźwiedzia, on porykuje, widocznie zmęczony).

STARY CYGAN — Panna nie ma prawa do niedźwiedzia. Niedźwiedź jest cygańskie bydło! Dajcie go tutaj! Zobaczycie, jak będzie tańczył...

(Goście popędzają niedźwiedzia w stronę cyganów, niedźwiedź broni się, jak może).

— Te, niedźwiedź, jazda! Prędezej!

FRANIA — Proszę panów... jak można!... Jego to boli...

(Henryk wraca z lewej strony, szuka oczami swoich pań).

DJONIZY — Panno Franiu!

FRANIA — Co?

DJONIZY *(zdejmuje głowę niedźwiedzia, a wysuwa swoją).* — Strasznie mi w tej skórze gorąco!

(W tej chwili oko w oko spotkał się z Henrykiem, szybko nakrywa się głową niedźwiedzia).

HENRYK *(głowa Djonizego mignęła mu tak szybko, że nie jest całkiem pewny).* — To... to panna Frania?...

(Djonizy zasłonił ją, łapami grozi Henrykowi, ryczy).

HENRYK *(cofnął się, cokolwiek przerażony).*

GOŚĆ PODEJRZANY *(klepie go przyjacielsko po ramieniu).* — Niech się gość nie boi... to nie jest prawdziwy niedźwiedź!

(Frانيا poprawiła maskę, rejteruje na lewo).

HENRYK *(obrazony).* — Proszę pana... ja pana nie znam...

GOŚĆ PODEJRZANY — Nie szkodzi! Możemy się poznać!

HENRYK — Wcale sobie nie życzę... *(do barmana).*
A ci państwo? *(wskazuje puste stołki).*

BARMAN *(uprzejmy).*—Poszli tam! *(gest na prawo).*

HENRYK *(dopija swoją szklankę, kiwnął głową barmanowi).* — Dziękuję panu... *(chce iść na prawo).*

BARMAN *(słodziutko).* — Przepraszam... tu jest rachuneczek... *(podaje mu rachunek).*

(Kapela cygańska zaczyna grzmieć na dobre jakiś piekielny nowoczesny taniec).

HENRYK — To dla tamtego pana...

BARMAN — Tamten pan powiedział, że właśnie szanowny pan...

HENRYK *(unosi się).* — To jest nieporozumienie...
To jest... dzikie nieporozumienie... *(kilka masek i towarzyszących im panów, zainteresowanych tą*

wymianą zdań, zatrzymuje się dokoła nich). Pan
słyszał przecież, że ja nie zamawiałem...

BARMAN (*jeszcze słodki, ale już nieustępliwy*). —
Państwo byli razem...

HENRYK — To jest niebywałe...

GŁOSY — Nie chce zapłacić! Pije szampana, a pła-
cić nie chce.

PODEJRZANY GOŚĆ (*do barmana*). — Co pan z nim
będziesz robił ceregiele... Posterunkowy i koniec...

HENRYK (*trzęsącymi rękami wyjmuje pugilares*).
Proszę...

(*Płaci, barman kłania się uprzejmie. Henryk chce
odejść*).

BARMAN — Przepraszam szanownego pana... Je-
szcze dwadzieścia złotych... Migdałki solone...

HENRYK (*wściekły, wyjmuje banknot, odchodzi szyb-
ko na prawo*).

PODEJRZANY GOŚĆ — Migdałki?... (*śmiechy*).

(*Liczne pary puszczają się w taniec. Cyganie podśpiewują.
Zabawa wre*).

Z a s ł o n a s p a d a .

A K T II.

Odsłona 1.

Światła na widowni gasną. Odzywa się bardzo oddalona muzyka, dalekie echa tanecznej melodji. Na scenie ciemno. Dekoracja ta sama, co w I-ym akcie. Trochę szarzyzny prześwieca w górnych oknach i oszklonych drzwiach. Słychać zatrzymujący się przed domem samochód. Dalekie echa muzyki głośzy zbliżający się odgłos śmiechów i ożywionej rozmowy. W drzwiach, przez matowe szyby, widać trzy sylwety. Słychać chrzęst klucza w zamku. Drzwi się otworzyły, Iza i Wanda, w maskach i w futrach wpadają do hall'u i usiłują zamknąć drzwi. Lecz Andrzej zatrzymał szczelinę i wsuwa się za nimi.

GŁOSY — Do widzenia! Niech się pan nie obawia!

Dziękujemy!

ANDRZEJ — Nie! nie! Na jedną chwilę!

IZA — Niech pan wraca na redutę!

WANDA — Nie puszczaj!

(Muzyka zgaśła).

SCENA 1.

IZA — WANDA — ANDRZEJ

ANDRZEJ — Sprawdzę tylko, czy niema bandytów.

(Wyjął z kieszeni lampkę elektryczną, nacisnął guzik, przesuwa światłem po hall'u i po obu paniach, groźnie). Kto tu jest?

WANDA (*niespokojnie*). — Gdzie?

(*Iza przysunęła się do Andrzeja*).

ANDRZEJ (*j. w.*). — Wyłaż łotrze, albo kula w łeb!
(*przesunął latarkę do lewej ręki, prawą sięgnął do kieszeni, wyjął klucz i mierzy zeń, jak z rewolweru*). Ręce do góry!

IZA (*przerazona*). — Ach!

WANDA (*tak samo*). — Co się stało?

(*Obie podnoszą bezwiednie ręce do góry*).

IZA (*wskazuje ręką, półgłosem*). — Tam... tam... poruszyło się!...

ANDRZEJ (*puścił światło we wskazanym kierunku*). — Abażur lampy!

IZA — Byłam pewna, że ktoś stoi. Pan chciał strzelić?

ANDRZEJ — Tak.

(*Wanda domacała się wreszcie kontaktu, przekręciła i hall nagle zalewa się światłem żyrandola i wszystkich lamp*).

IZA (*z podziwem*). — Byłby pan strzelił?

ANDRZEJ (*chowa klucz do kieszeni*). — Naturalnie.

WANDA (*sceptycznie*). — Z klucza?

ANDRZEJ (*zgasił lampkę i chowa ją również do kieszeni*). — Pani chciałaby, żebym na maskaradę zabierał rewolwer? (*zdjął szapoklak, rozgląda się*).

IZA (*wraca do tonu wytwornej damy*). — Łaskawy panie! Teraz już przekonaliśmy się, że w domu bandytów niema... jesteśmy zupełnie bezpieczne... Pan nie ma powodów do żadnych obaw... zatem... bardzo nam było przyjemnie... dziękujemy za opiekę...

WANDA — Życzymy przyjemnych snów!

ANDRZEJ (*zdziwiony*). — Nigdy mi się mniej spać nie chciało. Czy panie wiedzą, która godzina?

IZA — Nie.

ANDRZEJ (*chciał sięgnąć do kamizelki po zegarek, przypomniał sobie, że go nie ma — do Wandy*). — No, która?

WANDA (*spojrzała na zegar, stojący na kominie*). — Trzecia.

ANDRZEJ — Byłem tego pewny!

IZA (*sądząc, że nie dosłyszał*). — Trzecia.

ANDRZEJ (*z urazą*). — Proszę pani!... To nie jest żadna godzina... To jest dopiero początek wieczoru... Zresztą dobrze. Powiedziałem, że pójdę... Pójdę... Ale przedtem panie zdejmą maski.

WANDA (*porywczo*). — Ja nie zdejmę!

IZA (*łagodniej*). — Ani ja!

(*Wanda zbliżyła się do drzwi na lewo i naciska dzwonek na służbę*).

ANDRZEJ (*rozżalony*). — Jakto, więc panie każą mi jechać gdzieś na odległą prowincję... (*słychać terkot odjeżdżającego samochodu*). Przepraszam, ja nawet nie wiem, gdzie my jesteśmy...

WANDA — W Mokotowie. (*znów dzwoni*).

ANDRZEJ (*z udanem oburzeniem*). — W Mokotowie? I panie chcą, żebym ja wyszedł sobie, tak... w Mokotowie... na śnieg i deszcz?... Bo panie słyszały, taksówka odjechała... Panie nie mają serca!

WANDA — Nie mamy!

IZA — Tutaj jest równie gorąco, jak na maskaradzie!

ANDRZEJ (*skwapliwie*). — Bardzo gorąco! (*zrzuca paltot na krzesło, zbliża się do Izy, chcąc zdjąć z niej płaszcz futrzany*). Pani pozwoli...

IZA (*została w dominie i masce — do Wandy*). — Nie dodzwonisz się! Z pewnością jeszcze nie wrócili!

WANDA (*zrezygnowana*). — Ja sama ich namawiałam!

ANDRZEJ (*chce zdjąć z niej futro*). — Pani pozwoli?

WANDA (*zła*). — Niech pan mi da spokój!

ANDRZEJ (*do Izy, zdziwiony*). — Taka młoda i już taka zła!

WANDA — Skąd pan wie, że jestem młoda? Mam 50 lat.

ANDRZEJ (*z udaniem zdziwienia*). — Sądząc z figury... i z ruchów... myślałem, że czterdzieści...

WANDA (*dotknięta*). — Właśnie... (*zrzuca nagłym ruchem futro, maska spada jej z twarzy*). — Ach!

ANDRZEJ (*schylił się szybko, podniósł maskę, zanim ona zdołała to uczynić*) — (*do Izy z tryumfem*). — Nie powiedziałem? Najwyżej czterdzieści.

WANDA — Pan jest jasnowidz.

IZA (*po chwili wahania zdejmuje maskę*). — Skoro los tak chciał... Teraz wszystkie życzenia pańskie zostały spełnione...

(*Obie panie są w toaletach wieczorowych*).

ANDRZEJ (*patrzy na Izę z zachwytem*). — Cudo! (*przeniósł wzrok na Wandę*). Drugie cudo! Naraz dwa takie cuda! To już szczególniejsza łaska mojego patrona? Nawet na maskaradzie nie zapomniała o swoim imienniku!

(*Iza wyjęła z torebki lusterko, przegląda się*).

WANDA (*persyflaż*). — Chwała Bogu, że pan zadowolony. Bo byłybyśmy niepokieszone...

ANDRZEJ (*nagle klęka przed Izą — dramatycznie*).
— Kocham się w pani!

(*Iza pudruje właśnie nosek*).

WANDA — Tak odrazu?

ANDRZEJ — Ja nie prowadzę interesu na raty.

IZA (*łagodnie*). — Niech pan wstanie.

ANDRZEJ (*klęczy*). — Uśmiech pani ma powab lipcowego poranku...

IZA (*podaje mu rękę*). — Proszę wstać.

ANDRZEJ (*wstał, lecz zatrzymał jej rękę*). — Pani ma śliczną rękę. (*całuje rękę, którą ona usiłuje wyrwać*). Czy panie nie są zmęczone?

IZA — WANDA (*razem pośpiesznie*). — O, tak!

ANDRZEJ (*przysuwa im fotele*). — Niechże panie siadają...

(*dzwoni telefon*).

IZA (*do Wandy*). — To Henryk!

WANDA — Napewno.

(*Zapala papierosa, częstuje Andrzeja. Telefon dzwoni powtórnie*).

ANDRZEJ (*z ubolewaniem, do Wandy*). — Pani chce wyjść za niego? Po co? Życie jest takie piękne!

IZA (*siada w fotelu, Andrzej siada śpiesznie opodal*).
— Czy pan nie uważa, że z chwilą, kiedy zdjęliśmy maski, intryga właściwie skończyła się?...
(*z uśmiechem*). Pan wdął się do naszego samochodu...

WANDA — Wdął się pan do mieszkania...

ANDRZEJ — Teraz usiłuję wedrzeć się w łaski...

IZA — A my nie wiemy dotąd...

ANDRZEJ (*wstaje*). — Przepraszam... Moja wina... Zdawało mi się, że znałem panią zawsze... (*kłania się*). Andrzej Borzymirski... poeta... filozof, badacz życia.

WANDA (*persyflaż*). — Badacz życia? Czy to jest stałe pana zajęcie?

ANDRZEJ — To nie jest zajęcie. To jest powołanie.

IZA (*ton konwersacji salonowej, gestem ręki zaprasza go, by usiadł*). — Mego męża niema dziś w Warszawie...

ANDRZEJ (*szczerze*). — Niech mu Pan Bóg to wynagrodzi. Pani! Pić!

(*Iza spogląda pytająco na Wandę*).

WANDA — Trzeba mu dać. Może prędzej pójdzie! (*idzie na lewo*).

ANDRZEJ (*z udaną rozpaczą*). — Pić! (*po chwili*).
Pani się w mężu nie kocha?

IZA (*z uśmiechem*). — Owszem...

ANDRZEJ — Nigdy w to nie uwierzę! Pani ma gust wykwintny.

IZA (*lekka wymówka*). — Proszę pana!

ANDRZEJ — Pani braknie odwagi... Pani nie jest szczerą wobec siebie samej... Jak ja mogłem zakochać się w takiej burżujce!

IZA — Pan się wcale we mnie nie kocha.

ANDRZEJ — Kocham się!

IZA — Nie. Pan nadużywa wielkich słów dla małych rzeczy.

ANDRZEJ — Tylko mali ludzie boją się wielkich słów!

(Wanda wraca, niosąc dwie butelki).

WANDA — Znalazłam Chablis... *(objęła ich spojrzeniem)*. Państwo już się kłóca?

ANDRZEJ *(pośpieszył ku niej, odebrał butelki)*. — Tak. Niech żyje szlachetna Burgundja! Wszystkie moje sympatje były zawsze po stronie Karola Śmiałego. *(do Izy)*. Ludwik XI, to prototyp dzisiejszego burżuja...

WANDA *(od paru chwil trawi ją jakaś myśl)*. — Przepraszam pana... Czy pan nie jest tym panem Borzymirskim, którego powieść...

ANDRZEJ *(przerywa)*. — Czuję, że pani chce powiedzieć coś złośliwego...

WANDA — „Zmysły wyzwolone?” ...

ANDRZEJ — Tak.

WANDA *(żywo — do Izy)*. — Pamiętasz? *(do Andrzeja, urażona)*. Niech pan nie myśli, że ja czytałam...

ANDRZEJ — Byłbym w rozpacz. *(do Izy)*. Ta powieść, to karta z księgi mojego życia, którą wydarłem i rzuciłem na wiatr... Chciałem zgorszyć burżuja...

WANDA *(persyflaż)*. — Świetnie panu się udało.

ANDRZEJ *(tragicznie do Wandy)*. — Czy w tym domu jest grajcarek?

WANDA — Zaraz przyniosę. *(idzie na lewo)*.

IZA — Pan pisze?

ANDRZEJ — Nie... *(niedbale)*. Czasem tworzę. Wdzi pani — dzieło sztuki nie powstaje z pracowitego gmerania... *(Iza patrzy nań zdziwiona, on jak gdyby odpowiadał na jej niewypowiedziane*

pytanie). Z natchnienia, droga pani! Z natchnienia! A natchnienie to kaprys. Jednego wieczora przyjdzie... potem czekaj sto lat...

IZA (*z uśmiechem*). — Sto lat — to długo!

ANDRZEJ — Albo bardzo krótko... Ja wogóle z powołania jestem raczej podróżnikiem. Podróże egzotyczne, niedorzeczne... fascynujący powab rzeczy nieznanymi... tajemniczymi...

IZA — Pan dużo podróżował?

ANDRZEJ — Wcale. Ale wybieram się nad Amazonkę.

IZA (*zdziwiona*). — Nad Amazonkę? Po co?

ANDRZEJ (*lekko zirytowany, powtarza*). — Po co? Pani sądzi, że wszystko robi się po coś, dla czegoś? (*Iza potakuje z uśmiechem*). Nie, droga pani... Piękne jest to, co się podejmuje bez określonego celu, bez potrzeby... co ma wartość samą w sobie... Wartość absolutnej bezwartości! (*uśmiechnął się*). Pani rozumie?

IZA (*szczerze*). — Nie.

ANDRZEJ — Pani jest czarująca. Pani wie? Ja wierzę w przeznaczenie. Mąż pani musiał dziś wyjechać. Pani musiała być dzisiaj na reducie. Ja musiałem panią spotkać.

IZA (*uśmiecha się*). — To byłoby ogromne ułatwienie w życiu... wszystko zwać na przeznaczenie...

WANDA (*w drzwiach*). — Jest.

ANDRZEJ (*z radością*). — Grajcarek! (*odbiera*). Jeden z najpiękniejszych wynalazków! (*odkorkowuje butelki*). Niech panie tylko pomyślą! Ile życie byłoby trudniejsze, gdyby geniusz ludzki

nie był wynalazł grajcaria! Musielibyśmy odgryzać szyjki butelek zębami. Mielibyśmy (*gest*) takie szczęki!

(*telefon dzwoni ponownie*).

WANDA (*do Izy*). — Przemówił poeta!... (*niechętnie*). Znowu?

IZA (*zaniepokojona*). — Może coś ważnego?

WANDA — Napewno on!

IZA (*podchodzi do aparatu*). — Ja się rozmówię. (*bierze słuchawkę*). Allo... Tak... (*słucha*). Szukaliśmy pana wszędzie. Wanda jest. (*słucha*). Dobrze. (*do Wandy*). Prosi cię do telefonu.

(*Andrzej nalewa kieliszki, gestem zaprasza Izę, by z nim się napiła. Ona zbliża się do niego, dotknęła kieliszkiem jego kieliszka. Andrzej wychyla swój do dna, nalewa nowy*).

WANDA (*wzięła słuchawkę*). — Dobry wieczór... (*słucha*). Pan był tak śpiący!... (*słucha*). My jesteśmy w doskonałych humorach... (*słucha*). Niech pan przyjeżdża! (*Iza, i zwłaszcza Andrzej dają jej gwałtowne znaki, by nie zapraszała Henryka. Ona im odpowiada, śmiejąc się, z palcem na ustach*). Jest tu jeszcze jeden pan... Pijemy wino... (*ponowne znaki*). Nie wierzy pan? Szkoda. Dobranoc... (*odłożyła słuchawkę, zbliża się do Izy i Andrzeja, bierze kieliszek*). Otworzył pan obie?

ANDRZEJ — To moja specjalna idjosynkrazja! Nie znoszę zakorkowanej butelki. Drażni mię. (*do Izy*). Za spełnienie naszych marzeń!

IZA — Ma pan ich dużo?

ANDRZEJ — Pod tym względem... jestem jednym z najbogatszych ludzi w Polsce... Marzeń i projektów!

(Siada przy fortepianie, przesuwa palcami po klawiaturze i gra tę samą pieśń, którą cyganka śpiewała na reducie. Iza napełniła jego kieliszek i postawiła na fortepianie: On śpiewa, a raczej recytuje słowa pieśni. Iza usiadła też obok w fotelu).

ANDRZEJ *(nie przestając grać — do Izy)*. — Pani nie może kochać się w mężu!
(Iza milczy).

WANDA *(zbliżyła się)*. — Któż panu powiedział, że ona się kocha?

IZA — Tak samo, jak ona w swoim narzeczonym! *(spojrzała na zegar na kominie)*. Czy państwo wiecie, która godzina? Czwarta.

ANDRZEJ — Na bigos nie można jechać przed 8-mą.

IZA *(śmieje się)*. — Na jaki bigos! *(wstaje)*. Pan daruje...

ANDRZEJ *(spojrzał na butelki, zasmucony)*. — Wieczór zapowiadał się tak pięknie!

WANDA — Ja umieram ze znużenia.

IZA — Dobranoc. *(wyciąga do niego rękę)*.

ANDRZEJ *(j. w. — całuje ją w rękę)*. — Dobranoc.

WANDA *(idzie ku drzwiom w głębi)*. — Ja panu otworzę.

ANDRZEJ *(bardzo zdziwiony)*. — Jakto, pani mi otworzy? Pani chce, żebym ja tutaj, w Mokotowie, o czwartej rano, na deszcz i śnieg?... Stąd do miasta conajmniej pięć kilometrów! *(Wanda*

usiłuje protestować). Za każdym węglem czyha uzbrojony bandyta. A ja na całą obronę mam klucz! (*wyjął z kieszeni klucz*). I to od zatrzasaku!

WANDA — Łaskawy panie! Rzemiesło uwodziciela byłoby zbyt ułatwione, gdyby praktykowało się zawsze w przytulnych apartamentach, w ciepłe kaloryferów, w zapachu delikatnych perfum. Rycerz, który chce zdobyć w ciągu jednego wieczora urodziwą nieznajomą, może zaryzykować mały katarek!...

ANDRZEJ (*oburzony*). — W pani tkwi okrucieństwo Semiramidy, Kleopatry, Elżbiety, Katarzyny... (*do Izy*). Pani chce naprawdę, żebym poszedł?

IZA (*trochę zachwiana*). — Trzeba.

ANDRZEJ (*j. w.*). — Dobrze... (*nakłada nerwowo paltot*) ...dobrze! Ale uprzedzam panią: siadam przed domem na bruku i czekam wschodu słońca. Zmarznę? Wszystko jedno. Zapalenie płuc? Panie będą zadowolone.

IZA (*po chwili namysłu*). — Niech pan zdejmie paltot. Prześpi się pan tu, na kanapie, a rano... z samego rana pójdzie pan... Dobrze?

ANDRZEJ (*zrzucił szybko paltot*). — Pani jest aniołem!

IZA (*śmieje się*). — Zgadł pan.

WANDA — A Djonizy?

IZA — On wraca drzwiami od kredensu... (*objęła spojrzeniem kanapę*). Poduszek jest dosyć, tylko przydałby się jeszcze pled.

WANDA — Poszukam. (*idzie po schodach na górę*).

SCENA 2.

IZA — ANDRZEJ

(Iza zabiera z łoteli parę poduszek, układa je na kanapie. Andrzej postępuje za nią).

ANDRZEJ *(do Izy)*. — Jeśli pani ma sposobność dopełnienia szaleństwa, niech pani nigdy nie zwleka! Bo nigdy nie wiadomo, co przyniesie jutro.

WANDA *(z galerji)*. — Szkoda, że Artur tego nie słyszy! *(znika w drzwiach)*.

IZA *(z uśmiechem)*. — A potem?

ANDRZEJ — Nigdy nie trzeba myśleć, co będzie potem.

WANDA *(z galerji)*. — Pan jest bardzo lekkomyślny.

ANDRZEJ — Każdy tak zwany rozsądny człowiek w późniejszym wieku żałuje, że nie był za młodu dość lekkomyślny. Któż może być pewnym, że jutro żyć będzie?

WANDA *(z galerji — do Izy)*. — Iza! Błagam cię, nie daj mu się uwieść!

IZA *(nieco roztargniona)*. — Dobrze!

(Wanda znika za drzwiami).

ANDRZEJ — Czy, idąc na maskaradę, nie miała pani jakiejś niejasnej ...nieskrystalizowanej... nadziei. *(Iza poruszyła się)*. Żle się wyraziłem... obawy, że spotka panią coś... ktoś...

IZA *(trochę zachwiana)*. — Nie.

ANDRZEJ — Pocóżby pani szła w ten zgiełk krzykliwej i spoconej gawiedzi? To był instynkt, nieomyślny, boski instynkt! Spotkaliśmy się, bośmy się spotkać musieli...

IZA (*z uśmiechem*). — Pan tworzy poemat.

ANDRZEJ — Z życia trzeba tworzyć poemat... poematy... wtedy tylko życie jest coś warte. Pani jada obiad zawsze o tej samej porze?

IZA (*j. w.*). — I kolację...

ANDRZEJ — W piątek ryba, w niedzielę kura...

IZA (*j. w.*). — Albo indyk.

ANDRZEJ — Wszystko naprzód wiadome, skatalogowane! Dzień, wieczór... nawet noc! Żadnych niespodzianek. Wszystko pomniejszone. Cierpienia — zredukowane do zmartwień, katastrofy — do kłopotów. Czy pani wie, jakim jest *prawdziwe* życie? Ciągły niepokój, ciągłe szukanie nowych wrażeń, nowych wzruszeń, ustawiczne nadzieje, zawody, upojenia, rozpacz...

IZA (*z uśmiechem*). — Literatura!

ANDRZEJ — Chce pani? Uciekniemy nad Amazonkę. Mnie już oddawna tam ciągnie! Olbrzymia rzeka, krokodyle. Las podzwrotnikowy. Pachnie, że aż duszno! Kwiaty... (*gest*) takie: Motyle jak ptaki, a ptaki... (*gest*).

IZA (*z uśmiechem*). — Jak aeroplany!

ANDRZEJ — Założymy plantacje kawy, kauczuku, makaronu.

IZA — Przedewszystkiem makaronu! (*śmieje się*).

ANDRZEJ (*nagłym ruchem objął ją w pól, przechylił, przywarł wargi do jej ust*).

IZA (*broni się*). — Co pan robi! Proszę!... (*zwolna poddaje się słodczy pocałunku*), (*oderwała się, wstaje żywo, zła*). Każe mi pan żałować...

ANDRZEJ — Nieprawda!

IZA (*oburzona*). — Jakto, nieprawda?

ANDRZEJ (*surowo patrzy jej w oczy*). — Pani nie odczuła słodyczy tego pocałunku? Pani już jest moja.

SCENA 3.

CIŻ — WANDA

WANDA (*wygląda z galerji, w ręku trzyma pled*). — Uwiódł cię?

IZA (*podniosła oczy na Andrzeja — do Wandy*). — Prawie.

ANDRZEJ — Całkiem.

WANDA (*schodzi po schodach*). — Pamiętasz, co mówił synowi mądry ojciec: wystrzegaj się dobrych czynów, bo będziesz żałował.

ANDRZEJ — Czuła matka dodawała: — Wystrzegaj się także złych czynów, bo skończysz na szubienicy. (*do Izy*). Niech pani pamięta: tę młodą osobę nurtuje zazdrość!

WANDA (*rzuca pled na kanapę*). — Pan jest okropny człowiek! Komunista!

ANDRZEJ (*pomacał pled*). — Do szczęścia brak mi już tylko pyjamy...

IZA (*do Wandy, zawahała się*). — Może mu dać?

WANDA — Nic złego się jej nie stanie.

IZA (*wskazuje mu drzwi na prawo*). — Niech pan idzie tam... pierwsze drzwi na prawo... pyjama leży z pewnością na krześle. Będzie pan umiał znaleźć kontakt?

ANDRZEJ (*wyjął z kieszeni lampkę elektryczną, kładzie ją na stole przy kanapie, śmieje się*). —
To moja specjalność. (*idzie w drzwi na prawo*).

SCENA 4.

IZA — WANDA

WANDA — Boję się, czyśmy nie postąpiły lekko-
myślnie.

IZA — Cała odpowiedzialność spada na ciebie.

WANDA (*porywczo*). — Jakto? To ja go zatrzy-
mywałam?

IZA — Kto wynalazł redutę? Ty czy ja?

WANDA (*uspokojona*). — Ostatecznie... Artur wra-
ca dopiero po południu.

IZA — Djonizy i Frania będą jutro spali...

WANDA — My też... (*śmieje się*). Ale przygoda, co!
Podoba ci się?

IZA (*nieszczерze*). — Nie.

WANDA (*zdumiona*). — Nie podoba ci się? W takim
razie, co byś ty robiła z człowiekiem, któryby ci
się podobał?

IZA — A tobie się podoba?

WANDA — Skądże znów mnie? Zabawny.

IZA — Ty! Szalona panno!

(*Całują się*).

SCENA 5.

IZA — WANDA — ANDRZEJ

(W drzwiach z prawej strony pojawia się Andrzej w pyjamaie, znacznie na niego za obszernej).

ANDRZEJ — Można? Panie albo się kłóca, albo całują! Ideał! *(do Izy)*. W tej pyjamaie mogłaby się zmieścić cała rodzina. Dlaczego mąż pani nie jeździ do Marienbadu?

WANDA — Owszem jeździ. Pan się obudzi o świcie?

ANDRZEJ — O ile nie zaśpię... *(Iza i Wanda poruszyły się)*. Niech panie się nie lękają. Nie będę wcale spał. *(pokazuje drzwi w głębi)*. Temi drzwiami, prawda?

IZA — Tak.

WANDA *(palec na ustach)*. — I zapomnieć!

ANDRZEJ — Nigdy!

IZA *(utajona nuta smętku)*. — Musi pan zapomnieć.

ANDRZEJ — Nigdy!

IZA *(podaje mu rękę)*. — Dobranoc!

(Wanda przekręciła kontakt lampy, która stoi na stole przy kanapie).

ANDRZEJ *(całuje ją w rękę)*. — Dobranoc.

WANDA *(podaje mu rękę)*. — Przyjemnych snów!
(Andrzej chce i ją pocałować w rękę. Ona jednak wrywa w porę rękę).

ANDRZEJ — Nie ufa sobie pani?

WANDA *(cieplejsze spojrzenie)*. — Właśnie.

ANDRZEJ — Będę się pani snił... ale jak!

WANDA (*j. w.*). — Komunista! (*idzie do kontaktu przy drzwiach, przekręciła, wszystkie światła gasną, prócz lampy przy kanapie*) (*do Izy, która bezwiednie ociąga się z odejściem*). Chodźmy.

ANDRZEJ (*wskazuje na wino*). — Strzemiennego!

IZA — Ja już nie mogę.

WANDA — Mnie wogóle kręci się w głowie.

IZA — Dobranoc! (*nie rusza się z miejsca*).

WANDA (*bierze ją w pól i pociąga*). — Czy ty pójdziesz wreszcie?

(idą po schodach na górę).

(Andrzej stoi wpatrzony w Izę i Wandę. Gdy Iza odwróciła ku niemu głowę, on przesyła jej ręką od ust pocałunek. Ona odpowiada mu takimże lekkim całunkiem).

WANDA (*do Izy*). — Co mówisz?

IZA — Ja? nic...

ANDRZEJ — Proszę pani... (*Iza i Wanda zatrzymują się na schodach*). Czy tu nie straszy?

WANDA (*ze śmiechem*). — Bardzo!

IZA — Nie.

(idą dalej).

ANDRZEJ — Bo ja się boję... ja bardzo się boję strachów... upiórów...

WANDA — Strzeli pan z klucza... i już!

IZA — Dobranoc...

(znikają w drzwiach na galerji).

(Andrzej po chwili namysłu idzie do stołu, nalewa sobie kieliszek wina, spojrzął pod światło, skosztował, mlasnął językiem, potem wychylił do dna. Wraca do kanapy, zdejmuje półbuciki, kładzie się, przykrywa pledem. Próbuje sięgnąć do lampy, za

daleko. Wstaje, porządkuje poduszki, spojrzal na galerję, jak-gdyby czegoś wyczekiwał. Potem zaczyna majstrować koło lampki, przez jakiś czas daremnie. Wymknęło mu się „psiakrew”. Wreszcie odnalazł kontakt, jeszcze raz spojrzal na galerję, zniechęcił się, przekręca kontakt. Scenę ogarnia zupełna ciemność. Andrzej, kładąc się na kanapie, potknął się. Teraz już zawinął się na dobre w pled. W ciemnościach szarzeją tylko górne okna w głębi.

Bardzo oddalone echa muzyki tanecznej.

Nagle na galerji otworzyły się drzwi. Lekka smuga światła. Iza, już w jasnym penjuarze, stanęła na galerji).

IZA (szepcem). — Czy pan śpi?

ANDRZEJ (porwał się z kanapy, usiadł, tak samo szepcem). — Nie.

IZA — Nie zimno panu?

ANDRZEJ — Nie... (poprawia się). Owszem. Bardzo zimno!

IZA — Zrzucę panu jeszcze jeden pled.

ANDRZEJ — Kiedy to głównie... że ja tutaj taki sam...

(Z drugiej strony galerji otwierają się inne drzwi. Smuga światła. Zjawia się na galerji Wanda, tak samo w jasnym penjuarze).

WANDA — Co się stało?

IZA — Panu bardzo zimno.

WANDA — Tu wcale nie jest zimno... (do Andrzeja).
Niech pan przykryje się futrem...

ANDRZEJ (zły). — Dziękuję!

IZA — Dobranoc.

ANDRZEJ (łagodniej). — Dobranoc!

(Jedne i drugie drzwi zamykają się ponownie. Andrzej kładzie się, nakrywa pledem).

(W oddali znów brzęczą ledwie dosłyszalne echa muzyki).

SCENA 6.

ANDRZEJ — FRANIA — DJONIZY

(W oszklonych drzwiach w głębi błyska światelko. Widocznie ktoś wszedł do sieni. Zjawiają się dwie sylwety. Światelko ręcznej lampki elektrycznej kieruje się do zamku drzwi. Słychać chrobot klucza. Drzwi się otwierają. Lampa gaśnie. Andrzej, zbudzony szmerem, podniósł głowę, nasłuchuje. Ręką sięgnął po swoją lampkę elektryczną).

(Wchodzi Djonizy. Na niedźwiedzie futro z trudem naciągnął paltot, który się nie dopiął. Na głowie melonik. Głowę niedźwiedzia trzyma pod pachą. Frania jest w ciemnym paltocie i w masce).

DJONIZY — Cicho!

FRANIA *(niecierpliwie)*. — Niech pan Djonizy zaświeci. Nic nie widzę.

(Djonizy i Andrzej równocześnie puszczają na siebie światła. Stłumione okrzyki przerażenia. Djonizy i Frania stanęli, jak skamieniali).

FRANIA — Jezus Marja!

DJONIZY *(bardzo niepewnym głosem)*. — Kto tu jest?

ANDRZEJ *(usiadł na kanapie; półgłosem lecz stanowczo)*. — Stać!

(Djonizy zgasił swoją lampkę i chowa się za fotelem. Frania chowa się za nim. Andrzej ściga ich światłem swej lampki).

ANDRZEJ *(przyciszonym głosem)*. — Wyłaż pan!

DJONIZY *(z za fotela, w głosie czuć lekkie drżenie)*. — Przepraszam, nie wiem, z kim mam przyjemność... Szanowny pan... złodziej — włamywacz?

ANDRZEJ (*śmieje się*). — Nie. A pan?

DJONIZY — Ja jestem tutejszy służący. (*nieufnie*).
Napewno nie?

ANDRZEJ — Napewno. A ta pani?

DJONIZY (*wychodzi z za fotela*). — Nasza pokojówka. Niech panna Frania się nie boi... (*sam jednak widocznie jest jeszcze w strachu*).

FRANIA (*czepia się go nerwowo*). — Niech pan Djonizy nie idzie... On może pchnąć nożem...

ANDRZEJ (*zapala lampę na stole*). — Pani, widzę, z bandytami bardzo obyta... (*postrzega niedźwiedzią skórę Djonizego i łeb dzikiej bestji pod pachą*). A to co? Pan prosto z menażerji?

FRANIA (*uspokoila się*). — Nie, z maskarady.

DJONIZY (*zadowolony z efektu*). — Dobre futerko, prawda? (*zrzuca paltot, przymierza głowę, ryknął zcicha*).

ANDRZEJ (*nałożył półbuciki, podchodzi do Djonizego, pomacał futro*). — Ale musiało być panu gorąco!

FRANIA (*palec na ustach*). — Cicho!

DJONIZY (*tak samo, wzrok w stronę galerji*). — Żeby panie się nie pobudziły... (*uderza się palcami w czoło*). A ja głupi odrazu się nie domyśliłem! (*do Frani*). Nasz nowy służący! (*do Andrzeja, szturgnawszy go figlarnie i mocno w brzuch*). Servus! (*potrzęsa silnie jego ręką*). Toście mi napędzili pietra! Byłem przekonany, że bandyta! Spodziewaliśmy się pana kolegi dopiero jutro. (*do Frani*). To napewno nasza pani rozporządziła, żeby tutaj... (*wskazuje kanapę*). Prawda? Dawno wró-

ciły? (*Andrzej waha się z odpowiedzią, Djonizy bierze to za potwierdzenie i do Frani*). Dawno. (*przygląda się Andrzejowi*). Kolega wziął sobie pyjamę z garderoby? (*do Frani, akcent uznania*). Zaraz poznać, że pracował w porządnym domu... Inne wymagania! Ale nasz pan tego bardzo nie lubi... (*do Frani*). Ja tę twarz już gdzieś widziałem... (*do Andrzeja*). Ja pana już musiałem spotkać...

FRANIA (*zdjęła płaszcz i maskę*) — *do Andrzeja*. — Nie warto już chodzić na maskaradę. Sama hołota! (*poufnie*). Państwo są tutaj nienajgorsi. Pan jest zrzęda.

DJONIZY — Pani niezawsze wie, czego chce.

ANDRZEJ — Kochają się?

DJONIZY — Tylko w soboty.

FRANIA (*pogardliwie*). — I to nie w każdą.

DJONIZY — Pan wtedy bierze ciepłą kąpiel.

FRANIA — Pani jest w złym humorze.

ANDRZEJ (*śmieje się*). — A w zwykłe dni?

FRANIA — Panią boli głowa...

DJONIZY — Pan ma zaburzenia żołądkowe.

FRANIA — Proszki z kogutkiem...

DJONIZY — Rumianek dobrze gorący.

FRANIA (*postrzegła butelki*). — Wino!

DJONIZY (*ucieszył się*). — Napijemy się?

FRANIA — Jeszczeby!

ANDRZEJ (*przygląda się jej, z niedostrzegalną dla niej ironją*). — Bardzo ładny kostjumik!

FRANIA (*ujęta*). — Prawda? Właściwie, to go było

szkoda. (*oburzona*). Czy pan wie, że jakiś grubas uszczypnął mię!

ANDRZEJ (*zainteresował się*). — Gdzie?

FRANIA — Jakto, gdzie? Przy bufecie? (*trącają się*). Zdrowie! (*piją*).

DJONIZY — Wina tu mają niezłe, tylko piją mało. Ja sam wolę kieliszek dobrej wódki.

ANDRZEJ — I ja lubię dobrą wódkę.

DJONIZY (*gościnnie*). — Szkoda, że tak późno! W piwnicy jest starcka! (*całuje palec — zmiana tonu*). Myśmy i dzisiaj niezłe popili. Panna Frania nawet cokolwiek się wstawiła. Bardzo lubi francuski likier... taki zielony!

FRANIA (*oblizwała się*). — Z tłuczonym lodem... przez słomkę...

DJONIZY (*z uznaniem*). — Wszystko lubi w najlepszym gatunku.

FRANIA — Ale nie dlatego lubię, że zielony, tylko dlatego, że słodki i mocny! (*spojrzała wdzięcznie na Andrzeja*). Pan lubi kinematograf?

ANDRZEJ — Namiętnie. Zwłaszcza dramaty życiowe.

FRANIA (*klasnęła w rękę*). — To tak samo, jak ja. A tańczy pan?

ANDRZEJ — O każdej porze! (*robi gest, jakby już chciał tańczyć i zaraz chwycił rękami zbyt obszerną pyjamę, by nie spadła*).

DJONIZY (*zaniepokojny wylewnością Frani*). — Panna Frania w gorącej wodzie kąpana. (*spojrzął na nią surowiej*). Wolnego! (*do Andrzeja*). Panu jak na imię?

ANDRZEJ — Andrzej.

DJONIZY — Panie Andrzeju! Sztama! Ale dziewczynka (*wskazał Franię*) — moja!

FRANIA (*obrażona*). — Pan Djonizy jeszcze nie jest moim mężem! (*do Andrzeja*). Myśli, że zrobiłby mi łaskę! (*do Djonizego*). I wogóle nie jestem dziewczynką!

DJONIZY (*do Andrzeja*). — Charakter ma dobry, ale w gorącej wodzie kąpana. Zaraz ją niesie... Panie żonaty?

ANDRZEJ (*śmieje się*). — Nie.

DJONIZY — Szkoda! Wypijemy?

ANDRZEJ — Zawsze! (*wskazując wzrokiem Franię*).
W oczach ma djabła...

FRANIA (*zalotnie*). — Podobam się panu?

ANDRZEJ — Bardzo... (*trącają się kieliszkami*).
Sztama!

FRANIA — Sztama! (*piją*).

DJONIZY (*odsapnął*). — Teraz spać... Ja mam nogi... jakgdybym wyfroterował cztery salony!

FRANIA (*spojrzała z ukosa na Andrzeja*). — A ja bym zatańczyła! (*przypomniała sobie — do Djonizego*). Telefon!

ANDRZEJ (*zdziwiony*). — O tej porze?

DJONIZY (*śmieje się dobrodusznie*). — Do narzeczonego naszej panienki. Ma go na wątrobie!

FRANIA (*do Andrzeja*). — Proszę pana! Siedzi cały wieczór i daje służbie złotówkę! (*wzięła słuchawkę*). Alloo! (*słucha*). 605-24. Proszę mocno dzwonić... parę razy... (*do Andrzeja z wesołym uśmiechem*). Ma aparat w sypialnym poko-

ju... (słucha). Alloo... (słodkim, zmienionym głosem). Przepraszam bardzo... która u pana godzina? (pęka ze śmiechu). Niema się o co gniewać! Pan spał? W noc Sylwestrową? Bardzo mi przykro! (kładzie słuchawkę, dusząc się od śmiechu). Wściekły! Teraz przez godzinę nie będzie mógł zasnąć!

ANDRZEJ (do Djonizego). — Przyjemna dziecina!

DJONIZY (dobroduszny). — Młoda! (idzie w głąb i zamyka szklane drzwi na klucz). Byle co, i już kontenta!

FRANIA (do Andrzeja, zalotna). — Podobam się panu?

ANDRZEJ — Coraz więcej.

FRANIA (wzięła swój płaszcz i maskę). — Ja śpię na górze... (idzie po schodach).

DJONIZY (wskazuje drzwi na lewo). — A ja tutaj...

ANDRZEJ — Dobranoc!

DJONIZY (czeka, aż Frania weszła na galerję). — Niech pan zgasi lampę!

(idzie na lewo).

SCENA 7.

ANDRZEJ

(Andrzej został sam. Przez chwilę stoi zamyślony. Potem spojrzął na butelki, zagląda do jednej, do drugiej — obie puste. Rozczarował się, przeciągnął, spojrzął na galerję na drzwi, które prowadzą do pokoju Izy, — podchodzi do schodów. Po chwili

wahania wraca do kanapy, kładzie się, obwija w pled i gasi lampę. Znow odzywają się oddalone echa muzyki... Mija kilka sekund. Nagle szmer na galerji budzi uwagę Andrzeja. Podniósł się. U wylotu schodów zjawia się postać kobieca w jasnym penjuarze. Zamknęła za sobą drzwi. W ciemności twarzy jej niepodobna dojrzeć. Schodzi wolno po schodach. Andrzej porwał się ku niej, w pośpiechu potrącił krzesło. Ona zrobiła ruch ręką, szepnęła: Cyt! Andrzej otwiera ramiona. Biała postać wpada mu w objęcia).

Zasłona spada.

A K T II.

Odsłona 2.

(Taż sama dekoracja. Późny ranek. Zimowe słońce zagląda przez górne okna i przez szklane drzwi w głębi. Andrzej śpi na kanapie, zlekka pochrapując. Słychać zajeżdżający samochód. Artur wszedł do sieni, staje w drzwiach szklanych. Próbuje otworzyć, zamknięte. Dzwoni. Andrzej chrapnął mocniej, przewrócił się na drugi bok. Artur dzwoni dalej).

SCENA 1.

DJONIZY — ANDRZEJ — ARTUR — FRANIA

DJONIZY (*wychodzi z lewych drzwi, w pyjamaie znozonej, ale jeszcze bardzo kolorowej, zaspany — do Andrzeja*). — Ktoś dzwoni! (*spojrzał w drzwi w głębi, poruszony*). Pan! (*zbliżył się do kanapy*). Wstawać! (*szarpnął mocno. — Artur dzwoni w dalszym ciągu*).

ANDRZEJ (*broni się, nieprzytomny ze snu*). — Jutro... proszę jutro... Dzisiaj niema mię w domu... (*otwiera oczy*). Co? (*przerażony*). Czego pan chce?

DJONIZY — Pan wrócił... Wstawać!

ANDRZEJ — Jaki pan?

(Frانيا zbiega ze schodów).

FRANIA — Pan przyjechał!... *(zatrzymała się).* Co Djonizy robi?

DJONIZY *(uśmiecha się do niej).* — Nowy kolega za-
spał cokolwiek... *(Andrzej wstał).* Panno Fra-
niu... *(wskazuje Andrzeja)* fartuch... *(do An-
drzeja).* Gdyby zobaczył na panu tę pyjamę, —
jużby kolegi tu nie było... *(idzie do drzwi w głębi).*

FRANIA *(kuksnęła Andrzeja w bok lekko i życzli-
wie).* — To dopiero śpioch... *(bierze go za rękę,
potrząsa).* No, obudził się!

ANDRZEJ *(senny).* — Prawie!

FRANIA *(pociągnęła go na prawo, lecz spostrzeża,
że jest bez obuwia).* — A buty? *(schyliła się,
wzięła lakierki, wyprowadza Andrzeja).* Nie-
zdara!

ARTUR *(wchodzi w futrze i w czapce — zły).* — Pół
godziny dobijam się do drzwi!... Godzina dzie-
siąta rano! *(ciszej).* Panie śpią?

DJONIZY *(z godnością).* — W kredensie bardzo źle
słyszać. *(odpowiada na pytanie).* Pewnie, że
śpią!

ARTUR *(j. w.).* — Na co Djonizy czeka? Futro!
(Djonizy zdejmuje mu futro).

DJONIZY — Jaśnie pani spodziewała się pana do-
piero po obiedzie.

ARTUR — Wyjechałem do dnia... Zaraz kąpiel...
i łóżko.

DJONIZY — A śniadanie?

ARTUR — Po kąpieli... Trzeba zabrać walizkę z samochodu.

DJONIZY (*do Frani, która zjawiła się w drzwiach z prawej strony*). — Niech panna Frania powie tamtemu... Andrzejowi...

FRANIA (*odwraca się w głąb*). — Panie Andrzej! Prędko...

(*Wchodzi Andrzej, w fartuchu, trochę zahukany, choć już rozbudził się*).

ARTUR (*zdziwiony*). — A to kto?

DJONIZY — Nowy służący.

ARTUR (*mierzy Andrzeja krytycznym wzrokiem*). — Ten, którego polecał pan Henryk?

DJONIZY (*z pobłażliwym uśmiechem*). — Właśnie. (*do Andrzeja, z autorytetem*). Po walizkę!... (*Wskazuje na drzwi w głębi. Andrzej stoi cokolwiek ogłupiały*). No, po walizkę... z samochodu!...

(*Andrzej idzie ku drzwiom*).

ARTUR — Czekaj!... (*Andrzej nie zrozumiał, że to wezwanie stosuje się do niego i idzie dalej, niecierpliwie*). Czekaj!

DJONIZY (*surowo*). — Czy Andrzej nie słyszy, że jaśnie pan woła?

(*Andrzej, widocznie wytrącony z równowagi, zatrzymuje się*).

ARTUR — Pokaż się!... (*postąpił ku niemu parę kroków, do Djonizego*). Nie ma postawy... Znać, że... (*urwał, do Andrzeja*). Odwróć się! (*Andrzej odwraca się*). Trzymaj się prosto! (*Andrzej prostu-*

je się — do Djonizego). Dlaczego on od rana w białym krawacie?... (spojrzał na buty). I w lakierkach! (do Andrzeja niecierpliwie). No... waliza z samochodu! (Andrzej stoi). Waliza!

DJONIZY (popycha Andrzeja ku drzwiom). — Prę-dziej!

(Andrzej idzie ku drzwiom w głębi).

ARTUR (patrzy za nim, do Djonizego). Boję się, że trochę głupkowaty...

(Andrzej drgnął, na sekundę zatrzymał się, idzie dalej).

DJONIZY — Jaśnie panie, gdyby był mądry, toby chciał zaraz być bankierem... albo ministrem, nie zaś służącym! Może i jest głupkowaty... ale... ja go dopilnuję... wyrobi się.

ARTUR — Nie zachwycił mię. Kąpiel!

DJONIZY — Zaraz będzie... (wychodzi na prawo).

SCENA 2.

ARTUR — IZA — WANDA

(Iza ukazuje się na galerji, jest w penjuarze, spojrzała niespokojnie na kanapę, widzi, że pusta, uspokoiła się).

IZA — Jesteś!

ARTUR (przesyła jej ręką pocałunek). — Obudziłem cię?...

IZA (schodzi na dół). — To ja zasnęłam...

WANDA (na galerji, wybiega ze swego pokoju — do Izy). — Artur? (wychyla się za balustradę).

Wróciłeś?

ARTUR (*śmieje się*). — Zgadłaś! Twoja domyślność jest zdumiewająca! (*do Izy*). Wstałem o piątej rano, żeby przyjechać jak najwcześniej.

IZA (*roztargniona*). — I byłeś tam naprawdę potrzebny?

ARTUR (*podszedł do niej, całuje ją*). — Naprawdę... Już wszystko jest w porządku!

WANDA (*również rozejrzała się po hall'u, wita się z Arturem; — jej wzrok skrzyżował się ze wzrokiem Izy, widocznie uspokoiły się, sądząc, że Andrzej w porę wyemigrował*). — Nie wsadzili cię do tacek?

ARTUR — Nie! Jak spędziłyście wczorajszy wieczór?

(*Frania wyszła z lewej strony i poszła do drzwi w głębi*).

WANDA — Bardzo przyjemnie.

(*Obie panie są już zupełnie uspokojone*).

IZA (*uśmiecha się*). — Bardzo!

ARTUR (*do Izy*). — Myślałaś o mnie?

IZA (*szczerze*). — Wcale.

WANDA — Miałyśmy bardzo miłe towarzystwo.

ARTUR (*sceptyczny*). — Henryczek...

IZA — Może kto inny...

ARTUR (*śmieje się*). — Intryga?

(*Drzwiami w głębi wchodzi Andrzej i szofer, niosąc walizę. Frania idzie za nimi. Andrzej idzie tyłem, więc panie go nie widzą. Nagle odwrócił się*).

IZA (*sposzregła Andrzeja, przerażona*). — Ach!

WANDA (*tak samo*). — Ach!

ARTUR (*który patrzył w stronę wchodzących zdziwiony*). — Co się stało?... (*myśląc, że Iza i Wanda przeraziły się widokiem obcego człowieka*). To nowy służący... (*Andrzej objął spojrzeniem Izę i Wandę — ledwie dostrzegalny uśmiech przebiegł po jego twarzy. — Do Wandy*). Protegowany Henryka... (*do Izy — ciszej*). Ale... nic szczególnego... (*do Andrzeja*). Na krześle... tam... Djonizy wypakuje...

(*Szofer skłonił się i wychodzi drzwiami w głąb. Andrzej idzie na prawo. Obie panie śledzą go przestraszonymi oczyma*).

ARTUR (*do Izy*). — Jechaliśmy przeciętnie 60 kilometrów... (*do Andrzeja*). Czekaajno!... (*Andrzej idzie dalej — niecierpliwie*). Czy nie słyszysz, że mówię do ciebie?

FRANIA (*do Andrzeja*). — Panie Andrzeju!

ANDRZEJ (*odwraca się*). — Słucham?

(*Frania wychodzi*).

ARTUR — Chwała Bogu!... (*do Izy*). Zdaje mi się, że nie dosłyszysz... Ale to już każdy służący!... (*do Andrzeja*). Jak ci na imię?

ANDRZEJ — Andrzej.

ARTUR (*surowy*). — A nie, mój drogi... Andrzej, to nie jest imię dla służącego... (*do Izy*). Miałem stryja Andrzeja... (*do Andrzeja*). Nie... imię będziesz musiał zmienić...

ANDRZEJ (*łypnął szelmosko oczami w stronę Izy*).

— Na drugie imię mam Baltazar.

ARTUR (*oburzony*). — Tego tylko nam brakowało! Baltazara! Nie, mój drogi... Najlepiej byłoby, gdybyś się nazywał poprostu Karol.

WANDA (*zdziwiona*). — Dlaczego Karol?

ARTUR — Nie wiem... Tak mi się nasunęło... (*zdecydował się*). Owszem, Karol... to do niego bardzo dobrze pasuje... (*do Andrzeja*). A teraz, mój Karolu, zdejmij mi buty.

(*Zasiadł wygodnie w fotelu, wyciągnął nogi. Andrzej stanął osłupiały, nie wiedząc, co robić. Wanda daje mu złośliwie znaki, by wykonał rozkaz Artura*).

ARTUR (*niecierpliwie*). — No... prędeziej... (*Andrzej zbliżył się, popatrzył ze wstrętem na nogi Artura, zawahał się, spojrział na Izę i zdecydował się. Przyklęknął, rozwiązał półbuciki. Zdejmuje. Artur syknął*). Ostrożnie... Ja nie mam nóg z drzewa... Delikatnie... (*Andrzej zdejmuje drugi półbucik, Artur krzyknął z bólu*). Nie tak mocno! (*westchnął*). Uf! (*do Andrzeja*) Zdaje mi się, żeś ty jeszcze nie miał do czynienia z porządnymi nogami... Niech cię djabli wezmą! (*do Izy*) Łapy ma twarde, jak kowal! Pantofle!

IZA (*do Andrzeja, bardzo przerażona, widząc tajoną jego wściekłość*). — Są w garderobie. Frania panu pokaże.

ARTUR (*zdziwiony*). — Panu?... Możesz mu mówić: Karolu!

ANDRZEJ (*grobowym głosem do Izy*). — Owszem. (*do Artura*). Zaraz panu przyniosę. (*chce iść na prawo*).

ARTUR (*zatrzymuje go gestem ręki*). — Czeka!... (*do Izy*). Ty niesłusznie mówisz mu: panie, a on... (*do Andrzeja surowo*). Do mnie mówi się: jaśnie panie! I co to miało znaczyć, owo: owszem?

ANDRZEJ — Mogę mówić: jaśnie panie. Mnie to nie przeszkadza. (*idzie na prawo*).

ARTUR (*oburzony*). — Jemu to nie przeszkadza! (*do Izy*). Mnie się ten Baltazar nie podoba...

DJONIZY (*w drzwiach z prawej strony*). — Kąpiel gotowa!

ARTUR (*kończy*). — Zupełnie mi się nie podoba!

WANDA — Ja uważam, że jest przystojny... figurę ma dobrą...

ARTUR (*oburzony*). — On ma dobrą figurę? Nie jesteś wymagająca... Szewc — (*widzi, że panie nie podzielają jego zdania, więc powtarza z naciśkiem*). Szewc! (*do Djonizego, niecierpliwie*). Czy ten... Baltazar da mi pantofle, czy nie?

(*Andrzej wchodzi śpiesznie z pantoflami w rękę*).

ANDRZEJ — Są!

ARTUR — Długo na siebie dały czekać!... (*wkłada nogi w pantofle*). No... już dobrze... (*idzie na prawo*).

DJONIZY — Można szykować śniadanie?

ARTUR — Owszem... (*do Izy, w drzwiach*). Jestem głodny i zmęczony.

(*wychodzi, za nim Djonizy*).

SCENA 3.

IZA — WANDA — ANDRZEJ

(*Wanda i Iza zbliżają się szybko do Andrzeja*).

WANDA (*przyciszonym głosem, żywo*). — Miał pan odejść z samego rana!

IZA — Dlaczego pan udaje służącego?

WANDA — Trzeba było odrazu powiedzieć prawdę...

IZA (*bierze go za rękę*). — Biedny!

(*Andrzej całuje rękę*).

WANDA — To się nazywa wpaść!

(*Andrzej wziął jej rękę, podnosi do ust*).

ANDRZEJ (*trzyma ręce Izy i Wandy*). — Jestem najszczęśliwszym z ludzi. Nie ruszę się stąd. Będę wszystkim zdejmował buty i będę się nazywał Karolem...

WANDA (*uśmiechnęła się do niego wdzięcznie*). — Baltazarem!

ANDRZEJ — Baltazarem! (*puścił ich ręce*).

IZA (*żywo*). — Więc co się stało?

ANDRZEJ — Zaspałem, prosto, najgłupiej w świecie, zaspałem.

WANDA (*do Izy*). — Zaspał!

IZA — Ale co teraz? Co będzie teraz?

ANDRZEJ (*patrzy jej w oczy*). — Pani nie chce, żebym tu został? Pani powinna mieć swojego osobnego służącego...

IZA (*uśmiechnęła się do niego życzliwie*). — Nie.

ANDRZEJ (*do Wandy*). — A pani?

WANDA — Nie.

IZA — Mój mąż jest niewyrozumiały i gwałtowny. A jej narzeczony...

ANDRZEJ (*kończy*). — Nudny.

WANDA — Tak!

ANDRZEJ — Więc najlepiej bez zwłoki — wiać! (*chce odpiąć fartuch*). Już!

IZA (*zatrzymuje go*). — Nie... nie... to wzbudziłoby

- ... podejrzenie. (*do Wandy*). Trzeba poczekać, aż Artur się położy.
- WANDA — Tak. Potem powiemy mu, że się panu u nas nie podobało. (*do Izy*). Prawda?
- ANDRZEJ (*patrzy Izie w oczy*). — Nieprawda. Bardzo mi się tutaj podobało.
- IZA — Czy to pierwszy raz pan skłamię?
- ANDRZEJ (*patrzy Wandzie w oczy*).—Niewymownie mi się tutaj spodobało... (*zmiana tonu, do Izy — żałośnie*). Ale zanim mąż pani spocznie w swoich puchach i piernatach, ja powiększę grono aniołków... Umieram z głodu!
- IZA (*poruszona*). — Nie dali panu śniadania?
- ANDRZEJ — Nie.
- IZA (*j. w. do Wandy*). — On jest głodny! (*śpieszy do dzwonka, dzwoni*).
- WANDA — Niech cierpi!
- ANDRZEJ (*do Wandy*). — To jest wdzięczność?
- WANDA (*oburzona*). — Wdzięczność? Za co wdzięczność?
- ANDRZEJ (*wziął ją za rękę, patrzy w oczy*). — Żadnej wdzięczności?

SCENA 4.

CIŻ — FRANIA

(*W drzwiach z lewej strony Frania. Objęła zdziwionym wzrokiem Wandę, która wyrwała spieszenie rękę*).

FRANIA — Pani dzwoniła?

IZA — Tak. Śniadanie dla pana... (*gest w stronę Andrzeja*).

FRANIA (*nie rozumiała*). — Śniadanie dla pana szykuje Djonizy.

IZA (*wskazuje Andrzeja*). — Ale dla tego pana.

FRANIA (*zdziwiona*). — Dla pana Andrzeja? (*do Andrzeja, poufale*). To pan bez śniadania?

ANDRZEJ (*żałośnie*). — Bez.

FRANIA (*do Izy*). — Możeby dodać dwa jajka?

IZA — Owszem.

WANDA (*surowo*). — Zbytki!

(*Andrzej spojrział na nią z niemą lecz pełną wyrazu wymówką*).

IZA — Niech Frania dołoży parę plasterków szynki. (*Francia objęła Izę i Andrzeja zdziwionym, nieufnym wzrokiem. Idzie na lewo*).

ANDRZEJ (*ciszej do Izy*). — Te plasterki szynki... jestem wzruszony! Pani stanowczo jest aniołem. Kocham panią! (*do Wandy*). Pani nienawidzę.

(*W drzwiach z prawej strony ukazuje się Artur i Djonizy. Andrzej na ich widok spiesznie zmiata w ślad za Franią*).

SCENA 5.

IZA — WANDA — ARTUR — DJONIZY

ARTUR (*w tej samej pyjama, w której spał Andrzej*) (*do Djonizy*). — Śniadanie! Teraz prędko śniadanie. (*wącha pyjamę*). Ja ci mówię, ta pyjama dziwnie pachnie. Ja nigdy nie używam werweny.

DJONIZY — Ja też, jaśnie panie. Werweny nie lubię. (*wychodzi na lewo*).

ARTUR (*zbliżył się do Izy, podsuwa jej kłapę pyjamy*). — Proszę cię, powąchaj! (*Iza wącha*).
Prawda?

IZA (*spojrzała znacząco na Wandę*). — Ja nic nie czuję.

ARTUR (*urazony*). — Masz widocznie katar. (*do Wandy*). Powąchaj.

WANDA (*porozumiała się wzrokiem z Izą*). — Ja też nic nie czuję.

ARTUR (*dotknięty*). — I ty masz katar.

WANDA — Nie.

ARTUR (*powąchał*). — Wyraźnie werwena! (*zmiana tonu*). Nie podoba mi się ten nowy służący.

IZA (*obojętnie*). — Nie przyjmuj go.

ARTUR — Moje pierwsze wrażenie jest nieomyślne.
Gdybym go słuchał, ustrzegłbym się wielu przykrości.

WANDA — Czemuż więc go nie słuchasz?

ARTUR — Nie ufam nigdy pierwszemu wrażeniu.
(*Djonizy wraca z lewej strony, niosąc śniadanie na tacy*). Nareszcie!

IZA (*staje z fotela*). — Ja idę ubierać się.

WANDA (*wstała również*). — Ja także.

IZA (*do Artura*). — Ty po śniadaniu zdrzemniesz się?

ARTUR (*powąchał znów pyjamę, roztargniony*). —
Tak.

(*Siada na fotelu, Djonizy przysunął mu stolik, stawia śniadanie. Iza i Wanda, objąwszy się w pół, idą po schodach na górę*).

ARTUR (*stłukł jajko, ogląda, odsuwa z niezadowoleniem*). — Znowu za miękkie!... (*do Djonizego*).

Ja będę jadał pierwsze śniadania na mieście...
(krzyczy). Cztery minuty! (Iza i Wanda przy-
spieszają kroku i znikają na galerji). Djonizy sły-
szy? Cztery minuty!...

DJONIZY (bardzo strapiony, zabiera talerz z jajka-
mi). — Ja tylko jaśnie panu powiem: kucharka
jest zwyczajny patałach... Ma zegar...

(Słysząc dzwonek).

ARTUR (dostłyszał). — Co to jest?

DJONIZY (z talerzem w rękę, po chwili głębszego
namysłu). — Dzwonią.

ARTUR (niecierpliwie). — Gdzie dzwonią?

DJONIZY (j. w. nasłuchuje). — Do frontu. (ponow-
ny dzwonek). Ale mu się spieszy!

ARTUR (porywczo). — Djonizy powinien był już
otworzyć!

DJONIZY (z godnością). — Jaśnie panie, mam tyl-
ko jedną parę nóg. Skrzydeł Pan Bóg mi po-
skąpił.

ARTUR (wściekły). — Cóż to znowu? Wypraszam
sobie takie odpowiedzi! Djonizy słyszy?

(Djonizy spiesznie idzie do drzwi w głębi, otwiera je).

(Artur cukrzy herbatę, pomieszał łyżeczką, spróbował, skrzy-
wił się. Potem wziął masielniczkę, powąchał, znów niezadowo-
lony. Jednak zaczyna smarować bułkę).

DJONIZY (wrócił parę kroków). — Człowiek z listem
od pana Henryka. Prosi, żeby mógł osobiście...

ARTUR — Niech wytrze dobrze nogi... (je bułkę i po-
pija kawę).

SCENA 6.

ARTUR — DJONIZY — PIOTR

(wchodzi Piotr, za nim Djonizy).

ARTUR — Cóż to takiego?

PIOTR — Proszę łaski jaśnie pana, tu jest list...

(Wyciąga list, Djonizy odbiera go, zbliża się do stołu, kładzie list na talerzu i podaje Arturowi).

ARTUR *(spojrzał na kopertę, do Djonizego).* — Od pana Henryka... *(wyjął list, przeczytał, spojrzał zdumiony na Piotra).* Pan Henryk w a s przysłała?

PIOTR *(z ukłonem).* — Tak jest, jaśnie panie.

ARTUR *(wzburzony, do Djonizego, wskazując drzwi na lewo).* — A tamten?

DJONIZY — Jaki tamten?

ARTUR *(j. w.).* — No... jeśli ten jest protegowany pana Henryka, to kim jest tamten?

DJONIZY *(zaniepokojony).* — Skądże ja mogę wiedzieć, jaśnie panie.

PIOTR *(sentencjonalnie).* — Teraz takie osoby chodzą po świecie... Boże zachowaj!

ARTUR *(porywczo).* — A któż będzie wiedział? Ja? To nie Djonizy go tutaj wpuścił?

DJONIZY *(ogarnięty nagle okropnemi myślami).* — Nie... Ja go zastałem tu... *(wskazuje na kanapę).*

ARTUR *(porwał się z miejsca).* — Kiedy?

DJONIZY — Po północy.

ARTUR — Przecież panie były w domu!

DJONIZY — Były... *(nagle)*. Jaśnie panie, to jest bandyta!

ARTUR *(przerazony)*. — Bandyta? Połącz z komisarzatem. *(Djonizy biegnie do telefonu)*. Czeka... *(biegnie za nim)* Gdzie jest książka numerów...

(szukają, Djonizy podaje książkę cokolwiek drżącą ręką).

DJONIZY — Jest...

(W tej chwili Andrzej chce dyskretnie przejść z lewej strony na prawą. Nikt go nie widzi. Lecz kiedy Djonizy wymówił słowo: jest, Artur podniósł głowę, postrzega Andrzeja).

SCENA 7.

ARTUR — DJONIZY — PIOTR — ANDRZEJ —
FRANIA

ARTUR *(bezwiednie)*. — Jest! *(Djonizy i Piotr odwracają się, postrzegają Andrzeja, znieruchomieli. Artur do Andrzeja głosem stanowczym, w którym jednak znać wzruszenie)*. Stać! *(Andrzej zatrzymał się)*. Kto pan jesteś?

(Frانيا, bardzo zaciekawiona, stanęła w drzwiach z lewej strony).

ANDRZEJ *(objął wzrokiem całe towarzystwo, zrozumiał, że przyszedł moment krytyczny — hardo)*. — Andrzej Bożymirski.

ARTUR *(do Djonizego)*. — Bożymirski?

DJONIZY *(kiwnął głową, jak gdyby chciał powiedzieć, że to nie jego wina — do Andrzeja)*. —

Jaśnie pan pyta, skąd się pan tu wziął? Kto pana tu wpuścił?

ANDRZEJ (*niedbale*). — To moja rzecz.

ARTUR (*unoszą się*). — Jakto, pańska? Przepraszam! (*stanowczy*). Niech Djonizy telefonuje!

DJONIZY (*spojrzał nieufnie na Andrzeja*). — Zaraz. (*bierze książkę numerów, przewraca kartki drżącą ręką*). 577-77... (*wziął słuchawkę*). Alloo... alloo... (*tupnął nogą z niecierpliwością*). Alloo... 577-77. (*słucha*). Alloo... Czy to komisariat policji?

ANDRZEJ (*podskoczył do niego, wyjął mu słuchawkę z rąk, do telefonu*). — To pomyłka... przepraszam... (*odkłada słuchawkę i do Djonizego, groźnie*). W jakim celu chce pan dzwonić do policji?

(*Djonizy cofnął się przerażony za fotel, Piotr również zrobił mały odwrót*).

DJONIZY — Ja tylko tak... Jaśnie pan wyraził życzenie...

ARTUR (*przygląda się Andrzejowi z coraz większą uwagą*). — Pan przyszedł tutaj z polecenia mojego przyszłego szwagra? (*Andrzej milczy*).

PIOTR (*zdaleka*). — A list pan miał?

ANDRZEJ — Nie.

PIOTR (*z tryumfem, do Artura*). — Nie miał.

ARTUR — Więc co?

PIOTR — Nic... tylko, że nie miał.

ARTUR (*bada go dalej wzrokiem*). — Pan chce u nas objąć służbę?

ANDRZEJ — Nie. Nie podoba mi się tutaj... i wogóle mam tego dosyć. (*do Djonizego*). Gdzie mój frak?

DJONIZY (*niepewnym głosem*). — W kredensie.

FRANIA (*skwapliwie*). — Ja zaraz przyniosę! (*wybiega*).

ARTUR (*podniesionym głosem*). — Pytam raz jeszcze, skąd się pan tu wziął?

ANDRZEJ (*niedbale*). — Lubię w nocy przechadzać się po dachach... było ciemno... wpadłem w komin... Kminy powinny być zabezpieczone...

ARTUR (*wzburzony*). — Panie, ja nie lubię żartów!

ANDRZEJ — Pozbawia się pan dużej przyjemności.

FRANIA (*wpada z frakiem w rękę*). — Jest frak!

ANDRZEJ (*odbiera od niej, obejrzał i do Artura, zdziwiony*). — Na jedwabnej podszewce! (*podsuwa Arturowi przed oczy*).

ARTUR (*uderzony*). — Werwena! (*patrzy zdumiony na Andrzeja*).

ANDRZEJ (*nie rozumie*). — Werwena?

ARTUR (*bardzo wzburzony, do Djonizego*). — Niech Djonizy telefonuje...

ANDRZEJ (*staje między nimi a aparatem — groźnie*). — Nie!

(*Djonizy nie wie, co ma zrobić, bo się boi Andrzeja. Na galerji pokazują się Iza i Wanda, już ubrane w popołudniowe toalety*).

SCENA 8.

CIŻ — IZA — WANDA — HENRYK

IZA (*wychyliła się z galerji*). — Co się tu stało?

ARTUR (*zmienionym głosem*). — Bądź łaskawa zejść.
(*gestem prosi, żeby zeszła*).

IZA (*do Wandy*). — Chodź...

(*Obie idą pospiesznie na dół*).

DJONIZY (*nasłuchiwał, przerażony*). — Ktoś wszedł
do kredensu! Napewno współnik! Niech panna
Frانيا zamknie drzwi!

FRANIA (*usiłuje zamknąć drzwi z lewej strony*).
— Ciągnie.

HENRYK (*za drzwiami*). — Proszę otworzyć!

FRANIA (*w rozpacz*). — Nie utrzymam! Panie
Djonizy!

DJONIZY (*do Piotra*). — Trzymaj pan!

PIOTR (*odmawia*). — Ja jestem bardzo nerwowy.
Nie mogę...

(*Drzwi z lewej strony otwierają się, Frania odskoczyła, wchodzi
Henryk*).

ARTUR (*zdumiony*). — To ty?

HENRYK (*t. s.*). — Co tu się dzieje?

ARTUR (*do Izy, która stanęła wraz z Wandą przy
nim*). — Czyś ty wiedziała, że ten pan tutaj no-
cował?

IZA — Tak.

HENRYK (*nagle dostrzegł twarz Andrzeja i poznał
go — zdumiony*). — Pan tutaj?

- ARTUR (*niemniej zdumiony*). — Ty go znasz?
- HENRYK (*wytracony z równowagi*). — Tak. Nie...
to jest... właściwie...
- ARTUR (*niecierpliwie*). — Znasz, czy nie znasz?
- HENRYK (*j. w.*). — Znam... i nie znam... spotkaliśmy się... (*do Andrzeja*). Wiem, że ten pan lubi Veuve Cliquot z pomarańczową etykietą, ale nie wiem, jak się nazywa.
- ARTUR (*objął kolejnym spojrzeniem Izę i Wandę*).
— Ach, tak? Na maskaradzie?
- IZA (*prezentuje Andrzeja Henrykowi i Arturowi*).
— Pan Andrzej Bożymirski.
- ARTUR (*do Djonizego, który wciąż stoi z frakiem w rękę, przysłuchując się z zainteresowaniem rozmowie*). — Djonizy może odejść... (*do Piotra, który również czeka nieco dalej*). Przyjdźcie jutro, przed południem...
- DJONIZY — A ten frak?
- ARTUR (*zapomniał*). — Jaki frak? (*Djonizy pokazuje — niecierpliwie*). Niech Djonizy położy tu... tam... wszystko jedno! (*do Andrzeja, oficjalny*). Wolno spytać, czem pan się trudni?
(*Djonizy położył frak na krzesła i z godnością wyprowadza Piotra na lewo*).
- ANDRZEJ — Poeta... filozof... badacz życia.
(*Artur i Henryk wymienili zdziwione spojrzenia*).
- ARTUR — Trudno... To znaczy, że... (*gest*) pan pisze?
- ANDRZEJ — Nie, panie. Nie piszę.
- HENRYK — W takim razie, co pan robi?

ANDRZEJ — Wogóle? Nic nie robię. Zostawiam to innym. Człowiek, który chce żyć pełnem życiem, nie powinien nic robić.

ARTUR — Człowiek musi pracować, bo musi myśleć o jutrze?

ANDRZEJ — Jestem wprost przeciwnego zdania... zgoła przeciwnego (*do Izy i Wandy*). Panie nie chcą usiąść?

IZA (*siada, zaprasza go gestem*). — Proszę...
(*Wszyscy siadają, Artur niezadowolony*).

ANDRZEJ (*do Artura*). — Dla mnie, łaskawy panie, istnieje tylko dzień dzisiejszy. Gdyby każdy człowiek myślał wyłącznie o dniu dzisiejszym, ileż życie byłoby lepsze! Jutro jest zawsze niepewne. Pojutrze, to już metafizyka. Kto może dziś wiedzieć, jakim jutro będzie świat? Dziś niebo tchnie słodkim spokojem, jutro nowa głupia planeta zawadzi ogonem o ziemię, i ziemia rozprysnie się w pył. Ja sam... dziś kocham się w blondynkach, jutro nie będę mógł znieść ich zapachu... Dziś smakują mi pomidory, jutro będę jadł tylko kalafiory. Więc mam już dziś myśleć o kalafiorach? (*do Henryka*). Nie, łaskawy panie, ja wolę dziś delektować się pomidorami...

ARTUR (*przerywa, widocznie zniecierpliwiony*). — Proszę pana, w ten sposób nigdy nie dojdziemy do ładu.

ANDRZEJ (*uprzejmy*). — Tem lepiej, łaskawy panie! Ja nienawidzę ładu. Mam wstręt do ładu. Interesującym jest tylko bezład. Z chaosu powstał świat! (*wstał, kłania się dworsko Izie*

i Wandzie). Panie pozwolą sobie podziękować za gościnność... Byłbym niepokieszony, gdyby z mego powodu doznały panie najmniejszej przykrości... (*do Artura, wytwornie i hardo*). Pan raczy wybaczyć to małe nieporozumienie... (*skłonił lekko głową, jak gdyby chciał iść*).

ARTUR (*wstał również*). — Przepraszam pana... pan jeszcze nie wyjaśnił, dlaczego pan udawał służącego...

ANDRZEJ (*niedbale*). — Właściwie... to samo się tak złożyło... Chciałem być użyteczny.

(*Henryk wstał, stanął obok Artura*).

ARTUR — Pan sobie z nas drwi.

HENRYK — Pan sobie wyraźnie z nas drwi!

ANDRZEJ — Panowie darują... Rozmowa staje się poważna... Owszem... chętnie służę, ale przedtem muszę zdjąć ten fartuch. (*gest*). Panowie pojmują... Nie mogę w fartuchu...

ARTUR — Tam jest garderoba. (*wskazał drzwi na prawo*).

ANDRZEJ (*zabiera swój frak*). — Za chwilę powrócę. (*składa głęboki ukłon paniom i wychodzi*).

HENRYK (*do Artura*). — Fenomen!

ARTUR (*do Henryka*). — Fenomen!

SCENA 9.

IZA — WANDA — ARTUR — HENRYK

(*Dłuższa chwila milczenia*).

IZA (*zdenerwowana, do Artura*). — Nie rozumiem, o co ci chodzi? Że poszłyśmy na maskaradę?

Nie byliśmy same. (*wzrokiem wskazuje Henryka, Artur obrzucił go pełnem wyrzutów spojrzeniem*). Że przyjęliśmy tego pana? Odwiózł nas... było późno... został na noc.

ARTUR — Zastaję w domu obcego draba, który śpi w mojej pyjampie... (*zaleciał go zapach werwiny, skrzywił się z obrzydzenia*), który udaje słuchającego... przepraszam — ja jeszcze mam się z tego cieszyć? Mam go może prosić, żeby został na obiedzie?... Wypić z nim bruderszaft? Proszę cię, nie żenuj się! Już jesteśmy tak daleko, że nie potrzebujesz się krępować!

IZA (*porwała się z miejsca*). — Co to ma znaczyć? Podejrzewasz mię. (*mierzą się wzrokiem*). Podejrzewasz! Więc tak! Masz słuszność! Ja mam już tego dosyć. Tak. Ten pan jest moim kochankiem!

WANDA — Izo!

HENRYK — Pani Izo!

IZA — Teraz możesz robić, co ci się podoba! (*wybiega szybko po schodach na galerję. Henryk pobiegł za nią, chcąc coś powiedzieć, zatrzymał się, stanął*).

HENRYK (*do Artura*). — Chyba nie będziesz brał serjo tego, co w rozdrażnieniu...

ARTUR (*z naciskiem*). — Ja zawsze wszystko traktuję serjo. (*idzie wolno w głąb, stanął przed oknem, w zamyśleniu dzwoni palcami w szyby*).

WANDA (*porywczco do Henryka*). — Wszystkiemu jest pan winien! Dlaczego pan się wczoraj zgubił?

HENRYK — Ja wszędzie pań szukałem! To był jakiś specjalny pech!

WANDA — Właśnie! Pana zwykły pech!

HENRYK (*ciszej*). — Po co go panie przyjęły tutaj?

WANDA (*oburzona*). — Proszę pana, niech pan już nie zaczyna!

HENRYK (*wskazuje na butelki, które zostały na dalszym stole*). — I jeszcze panie piły wino!

WANDA (*wyzywająca*). — Więc co? Niech pan powie! Proszę.

HENRYK — Pani wybacz... to nie było stosowne!

WANDA (*j. w.*). — I dalej?

HENRYK (*podrażniony*). — Właśnie, że nie wiem, co dalej.

WANDA (*w pasji*). — Co? Pan nie wie? Pan pozwala sobie nie wiedzieć? Więc niech pan wie... (*do Artura*) i ty także! Tak! (*Artur odwrócił się*). Ten pan (*gest w stronę drzwi na prawo*) jest moim kochankiem. (*do Henryka*). Jest pan zadowolony? Moim kochankiem! (*wybiega szybko po schodach na galerję*).

ARTUR (*do Henryka*). — Podrażniłeś ją...

HENRYK (*wzburzony*). — Coś podobnego! ...Coś podobnego tylko mnie może się zdarzyć...

ARTUR — Nie bierzesz przecie tego na serjo?

HENRYK — Dziękuję ci! Owszem! Dziękuję...

(*Artur wrócił do swego okna, Henryk podszedł nerwowo do drugiego i zaczyna również bębnić w szybę*).

SCENA 10.

ARTUR — HENRYK — FRANIA — DJONIZY

(Z lewej strony wybiega Frania, zaczerwieniona i podniecona. Za nią w drzwiach staje Djonizy. Oboje nie widzą Artura i Henryka).

FRANIA — Pan Djonizy za dużo sobie pozwala! Nie potrzebuję lekcji!... Jak pan się ze mną ożeni, to będzie pan miał prawo, ale nie teraz!

DJONIZY *(uparty)*. — Ja tylko chcę wiedzieć... tak albo nie?

FRANIA *(nagle uśmiech przebiegł po jej twarzy, wyzywająca)*. — Tylko tyle? Pan Djonizy nie jest wymagający. Więc tak! Ten pan, to mój kochanek! Dla mnie tu przyszedł!

DJONIZY *(wściekły, krzyczy)*. — Nieprawda! Frania kłamie!

ARTUR i HENRYK *(obrócili się oburzeni)*. — Cóż to znowu? Oni także?

ARTUR — Djonizy zapomina, gdzie się znajduje!

FRANIA *(przerażona)*. — Ach!

(zmyka szybko po schodach na galerję, Djonizy nie mniej spiesźnie rejteruje w drzwi na lewo).

ARTUR — Djonizy! *(Djonizy zatrzymał się)*. Proszę sprowadzić taksówkę... *(gest w prawą stronę)* dla tego pana...

DJONIZY *(półgłosem)*. — Jeszcze taksówkę! *(znika za drzwiami)*.

SCENA 11.

ARTUR — HENRYK — ANDRZEJ

(Andrzej wychodzi z prawych drzwi. Zdjął fartuch, jest we fraku).

ARTUR *(wskazał wzrokiem znikającego Djonizego).*

— Kazałem sprowadzić panu taksówkę.

ANDRZEJ *(instynktownie pomacał się po kieszeniach, uprzytomnił sobie, że nie ma pieniędzy).* —

Ja właściwie... wolałbym się przejść...

ARTUR *(oziębły).* — Tutaj jest takie błoto, że piechotą wracać do miasta niepodobna...

ANDRZEJ *(oficjalny).* — Jak pan uważa... Więc proszę... Jeśli panowie czują się obrażeni, mój adres: Widok 32, telefon 604-75. Nie wiem, który z panów pretenduje do pierwszeństwa... *(do Henryka).* Czuję się w obowiązku uprzedzić pana, że strzelam z pistoletu pierwszorzędnie. Na trzydzieści kroków, o zakład trafię pana w pępek...

HENRYK *(obrażony).* — Mój panie, ja sobie wypraszam...

ANDRZEJ — Mogę się założyć o sto złotych. Na trzy strzały — dwie kule w pępek!

HENRYK *(j. w.).* — Pan zdaje się być pozbawiony wszelkiego poczucia etycznego!

ANDRZEJ *(groźnie).* Pan zapomina, że ja już zdjąłem fartuch...

ARTUR *(staje między nimi).* — Proszę panów! Przedewszystkiem spokój!

- ANDRZEJ (*do Artura, wyniosły*). — Pan daruje... Ja w tej chwili nie czuję się usposobiony do dalszej rozmowy. Jeśli panowie chcą, możemy się spotkać... choćby dziś jeszcze... najlepiej na gruncie neutralnym. Ja będę cały dzień w domu... (*kłania się oficjalnie, nie wyciągając ręki*).

SCENA 12.

CIŻ — DJONIZY

DJONIZY (*w drzwiach z lewej strony*). — Jest tak-sówka! (*Idzie w głąb, odnajduje paltot i kapelusze Andrzeja, niesie je z widocznym lekceważeniem*).

ARTUR (*do Andrzeja, oficjalnie*). — Żegnaj pana...

DJONIZY (*do Andrzeja*). — Paletocik!

(*Artur i Henryk wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Artur przytem mimowoli powąchał rękaw pyjamy i jej zapach ogarnął go takim wstrętem, że aż się wzdrygnął*).

ARTUR (*do Henryka, zboliałym głosem*). — Ja muszę włożyć coś innego.

DJONIZY (*który właśnie podaje paltot Andrzejowi, do Artura, wskazując drzwi garderoby na prawo*). — Przygotowałem dla jaśnie pana... tę lżejszą! (*Artur idzie na prawo, Henryk, zamysłony, bezwiednie podąża za nim*).

ANDRZEJ (*w paltocie już, szapokłak w ręku — do Djonizego*). — Czy moglibyście mi zmienić sto złotych?

DJONIZY (*ocknęła się w nim zawsze żywotna inklinacja do napiwków*). — Zaraz zobaczę. (*wyjął skwapliwie zatłuszczony pugilares, podaje Andrzejowi pojedyncze papierki*). — Dwadzieścia... czterdzieści... sześćdziesiąt... siedemdziesiąt... Więcej nie mam.

ANDRZEJ (*wyniosły*). — Wszystko jedno... (*bierze pieniądze*). Dwadzieścia dla was... (*zastanowił się, zatrzymał — i całą paczkę pieniędzy chowa niedbałym ruchem do kieszeni*). Albo nie... Dziś banki zamknięte... Jutro odeślę wam całe sto... (*Djonizy patrzy nań równie mocno zdziwiony, jak za niepokojony. W tej chwili wraca Artur w innej pyjamie i Henryk*).

ANDRZEJ (*do Artura i Henryka, bardzo oficjalnie*). — Żegnaj panów! (*kiwnął głową Djonizemu i szybko idzie w głąb*).

DJONIZY (*biegnie za nim*). — Proszę pana...

ARTUR (*surowy*). — Djonizy!

DJONIZY (*odwrócił się*). — Słucham!

ARTUR (*wskazując butelki po winie i kieliszki*). — Trzeba sprzątnąć to... Właściwie powinno już być dawno sprzątnięte...

(*Andrzej znika za drzwiami, Djonizy popatrzył za nim strapionym wzrokiem. Idzie, widocznie zdenerwowany, sprzątać butelki*).

ARTUR (*do Djonizego*). — I teraz chcemy być sami!

HENRYK (*gest*). — Nikogo!

DJONIZY (*zabiera butelki i wychodzi*). — Słucham, jaśnie pana.

SCENA 13.

ARTUR — HENRYK

ARTUR — Musimy rozważyć wszystko spokojnie. Bez podniecenia. Siadaj... (*Henryk siada w fotelu, Artur na kanapie*). Nie przypuszczasz, chyba, ażeby Wanda...

HENRYK — Nie chcę nawet dopuścić takiej myśli... Ale ty również.

ARTUR — Oczywiście. Ze strony Izy była pewna lekkomyślność...

HENRYK (*przerywa*). — Nieostrożność...

ARTUR (*zgodził się*). — Nieostrożność. Ale nie mamy powodu... (*zatrzymał się, bo jakiś podejrzany zapach zakłócił mu tok myśli. Pochylił się nad zwątem poduszek, na których spoczywała głowa Andrzeja — z odrazą*). Nie... znów ten odór! Do diabła! Ten człowiek musi się kąpać w werwieniu! (*widząc, że Henryk nie reaguje, chwytą w pasji poduszkę i podsuwa mu ją pod nos*). Powąchaj!

(*W trakcie, gdy Henryk wącha, uwagę Artura zwrócił jakiś przedmiot, który leżał pod poduszką. Patrzy nań przez chwilę, potem sięga ostrożnie ręką, bierze w dwa palce, podnosi do góry*).

HENRYK (*odgarnął poduszkę — zdumiony*). — Grzebyk?

ARTUR — Grzebyk... Grzebyk kobiecy...

HENRYK — Kobiecy?

ARTUR — Tak.

HENRYK — Kobiocy. Wiesz, czyj?

ARTUR — Nie wiem... Może Wandy...

HENRYK — Raczej pani Izy...

ARTUR — Dlaczego?

HENRYK — Nie wiem...

ARTUR — One tutaj nigdy nie wypoczywają...

HENRYK — Nigdy!

(Przyglądają się, głęboko poruszeni, grzebykowi. Henryk kładzie go ostrożnie na stole. Artur pochylił się nad nim, popatrzył).

HENRYK — Więc co?

ARTUR *(unoszą się)*. — Jakto co? Proszę cię, czego ty chcesz odemnie? Nie rozumiem...

HENRYK *(przerywa)*. — Przepraszam... *(chwila milczenia)*. Ty sądzisz, że ten grzebyk?...

ARTUR — Nie wiem! *(z rosnącą wściekłością)*. Nie wiem! Nie wiem!

Zasłona spada.

A K T III.

(Taż sama dekoracja. Godzina 5-ta po południu. Lamy zapalone. Artur i Henryk siedzą tak, jak siedzieli przy zapadnięciu kurtyny po II-gim akcie).

SCENA 1.

ARTUR — HENRYK

HENRYK (*ciągnie dalej długą, uporczywą rozmowę*).

— Kobieta nigdy się nie przyzna, jeśli jest winna. Choćbyś ją przychwycił na gorącym uczynku, w żywe oczy zaprzeczy.

ARTUR (*zainteresował się*). — Miałeś takie zdarzenie?

HENRYK (*zmieształ się*). — Tak... nie... Jeden z moich przyjaciół... Z kobietą niema nigdy pewności.

ARTUR — Dla kobiet niema reguł ogólnych — są tylko poszczególne przypadki. (*spojrzał na zegarek*). Pięta! Dyskutujemy sześć godzin i nic!

HENRYK — W każdym razie ustaliliśmy fakty. Albo Wanda, albo... (*urwał*).

ARTUR (*zjadliwy*). — Tybyś, oczywiście, wolał...

HENRYK (*t. s.*). — A ty? (*chwila milczenia*). Jesteś inteligentny, prawda?

ARTUR — Bardzo.

HENRYK — Więc mówmy spokojnie. Ty, bądź co bądź, jesteś żonaty. Żonatym ludziom takie rzeczy zawsze się zdarzały... muszą się zdarzać... Trudno! Ale ja jestem dopiero narzeczony! Przepraszam! To już byłaby przesada! Na dwa miesiące przed ślubem? Sam przyznaj! To już byłaby przesada! (*unos się*). Jabym tego draba zastrzelił.

ARTUR — Ba! Lecz jeśli on przedtem ciebie trafi w pępek?

HENRYK (*urazony*). — Mój drogi, już ty przynajmniej zostaw mój pępek w spokoju! (*unos się*). I jeszcze każe za siebie płacić szampana! Veuve Clicquot z pomarańczową etykietą... Innego nie pija! I migdałki w soli... (*zmiana tonu*). Myślisz, że on mi zwróci?

ARTUR — Nie.

HENRYK — Coś podobnego tylko mnie mogło się wydarzyć! (*chwila milczenia*). Co one teraz robią? (*gest w stronę galerji*).

ARTUR — Nie wiem.

HENRYK — Nie chciały zejść na obiad... Ja teraz trochę żałuję, że myśmy też nie jedli... Nie jesteś głodny?

ARTUR — Owszem... nie...

HENRYK — Ja sądzę, że one zreflektowały się i same teraz żałują... A może w istocie nic nie było?

ARTUR (*wziął ze stołu grzebyk, podniósł go do góry z widocznym wstrętem*). — A to?

HENRYK — Cholera!

ARTUR (*schował grzebyk do kieszeni*). — Swoją drogą jestem przekonany, że Iza... że jej musi być bardzo przykro... Może nawet więcej.

HENRYK — Pani Iza jest uczuciowa.

ARTUR — Wanda jest bardzo ambitna.

HENRYK (*żywo*). — Tak! Ona musi również bardzo cierpieć!

(W tej chwili z pokojów na galerji daje się słyszeć pieśń cygańską z 2-ej odslony. Śpiewa Iza, akompanijująca sobie widocznie na pianinie. Wanda czasem wtórzy jej).

ARTUR (*po chwili, oburzony*). — Śpiewają!

HENRYK (*poruszony*). — Pani Iza... I panna Wanda!

ARTUR — My tutaj sześć godzin, a one — śpiewają! (*wstał i idzie do dzwonka, dzwoni*).

HENRYK (*wstał*). — To jest wprost niesłychane! (*słucha*). Tak... to ta sama pieśń.

ARTUR (*nie zrozumiał*). — Jakto, ta sama?

HENRYK — Śpiewali ją na maskaradzie.

ARTUR (*dzwoni jeszcze raz*). — Ja nie mogę słuchać tej muzyki...

HENRYK (*zaniepokojony*). — Co chcesz zrobić?

ARTUR — Jak postanowiliśmy... Ty będziesz mówił naprzód z Izą... Jasno i stanowczo.

HENRYK (*j. w.*). — Ja mam jednak wątpliwości, czy nie lepiej byłoby, żebyś ty sam...

ARTUR (*przerywa*). — Przepraszam... radziliśmy nad tem przez dwie godziny i zdecydowaliśmy ostatecznie, że ty będziesz rozmawiał z Izą, a ja

z Wandą... W ten sposób będziemy nad sobą lepiej panować... *(w drzwiach z lewej strony Djonizy)*. Nareszcie!

SCENA 2.

CIŻ — DJONIZY

DJONIZY *(ponury)*. — Jaśnie pan dzwonił?

ARTUR *(z wymówką)*. — Dwa razy! Poproś tu panią. *(pociągnął nosem zapach z poduszek, nagle wściekły)*. I zabierz te poduszki! Trzeba je wywietrzyć... *(Djonizy idzie po schodach na górę, Artur unosi się)*. Rozumie Djonizy? Trzeba je wywietrzyć!

DJONIZY *(idąc po schodach)*. — Jak trzeba, to się wywietrzy!

ARTUR *(do Henryka)*. — Ja tymczasem przebiorę się... Nie uwierzysz... ja ciągle i wszędzie czuję ten zapach... Obsesja! Chorobliwa obsesja! *(wychodzi na prawo)*.

(śpiew na górze urwał się).

SCENA 3.

IZA — HENRYK — DJONIZY

(Iza schodzi po schodach, za nią Djonizy).

DJONIZY — Przepraszam jaśnie panią, czy ten pan, co tu był dzisiaj, prędko znów będzie?

IZA *(zdziwiona)*. — Dlaczego Djonizy pyta?

DJONIZY — Tak... mam do niego interes...

IZA (*j. w.*). — Interes? Nie wiem. (*powiodła wzrokiem po hall'u*). Gdzież jest pan?

DJONIZY (*rozgląda się*). — Dopiero co był!

HENRYK (*postępuje parę kroków*). — Artur prosił mię, bym w jego imieniu...

IZA (*chłodno*). — Ach... więc jako ambasador!... (*Djonizy zabiera poduszki z kanapy*). Dlaczego Djonizy wynosi te poduszki?

DJONIZY — Jaśnie pan kazał wywietrzyć... (*wychodzi na lewo*).

SCENA 4.

IZA — HENRYK

IZA (*nie siada*). — O czym pan chce mówić?

HENRYK — W sprawie bytności tego pana...

IZA — Nie mam zamiaru z panem w tej sprawie dyskutować. (*chce iść na górę*).

HENRYK — Pani Izo! Jest niezbity dowód. Jedna z pań... (*urwał*).

IZA — To znaczy ja albo Wanda?

HENRYK — Tak.

IZA (*wyzywająco*). — Więc co... jedna z pań?

HENRYK (*wytrącony zupełnie z równowagi*). — Że jedna z pań... tutaj... (*wzrok jego padł na kanapę*).

IZA (*oburzona*). — Pan pozwala sobie na insynuacje!...

HENRYK (*cofa się*). — Ja nie... ja tylko z polecenia Artura...

IZA — Głupi! (*Henryk stoi osłupiały. Ona biegnie na górę i ze schodów rzuca mu jeszcze raz*). Głupi!

SCENA 5.

HENRYK — ARTUR — DJONIZY

ARTUR (*wygląda z lewej strony*). — Jakto? Już?

HENRYK (*bardzo obrażony*). — Już.

ARTUR — I co?

HENRYK — Dziękuję ci. (*opanował się*). Owszem...
bardzo serdecznie... Ale nic konkretnego.

ARTUR (*niecierpliwy*). — Cóż ci powiedziała? Przecież coś musiała powiedzieć?

HENRYK — Nic takiego, coby właściwie... Tylko parę miłych słów. (*do Djonizego*). Djonizy! (*Djonizy wychodzi z tych samych drzwi, co Artur*). Może Djonizy poprosi tutaj pannę Wandę... (*macnął się po brzuchu, skrzywił*). A potem może Djonizy da mi cokolwiek przegryźć... Czuję taką czczość!...

DJONIZY (*życzliwy*). — Kieliszek madery i trochę szynki?

HENRYK (*zbołały*). — Bułeczka, masło... (*Djonizy idzie na górę — do Artura*). Ty nie doznajesz takiej czczości?

ARTUR — To znaczy, żeś ty źle postawił kwestję.

HENRYK (*bardzo obrażony*). — Proszę cię, masz pole... Życzę ci lepszego powodzenia... (*wychodzi na prawo*).

SCENA 6.

DJONIZY — ARTUR — WANDA

WANDA (*szorstko, ze schodów*). — Czego chcesz?

ARTUR — Zejdź na chwilę.

WANDA (*schodzi*). — Uprzedzam cię, że nie jestem usposobiona do dłuższych rozmów.

ARTUR — Usiądź.

WANDA — Nie mam ochoty.

ARTUR (*podrażniony*). — Więc dobrze... niech będzie i tak. Czy wiesz, że ten... ten pan z maskarady był tutaj (*gest w stronę kanapy*) nie sam...

WANDA (*poruszona*). — Jakto, nie sam?

ARTUR — No... tu była z nim (*gest*) była...

WANDA — Kto był?

ARTUR — Właśnie o to chodzi.

WANDA — Co to ma znaczyć?

ARTUR — Jakto, co ma znaczyć? Ty jeszcze nie rozumiesz? Jest dowód, że tu... (*gest w stronę kanapy*).

WANDA — Jaki dowód?

ARTUR — Niewątpliwy.

WANDA — Ja się pytam, jaki?

ARTUR — To nie ma w tej chwili nic do rzeczy. Niewątpliwy.

WANDA — Więc czego chcesz odemnie?

ARTUR (*zdziwiony*). — Jakto, czego chcę od ciebie?

WANDA — Czy sądzisz, że gdybym to była ja, to nie miałabym nic pilniejszego, jak opowiedzieć ci wszystkie szczegóły?

ARTUR — Nie.

WANDA — A jeżeli nie ja tu byłam, to skąd mogę wiedzieć, co się tu działo?

ARTUR — Z tobą nie można rozmawiać.

WANDA — Głupi!

ARTUR (*urazony*). — Proszę cię!

WANDA (*nachodzi na niego*). — Głupi!

(*Artur cofa się na prawo, Wanda idzie po schodach*).

SCENA 7.

ARTUR — HENRYK — WANDA

HENRYK (*wyjrzał z za drzwi*). — Dowiedziałeś się?...

ARTUR (*zagadkowy*). — Nie...

HENRYK (*niecierpliwie*). — Ale co ci powiedziała?

ARTUR — Nie słyszałeś?

HENRYK — Nie.

ARTUR (*uspokojony*). — Powiedziała mi... powiedziała mi... (*nagle zniecierpliwiony*). Przepraszam, co powiedziała, to powiedziała... (*wychodzi na lewo, za nim Henryk*).

WANDA (*na schodach*). — Iza!

IZA (*wychodzi na galerję*). — Co?

WANDA (*wzburzona*). — Proszę cię, zejdz...

SCENA 8.

IZA — WANDA

IZA (*z galerji, zmienionym głosem*). — Czego chcesz?

WANDA (*stara się zapanować nad szorstkością tonu*). — Proszę cię, zejdz na chwilę... (*podchodzi żywo do schodów*). Czy wiesz, co oni mówią? (*Iza, schodząc ze schodów, zatrzymała się*). Że ten pan... Bożymirski spędził tutaj (*wskazuje kanapę*) noc... nie sam! Ża mają dowód!

IZA (*schodzi*). — Tak.

WANDA (*zdziwiona i zarazem urażona*). — Ty wiesz o tem? I nic mi nie powiedziałaś?

IZA (*z utajoną insynuacją*). — Sądziłam, że może wiesz lepiej.

WANDA (*porywczo*). — Jak to rozumiesz? (*Iza usiadła w fotelu, milczy*). Ty... ty mnie podejrzewasz?

IZA (*z udaną obojętnością*). — Wogóle nic mię to nie obchodzi.

WANDA (*rośnie w niej oburzenie*). — Ty mnie podejrzewasz? Ja mogłabym tak samo podejrzewać ciebie!

IZA (*obrażona*). — Nie jestem usposobiona do żartów. (*wstaje, chcąc odejść*).

WANDA — Ty mnie posądzasz, a sama...

IZA (*chłodna, lecz wyzywająca*). — Co sama?

WANDA — Zdawałoby się, że ja mogłabym mieć więcej powodów... (*urwała*).

IZA (*j. w.*). — Jakich powodów?

WANDA — Nie powiesz chyba, że on przedemną klęczał, że mnie się oświadczał...

IZA — Chcesz przez to powiedzieć, że ja go zachęcałam? (*chwila milczenia*). Tak, ja!

WANDA (*porywczo*). — Nieprawda!

IZA — Gdyby jednak tak było?

WANDA (*po chwili wahania*). — Kochałabym cię tak samo! (*bierze ją za rękę*). A gdybym to była ja?

IZA (*sili się na wesołość*). — Nie darowałabym ci nigdy! (*chwila milczenia*).

WANDA (*wstaje*). — Z tem jednak trzeba raz skończyć... (*idzie szybko do telefonu, bierze słuchaw-*

kę. Iza patrzy na nią zdziwiona, nie rozumiejąc, co zamierza zrobić). Alloo!... 604-25.

IZA (*podchodzi do niej, zaniepokojona*). — Chcesz z nim mówić?

WANDA (*porywczo*). — Ja nie znoszę sytuacji dwuznacznych.

IZA (*j. w.*). — Co chcesz mu powiedzieć?

WANDA (*palec na ustach*). — Cicho... (*do telefonu, zmiana tonu na uprzejmy, salonowy*). Alloo!... To pan Bożymirski? Wczorajsza znajoma. (*słucha*). Iza jest przy mnie... (*słucha*). Dobrze, powiem jej... (*do Izy*). Całuje skraj twojej szaty... (*do telefonu*). Dobrze powtórzyłam? (*słucha*). Idzie nam o to, żeby pan natychmiast tu przyjechał... (*słucha*). Tak... nowe rzeczy... Zaraz!... (*słucha, zdziwiona*). Jacy świadkowie? Pan się chce pojedynkować? (*do Izy*). On także zwarzjował! (*do słuchawki*). Nie, to do Izy... Mówię, że pan także zwarzjował... Tylko pana brakowało do kompletu... (*stanowczo*). Ma pan zaraz przyjechać, rozumie pan? Co? Z Henrykiem? Dlaczego z Henrykiem? (*do Izy*). Chce przedtem rozmówić się z Henrykiem.

IZA (*zabiera jej słuchawkę, Wanda w pierwszej chwili opiera się*). — Daj! (*do słuchawki*). — Proszę, niech pan zaraz przyjedzie... Co? (*do Wandy*). — Przerwali...

WANDA — Zawsze przerywają, gdy się rozmawia o czymś ważnym... Pozwól... (*chce odebrać jej słuchawkę*).

IZA — Nie... zaraz...

(nagle milkną, bo Artur i Henryk wchodzą żywo, widocznie obaj podnieceni).

SCENA 9.

IZA — WANDA — ARTUR — HENRYK

ARTUR *(porywczy)*. — Błagam cię, zmień temat...!
Ja już nie mogę! Ty w końcu wywiercisz mi dziurę w brzuchu! *(z gestem)*. Taką!

HENRYK *(gorzki)*. — Tybyś wolał, jak struś, schować głowę w piasek...

ARTUR — Gdybym się nie lękał, że się obrazisz, powiedziałbym ci, że jesteś głupi.

HENRYK *(urazony)*. — Wolę, żebyś mi tego nie mówił. Powiem ci natomiast, że ty, który uważasz się za bardzo inteligentnego, w tym wypadku...

ARTUR *(przerywa — zły)*. Nie kończ!

HENRYK *(urwał)*. — Dobrze. Więc tylko wyprowadźmy ostateczne wnioski. Ty w dalszym ciągu obstajesz, że to mogła być tylko Wanda...

WANDA *(oburzona)*. — Co?

(Iza palcem na ustach, powstrzymuje ją).

HENRYK *(zdziwiony do Artura)*. — Co?

ARTUR — Ja nic nie mówię.

HENRYK — A ja twierdzę, to już było widocznem na reducie, że tym panem była bardzo zajęta pani Iza.

IZA *(oburzona)*. — Co?

HENRYK *(do Artura)*. — Co?

(obracają się obaj, postrzegają panie).

ARTUR (*podejrzliwie*). — Jesteście tutaj?

WANDA (*do Henryka*). — Telefonował pan Bożymirski. Pragnie mówić z panem.

HENRYK — Ja właśnie sam chciałem do niego dzwonić.

IZA (*oścjalnie*). — Nie przeszkadzamy. (*do Wandy*).
Idziesz?

WANDA (*zmierzyła górnem spojrzeniem Henryka i Artura*). — Oczywiście!... (*do Henryka*). 604-25.
(*Idą obie na górę, znikają na galerji*).

SCENA 10.

ARTUR — HENRYK — DJONIZY

(*Artur, widocznie zgnębiony, usiadł w fotelu, Henryk idzie do telefonu, bierze słuchawkę*).

HENRYK — Alloo!... Alloo!... (*niecierpliwie*). Alloo...
(*do Artura*). Mnie nigdy odrazu nie połączą...
A jeśli się śpieszę... zawsze conajmniej godzinę...
Alloo... Nareszcie! 604-25... (*Słucha—do Artura*).
Jeszcze mi nawymyślała... (*do słuchawki*). Pan
Bożymirski? (*słucha*). Tak... właśnie. Czy pan
mógłby tutaj zaraz przyjechać? (*zdziwiony*).
Nie? (*do Artura*). Nie może! (*do słuchawki*).
Dlaczego? Wysłał pan świadków?

ARTUR (*zdziwiony*). — Jako świadków?

HENRYK (*daje mu znak ręką, by nie przeszkadzał*).
— Wszystko jedno... My musimy pomówić z panem.
— (*do Djonizego, który wyszedł z lewych drzwi*).
Czy tu nie byli dwaj panowie?

DJONIZY — Nie... Ale teraz ktoś dzwoni od ulicy...
(*idzie w głąb*).

HENRYK (*do słuchawki*). — Nikt nie był... Niech pan da pokój tym formalnościom i wsiada w tak-sówkę... Dobrze? (*słucha*). Jakie trudności? Banki zamknięte? Naturalnie, że zamknięte... dziś Nowy Rok. Ach, więc to są te interesy!... Ile panu potrzeba? Dwieście? (*kwaśny*). Trudno... do jutra, owszem... Tylko niech pan zaraz przy-jeżdża! (*odkłada słuchawkę, do Artura*). Potrzebuje dwustu złotych, bo dzisiaj banki zamknięte... Daj dwieście złotych...

ARTUR (*zdziwiony*). — Ja? Przecież on ciebie pro-sił...

HENRYK (*urazony*). — Przyjeżdża do ciebie. Ja już wczoraj płaciłem za niego...

ARTUR — Na mnie nie licz... Ani myślę. Skoro do ciebie ma zaufanie, trudno!

HENRYK — Zawsze tylko ja... wszystko ja!... Więk-szego egoisty w życiu nie spotkałem. Wogóle... cała ta sprawa... Tu l'as voulu, Georges Dandin! powiedział już... ten...

ARTUR (*zainteresował się*). — Kto powiedział?

HENRYK — No ten... wiesz... pisał takie komedje...

DJONIZY (*niesie na tacy dwa bilety wizytowe*). — Dwóch panów do jaśnie pana.

ARTUR (*niechętny*). — Jakich panów?

HENRYK (*który szukał przez ten czas nazwiska*). — Molier!

ARTUR (*zdziwiony*). — Molier? Co Molier?

HENRYK — No, Molier. Molier powiedział: Tu l'as voulu, Georges Dandin!

ARTUR (*wzruszył ramionami*). — Molier! (*do Djonizego*). A czego chcą?

DJONIZY — Dali bilety. (*podaje, poczem tajemniczo*). — Kazali powiedzieć, że w sprawie honorowej.

HENRYK — To jego (*spojrzenie w stronę telefonu*) świadkowie... Trzeba przyjąć.

ARTUR (*nie rozumie*). — Jacy świadkowie? Do czego tutaj potrzebni jeszcze świadkowie?

HENRYK — Widocznie czuje się obrażonym i chce cię wyzwąć na pojedynek...

ARTUR — Mnie? Skąd znowu mnie! Tobie obiecał, że trafi cię w pępek...

HENRYK (*urazony*). — Ja cię już prosiłem, żebyś z tym pępkiem dał spokój...

ARTUR (*podniecony*). — Ani myślę się pojedynkować... Nie znam go... nic o nim nie wiem...

HENRYK (*stanowczy*). — Oni cię poinformują. Musisz ich przyjąć.

ARTUR (*zrezygnowany*). — Niech i tak będzie... (*do Djonizego*). Prosić! (*czyta bilety*). Marcin Szóstka... Bolesław Troszkie. (*Dwaj panowie w głębi wpytują Djonizego; ten wskazuje im wzrokiem Artura, potem Henryka, wymieniając równocześnie ich nazwiska*). Nowy Rok dobrze się zaczyna... Będzie bardzo urozmaicony... (*machinalnie czyta jeszcze raz bilety*). Marcin Szóstka... Bolesław Troszkie.

HENRYK — Cicho!

(*Obaj wstają z foteli*).

SCENA 11.

CIŻ — SZÓSTKA — TROSZKIE

(Szóstka, gruby, uśmiechnięty i Troszkie — chudy i posępny. Zbliżają się dość uroczyście. Troszkie idzie dużymi krokami, Szóstka drepce przy nim żwawo).

TROSZKIE *(stanął naprzeciw Artura, skłonił lekko głową, groźnie)*. — Jestem Troszkie, Marcin Troszkie.

SZÓSTKA *(ukłonił się z większą zamaszystością)*. — Bolesław Szóstka! *(Mimowoli wyciąga rękę. Artur podaje mu dłoń, lecz Troszkie trącił Szóstkę w wyciągniętą rękę, obrzucił surowem spojrzeniem. Szóstka cofnął dłoń czempędzej)*.
Przepraszam!

TROSZKIE *(groźny)*. — Nasz przyjaciel, Andrzej Bożymirski, czując się obrażonym, polecił nam zażądać od panów satysfakcji honorowej.

HENRYK *(zmieszany)*. — Od nas obu?

TROSZKIE *(j. w.)*. — Od panów obu.

ARTUR *(do Henryka)*. — On chce tak... ryczałem!

TROSZKIE *(j. w.)*. — Panowie raczą wskazać nazwiska swoich delegatów celem omówienia warunków spotkania.

SZÓSTKA *(bardziej pojednawczy)*. — Wyjaśnienia sprawy.

TROSZKIE *(surowo do Szóstki)*. — Nie potrzeba żadnego wyjaśnienia.

ARTUR — Niech się krew leje...

TROSZKIE (*groźnie, do Artura*). — Tak jest, panie!
Niech się krew leje!

SZÓSTKA (*do Troszkiego*). — Przepraszam... Gdyby panowie zgodzili się przeprosić Bożymirskiego... według ustalonej przez nas formuły... protokularnie... ja nie widziałbym przeszkody.

TROSZKIE (*kwaśny*). — Kolega w Ziemiańskiej zgodził się, że ja będę sprawą kierował... (*mocniej*).
Kolega się zgodził czy nie zgodził?

SZÓSTKA — Zgodziłem się.

TROSZKIE (*do Artura i Henryka*). — Panowie będą mieli prawo do wyboru broni.

HENRYK (*zamyślony*). — Czy można wybrać armaty?

TROSZKIE — Szanowny pan ma skłonność do dowcipów! Skłonność bardzo niebezpieczna, szanowny panie... zwłaszcza gdy dowcip jest tak pośledniego gatunku...

HENRYK (*śmieje się*). — Pan mię przeraża!

ARTUR — Proszę panów, za chwilę będzie tutaj pan Bożymirski.

TROSZKIE (*wzburzony*). — Co? Tutaj?

SZÓSTKA — Bożymirski?

TROSZKIE (*porywczo*). — Jemu nie wolno jest już komunikować się z panami!

SZÓSTKA — Kodeks honorowy wzbrania kategorycznie...

ARTUR — Sądzę, że najlepiej będzie wyświecić tę sprawę w obecności pana Bożymirskiego... Tymczasem może panowie pozwolą... Powietrze jest ostre... (*zaprasza na prawo*). Kieliszek madery?

TROSZKIE (*porywczo*). — Nie!

ARTUR — Dobra madera... przedwojenna.

SZÓSTKA (*żywo zainteresowany*). — Przedwojenna?
(*Iza pokazała się na galerji, wyjrzała przez balustradę i cofnęła się ku górnym oknom frontowym*).

TROSZKIE (*łagodnie*). — Pan daruje... nasza misja nie jest skończona...

HENRYK — Właściwie nie jest jeszcze zaczęta...
(*do Szóstki*). Madera jest doskonała! Autentyczna!

SZÓSTKA (*przełknął ślinę*). — Ja sędzę, kolego, że, biorąc rzeczy zasadniczo...

TROSZKIE (*mięknie*). — Kolego, to nie będzie w porządku!

ARTUR — Niech panowie pozwolą!
(*Wyprowadza ich na prawo*).

SZÓSTKA (*do Troszkiego*). — Autentyczna!

SCENA 12.

FRANIA — DJONIZY — ARTUR

(*Frania zjawia się z lewej strony. Rozejrzała się po hall'u, a nie widząc nikogo, zbliża się szybko do kanapy, zaczyna szukać w niej skwapliwie. Z drugich drzwi z lewej strony wychodzi Djonizy, niosąc poduszki*).

DJONIZY — Czego panna Frania szuka?

FRANIA (*drgnęła, przerażona*). — Ja... nic... Patrzą tylko, że niema poduszek... (*oburzona*). To pan Djonizy chodzi teraz na spacer z poduszkami?

DJONIZY (*rzuca poduszki z dezynwolturą na kanapę*). — Pan kazał wywietrzyć... Im zawsze coś

nowego do głowy wskoczy... byle wynaleźć robotę... Wietrzyć poduszki!

ARTUR (*w drzwiach z prawej strony — niecierpliwie*). — Djonizy! Już dwa razy dzwoniłem...

DJONIZY — Jaśnie panie! Ja wietrzyłem poduszki!... Samo się nie zrobi...

ARTUR — Kieliszki do madery! (*znika w drzwiach*).

DJONIZY (*idzie na prawo — do Frani*). — Teraz znowu madera! (*skrzywił się*). Dla mnie to za słodkie!

SCENA 13.

IZA — FRANIA

(*Iza stanęła przy balustradzie z prawej strony. Gdy Djonizy wyszedł, Frania rozpoczyna na nowo poszukiwania w kanapie*).

IZA — Co ty tam robisz?

FRANIA (*drgnęła, przerażona*). — Ja? Układam poduszki.

(*Słychać klaksofon taksówki. Iza szybko coinęła się do okien w głębi*).

FRANIA — Ktoś dzwoni do frontu.

IZA (*z góry*). — Otwórz! (*schodzi kilka schodów*).

SCENA 14.

IZA — FRANIA — ANDRZEJ

(*Drzwiami w głębi wchodzi Andrzej. Wita wesołym uśmiechem Franię, wziął ją swobodnym ruchem pod brodę. Ona uśmiechnęła się czule, lecz wskazuje ręką, że na schodach stoi Iza. Odbiera od niego paltot i kapelusz, nie szczędząc przytęm załot-*

nych spojrzeń i uśmiechów. Andrzej idzie na przód sceny. Frania zdaleka śledzi jego ruchy. — Iza zeszła do połowy schodów, zatrzymuje się).

IZA (*półgłosem, miękko*). — Dobry wieczór!

ANDRZEJ (*spojrzał jej w oczy*). — Dobry wieczór. (*Iza przechyla się z uśmiechem przez poręcz i podaje mu rękę, którą on całuje*) (*do Frani*).
Możesz odejść!

(*Francia niezbyt chętnie odchodzi*).

IZA (*w głosie wymówka*). — Pan wie, wszystko się wydało!

ANDRZEJ (*zaniepokojony*). — Co się wydało?

IZA (*z pewnem wahaniem*). — Że pan nie był tutaj sam...

ANDRZEJ (*udaje, że nie rozumie*). — Kiedy?

IZA (*przedrzeźnia*). — Kiedy! (*patrzy nań uważnie*).
Dziś w nocy.

ANDRZEJ (*patrzy jej w oczy i śmieje się*). — To nieprawda.

IZA (*zachwiana*). — Nieprawda?

ANDRZEJ — Pani wie najlepiej, że to było niemożliwe.

IZA (*obrażona*). — Jakto! ja wiem najlepiej?...

ANDRZEJ (*ciszej*). — Czyż pani przypuszcza, że po tym pocałunku... gdy skosztował ust pani... możliwem było?...

IZA (*położyła rękę na jego ramieniu — czulej*). — Po co pan zmącił mój spokój? Pan bawi się... tworzy pan z życia nowele i powieści... A potem, gdy skończone, odrzuca je pan... niepotrzebne! Pana życie ciągle się odnawia — moje jest jedno. Pan

się ciągle zmienia... ja jestem wciąż ta sama...
Niech pan się nie śmieje! To był mój pierwszy
pocałunek... zakazany!

ANDRZEJ — Taki niewinny!

IZA (*ze smutnym uśmiechem*). — Nie zobaczę pana
już nigdy!

ANDRZEJ (*z uśmiechem*). — Nigdy?...

(*Z prawej strony wychodzi Henryk*).

IZA — Cyt! (*wchodzi po schodach na galerję*).

HENRYK (*zbliżył się, podaje rękę Andrzejowi*). —
Pańscy świadkowie są tam...

ANDRZEJ — Ja pragnąłbym przedtem pomówić
z panem...

IZA (*z góry*). — Nie przeszkadzam panom... (*do
Andrzeja*). Zobaczę jeszcze pana?

ANDRZEJ — Oczywiście.

SCENA 16.

ANDRZEJ — DJONIZY — HENRYK

ANDRZEJ (*idzie z Henrykiem na przód sceny, pouf-
nie, półgłosem*). — Właściwie, to nie jest według
przyjętych form, że ja w toku sprawy honoro-
wej... muszę pana prosić o pożyczkę... ale zaszła
niespodziewana okoliczność... Ja właśnie wybie-
rałem się na miasto, żeby dostać pieniędzy od ko-
goś ze znajomych... gdy nagle telefon... mam ko-
niecznie przyjechać! Jak na złość, dziś banki
zamknięte... W święta, kiedy człowiek najczę-

ściej potrzebuje pieniędzy... nasze banki stale zamknięte.

HENRYK (*wyjmuje z portfelu pieniądze*). — Proszę pana... dwieście złotych?

ANDRZEJ — Nie, proszę pana... źle się obliczyłem... trzysta... potrzebuję koniecznie do wieczora trzystu złotych... Na parę dni...

HENRYK (*gorzki*). — Powiedział pan dwieście!

ANDRZEJ (*wziął dwa papierki*). — Jeśli pan nie może, nie będę nalegał. Lecz pan wybaczy, że zaraz pojedę dalej... Muszę znaleźć jeszcze sto złotych. (*chce się żegnać*).

HENRYK (*przestraszył się, wyjmuje śpiesznie banknot*). — Już dobrze... proszę. (*złośliwie*). Jutro banki będą otwarte.

ANDRZEJ (*schował pieniądze, niedbale*). — Tak... najdalej za parę dni...

HENRYK (*patrzy na niego z podziwem*). — Pan jest artysta!

ANDRZEJ (*niedbale*). — Pewno, że jako wyobraźnia twórcza...

HENRYK — Nie, ja się na tem nie znam... Ja podziwiam, jak pan umie zaciągać pożyczki... Pana powinni zrobić ministrem finansów!

ANDRZEJ (*śmieje się*). — To jest... że tak powiem... dar familijny... Mój ojciec również, a mój dziad... Panie! O moim dziadku lichwiarze mówili: Panu Bożymirskiemu nikt nie odmówi! On do ściany zacznie mówić, to ściana się rozstąpi i wysunie cegłę. Bierz! Ale teraz stosunki są oplakane...

opłakane. (*wskazuje z uśmiechem na Henryka*).

Poważny kapitalista targuje się o sto złotych!...

HENRYK (*urazony*). — Przepraszam... jestem obywatelom ziemskim.

ANDRZEJ — Tem gorzej? Plantator!

HENRYK (*dzwoni*). — Każę poprosić Artura... (*zmiana tonu*). Rachunek z maskarady biorę na siebie... Ale niech mi pan powie szczerze — czy pan kiedy zwraca to, co pan pożyczka?

ANDRZEJ (*obrazony*). — Panie łaskawy! jak tylko uda się zdobyć większą zaliczkę... czy nową pożyczkę... zawsze coś się spłaca... Perpetuum mobile. U nas każdy przeważnie po to pożyczka, żeby coś spłacić... To są wogóle nasze interesa... (*zmiana tonu*). Właściwie w jakim celu panowie mnie wezwali?

(*Wchodzi z prawej strony Djonizy*).

HENRYK — W tej chwili... (*do Djonizego*). Niech Djonizy poprosi tutaj pana... (*gest*). Tak... dyskretnie... (*nagle zmienił postanowienie*). Albo lepiej ja sam... (*idzie w drzwi na prawo*).

SCENA 16.

ANDRZEJ — DJONIZY

ANDRZEJ (*swobodny*). — Djonizos! (*kiwa na niego palcem*). Tutaj.

DJONIZY (*nieufny i posępny*). — Możeby mógł przy tej okazji dostać moje siedemdziesiąt złotych?

ANDRZEJ (*wyjmuje niedbałym, wielkopańskim ruchem jedną ze stuzłotówek, które otrzymał od Henryka i podaje Djonizemu*). — Sto złotych! Całe!

DJONIZY (*olśniony, kłania się nisko*). — Dziękuję jasnie panu! (*wziął banknot nie bez cienia nieufności*). Dziękuję...

(*Chowa do pugilaresu. Andrzej zbliżył się do fortepianu. Nie siadając, jedną ręką gra kilka taktów pieśni cygańskiej, zanucił zcicha*).

SCENA 17.

HENRYK — ARTUR — ANDRZEJ — DJONIZY —
WANDA — IZA — FRANIA

(*Z prawej strony wchodzi Artur i Henryk. Na galerji pojawiły się naprzód — Iza, potem — Wanda, widocznie zwabione dźwiękami muzyki*).

ARTUR (*do Henryka, półgłosem*). — Teraz wszystko musi się wyjaśnić. (*zatrzymał się, rękę położył na sercu*). Serce: tik, tak, tik, tak... I pot... (*ociera chustką pot z czoła*). Zimny pot!

HENRYK — Bo może byłoby lepiej wogóle zaczekać... odwlec... Dla głupiego grzebyka narażać cały spokój...

ARTUR (*przerywa*). — Niedawno sam zarzucałeś mi, że chowam głowę w piasek, jak struś...

HENRYK — Teraz stawiasz wszystko na jedną kartę... To jest hazard!

ARTUR (*uroczyście*). — To będzie sąd Salomona!

HENRYK (*sceptyczny*). — Salomon, to ty?

ARTUR — Ja. Za chwilę zobaczysz! (*Postrzegł panię na galerji*). Proszę, niech panie pozwolą... (*do Djonizego*). Herbata! Prędko!

(*Djonizy wychodzi na lewo*).

HENRYK (*wskazuje ze złością Andrzeja*). — A on sobie śpiewa! W takiej chwili... Nic! Śpiewał (*zwrócił się na prawo, wskazuje drzwi do jadalni*). Tamci nie wejdą?

ARTUR (*zadowolony*). — Ich już nic nie oderwie od Madery. Kazałem otworzyć drugą butelkę... (*z żalem*). Jeszcze po ojcu! Trudno! (*do Andrzeja, oficjalnie*). Witam pana!

ANDRZEJ (*kłania się zdaleka*). — Jestem na pańskie usługi.

(*Iza i Wanda zeszły, nie spiesząc się, z galerji, przywitały się z Andrzejem. Widocznie starają się zapanować nad niepokojem, który odczuwają*).

IZA (*do Artura*). — Czego chcesz od nas?

ARTUR (*zaabsorbowany*). — Proszę... niech państwo siadają... W tej chwili podadzą herbatę... (*wszyscy zajmują miejsca, prócz Andrzeja*). O, już! (*Wchodzi Djonizy z tacą, za nim Frania z ciasteczkami i talerzykami*).

ANDRZEJ (*wyczuł, że szykuje się jakaś niespodzianka, oficjalny*). — Pan wybaczy... ja pragnąłbym przede wszystkim porozumieć się z moimi przyjaciółmi.

ARTUR — Za chwilę... Niech pan raczy usiąść!

(*Andrzej — niezbyt chętnie — siada na kanapie obok Izy*).

DJONIZY (*obnosi tacę*). — Herbata!

(*Panie biorą filiżanki, Andrzej odmawia, Henryk bierze*).

IZA (*do Andrzeja*). — Pan nie bierze?

ANDRZEJ — Dziękuję. Czuję się zdrów.

ARTUR (*do Henryka, półgłosem*). — Teraz uważaj...

Ty patrz na Wandę, ja będę patrzył na Izę.

HENRYK — Ale w jakim celu? Po co?

ARTUR (*do Andrzeja*). — Panu musiało być niewygodnie na tej kanapie?

ANDRZEJ (*narazie nie zrozumiał*). — Na tej kanapie? (*zorjentował się*). Owszem... bardzo wygodnie.

ARTUR (*wyjmuje z kieszeni grzebyk, podnosi go wolno drżącą cokolwiek ręką*). — Nie przeszkadzał panu ten grzebyk?

IZA (*zdziwiona*). — Grzebyk?

ARTUR — Znalazłem go (*gest*) w poduszkach!

WANDA (*do Izy (zdziwiona)*). — Grzebyk...

HENRYK (*wybałuszył ślepią na Wandę, do Artura, półgłosem*). — Nic!

ARTUR (*odetchnął silniej*). — Tak, grzebyk... któraś z pań musiała go zgubić.

WANDA (*porywczo*). — Co?

IZA (*tak samo*). — Zgubić?

OBIE — Co to ma znaczyć?

(*Taca w rękach Frani zakotłosała się tak mocno, że parę talerzyków i ciastek spadło na dywan*).

HENRYK (*mimowoli*). — Frania?

(Wszystkie spojrzenia — prócz Andrzeja — kierują się w stronę Frani. Ona, cała w płomieniach, waha się przez sekundę, spojrzała na Andrzeja, ten udaje, że nie wie, o co chodzi — na Djonizego, ten odpowiada wzrokiem ponurym... Coś, jakby stłumiony okrzyk, wyrwało się jej z gardła i wybiega wraz ze swą tacą na lewo).

(Djonizy cofnął się o parę kroków, trzymając uroczyście swą tacę z paroma filiżankami).

ARTUR *(zdumiony)*. — Frania...

(Zwolna rozjaśnia mu się twarz uśmiechem radosnej ulgi... tak samo zresztą i Henrykowi. Iza i Wanda mimowoli kierują teraz wzrok w stronę Andrzeja).

ANDRZEJ *(wstał porywczo i do Artura, tonem wyzywającym)*. — Pan ośmiela się robić jakieś insynuacje, których nie mam zamiaru znosić. Jeśli pan czuje się obrażony...

ARTUR — Ja? Wcale... Może Djonizy... *(gest)*.

ANDRZEJ — Wogóle nie pozwalam nikomu wtrącać się do moich spraw osobistych...

ARTUR — Słusznie... *(do Henryka)*. Prawda?

HENRYK — Tak... Owszem...

ARTUR — To jest sprawa między panem, a...
(Gest w stronę Djonizego).

ANDRZEJ *(usiłuje pokryć fałsz swojej sytuacji sztuczną ekscytacją)*. — Ton, którym pan do mnie przemawia, nie podoba mi się i gdyby nie obecność pań...

ARTUR — Mnie się pański ton nie podoba!

(Stanęli naprzeciw siebie).

SCENA 18.

CIŻ — SZÓSTKA — TROSZKIE

(Z prawej strony wchodzi Szóstka i Troszkie, zwabieni podniesionymi głosami, a pełni Madery i uczuć ludzkich).

SZÓSTKA *(już zdaleka, patetycznie)*. — Jędrus! Nie zabijaj go! To szlachetny człowiek!

TROSZKIE *(poważny i głęboki)*. — Nie godzi się zabijać rodaka, który wyhodował taką maderę!

SZÓSTKA — Autentyk! Rzetelny autentyk! *(usiłuje pchnąć Andrzeja w objęcia Artura)*. Uściskaj tego szlachetnego człowieka!

TROSZKIE *(uparty)*. — Nie wolno zabijać rodaka.

ANDRZEJ *(objął ich wzrokiem, nagle zaśmiał się)*. Chodźcie! *(bierze ich za ręce — tonem swobodnym, drwiącym)*. Zmieniamy kawiarnię. Stawiam kolację! F. F.!

SZÓSTKA *(zgodny i serdeczny)*. — Dobrze! Zmieniamy kawiarnię!

TROSZKIE — Zmieniamy kawiarnię. Stawiaj, Jędrusiu, kolację, bo czuję w kiszkach takie ściskanie...

ANDRZEJ — F. F. !...

SZÓSTKA — Idziemy!

ANDRZEJ *(kłania się, w dalszym ciągu lekko drwiący)*. — Moje uszanowanie państwu!

SZÓSTKA — Szanowanie!

TROSZKIE — Wanie!

ANDRZEJ *(do Djonizego, wielkopański)*. — Gdyby Djonizos chciał zmienić posadę, proszę zwrócić

się do mnie... Prawdopodobnie niezadługo będę potrzebował służącego!

(Djonizy patrzy na niego wzrokiem, w którym zlewają się obrzydzenie i podziw). (Trzej panowie idą w głąb, śpiesznie, nakładają paltoty, wychodzą. Panie, Artur i Henryk śledzą ich zdziwionym wzrokiem. Iza bardzo posmutniała, parę razy bolesny uśmiech przemknął po jej twarzy).

IZA *(wzięła w pól Wandę, odsunęła na stronę)*. — Z pokojówką! Czy to nie jest okropne!

WANDA *(porywczo)*. — To już jest poprostu bolszewizm!

HENRYK *(do Artura, z podziwem)*. — Salomon!

ARTUR *(rad z siebie)*. — Prawda? Muszę ci przyznać, że jestem z siebie zadowolony...

IZA *(do Wandy, usiłuje się uśmiechnąć, choć ma ochotę zapłakać)*. — To jest... poprostu okropne!

ARTUR *(do Djonizego, który wciąż stoi ze swą tacą, niczem zamieniony w słup soli)*. — Djonizy! Trzeba panom pomóc!

DJONIZY *(zrobił krok, jak gdyby chciał iść w głąb, zatrzymał się)*. — Jaśnie panie... Nie mogę! Zamroczyło mię...

WANDA *(zbliżyła się do Djonizego, porywczo)*. — Udała się Djonizemu Frania!

(Iza idzie za Wandą).

DJONIZY — Jaśnie panienko! Powiem tylko tyle, postąpiła jak patałach!

WANDA *(j. w.)*. — Ja jej więcej nie chcę widzieć!

IZA *(t. s.)*. — Ani ja!

DJONIZY — Jaśnie pani raczy się nie denerwować!
Tak jest... Frania postąpiła jak patałach! Ale
to się skończy! Jaśnie panie mogą mi wierzyć!
(groźnie). To się zaraz skończy!

IZA (zaniepokojona). — Co Djonizy chce zrobić?

DJONIZY (j. w.). — Niech ona potem spróbuje!...
Taką zabaweczkę z grzebykiem!...

WANDA (niecierpliwie). — Ale co Djonizy chce
zrobić?

DJONIZY — Jaśnie pani! Ja się z nią ożenię!

WANDA i IZA (zdumione). — Co?

DJONIZY (groźny). — Tak, jaśnie pani, ja się z nią
ożenię. Niech ona potem spróbuje!...

HENRYK (z uśmiechem, do Artura). — Widzisz...
Z tych samych powodów jedni chcą się roz-
wodzić.

ARTUR — A inni właśnie zawierają małżeństwa!

Zasłona spada.

ZMARTWIENIE PANA

WAMALBINA

WIELKI WYBIEG

1871
The first part of the book is devoted to a general
description of the country and its people. It
contains a list of the principal towns and
the names of the principal rivers. It also
contains a list of the principal mountains and
the names of the principal lakes.

The second part of the book is devoted to a
description of the principal towns and the
names of the principal rivers. It also
contains a list of the principal mountains and
the names of the principal lakes. It also
contains a list of the principal rivers and
the names of the principal mountains and
the names of the principal lakes.

INDEX

**ZMARTWIENIE PANA
HAMELBEINA**

KOMEDIA W TRZECH AKTACH

O S O B Y :

Adam HAMELBEIN, bogaty finansista	lat 40
Ewa HAMELBEIN, jego żona	„ 30
ADZIO i EDZIO, ich małeletni synowie	„ 7 i 6
KRYSTYNA	„ 25
Henryk LEŃSKI	„ 48
August BORSKI	„ 28
Prezes	„ 60
Hrabina	„ 50
Roman KOSKIEWICZ	„ 24
Antonina MATERAS	„ 20
LAFIRDECKI, profesor tańca	„ 35
Pani LOLA	„ 32
Pani DZIDZIA	„ 34
Służący u Hamelbeinów	
Służący u Leńskiego	

Rzecz dzieje się współcześnie w Warszawie.

Akt I i III w mieszkaniu Hamelbeinów.

Akt II w mieszkaniu Leńskiego.

TEATR ROZMAITOŚCI

Czwartek 14. XII. 1916 r.

ZMARTWIENIE PANA HAMELBEINA

Komedja w 3 aktach

STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

reż. Antoni Bednarczyk

O S O B Y :

Adam Hamelbein, bogaty finansista	<i>Mieczysław Frenkiel</i>
Ewa, jego żona	<i>Felicja Pichor</i>
Adzio } ich dzieci	<i>Cesia Kozłowska</i>
Edzio }	<i>Lila Kozłowska</i>
Jan Chomicki, obywatel z Wołynia	<i>Józef Śliwicki</i>
Krystyna, jego żona	<i>Stan. Lubicz Sarnowska</i>
Henryk Leński	<i>Kaz. Junosza-Stępowski</i>
August Borski	<i>Jan Janusz</i>
Prezes	<i>Wład. Staszkowski</i>
Hrabina	<i>Aleks. Lüdowa</i>
Roman Koskiewicz	<i>Witold Skarzyński</i>
Antonina Materas	<i>Janina Szylinzanka</i>
Lafirdecki, prof. tańca	<i>Paweł Owerłło</i>
Pani Lola	<i>Eugenja Weryho</i>
Pani Dzidzia	<i>Helena Sulima</i>
Służący u Hamelbeina	<i>Henryk Jabłoński</i>
Służący u Leńskiego	<i>Jan Kamocki</i>

Rzecz współcześnie w Warszawie

I i III akt w mieszkaniu Hamelbeina — II akt w mieszkaniu Leńskiego.

T E A T R L E T N I

Sobota, 22, XI 1924 r.

ZMARTWIENIE PANA HAMELBEINA

Komedja w 3 aktach

STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

reżys. *Antoni Fertner*

O S O B Y :

Adam Hamelbein, bogaty finansista	<i>Antoni Fertner</i>
Ewa, jego żona	<i>Mieczysława Cwiklińska</i>
Adzio i Dusia, ich dzieci
Krystyna	<i>Marja Gella</i>
Henryk Leński	<i>Kaz. Junosza-Stępowski</i>
August Borski	<i>Stefan Hnydziński</i>
Prezes	<i>Czesław Knapczyński</i>
Hrabina	<i>Marja Chaveau</i>
Roman Koskiewicz	<i>Witold Roland</i>
Antonina Materas	<i>Marja Brydzińska</i>
Lafirdecki, profesor tańca	<i>Czesław Skonieczny</i>
Pani Lola	<i>Helena Peszyńska</i>
Pani Dzidzia	<i>Stefanja Lenerówna</i>
Służący u Hamelbeina	<i>Mieczysław Gelniewski</i>
Służący u Leńskiego	<i>Mieczysław Winkler</i>

Rzecz dzieje się współcześnie w Warszawie

I i III akt w mieszkaniu Hamelbeina — II akt w mieszkaniu Leńskiego.

A K T I.

Wykwintnie urządzonej salon w mieszkaniu Hamelbeinów. Dwoje drzwi z prawej i lewej strony, prowadzące do gabinetu Hamelbeina i do buduaru. Drzwi w głębi, wiodące do przedpokoju. Meble stylowe Louis XV, fortepian, przysłonięty mataką, piękne obrazy, cenne bibeloty. Posadzkę okrywa miękki dywan.

SCENA 1.

SŁUŻĄCY — EWA — KRYSZYNA

(Przez chwilę w salonie pusto. Drzwi w głębi otwierają się, wchodzi służący).

SŁUŻĄCY *(przeszedł do drzwi, prowadzących do buduaru, otworzył je i melduje).* — Proszę jaśnie pani, pani Chomicka.

(Wśląd za nim wchodzi Krystyna, strojna, w wytwornym kostjumie popołudniowym, w kapeluszu).

EWA *(biegnie ku Krystynie — żywo).* — Oczekuję cię z niecierpliwością. *(powitania).* Tak się ucieszyłam wczoraj! Nie widziałyśmy się... ile? Siedem lat? Dziesięć?...

KRYSZYNA *(wesoło).* — Lepiej nie liczyć.

EWA (*prowadzi ją serdecznie do berzery i siada obok*). — Ty jesteś znacznie młodsza! Gdzie to jest właściwie Wołyń? Nigdy połapać się nie mogę. To blisko Ukrainy, prawda?

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Tak, po drodze.

EWA (*śmieje się również*). — Zawsze ci zazdrościłam. To bardzo w dobrym tonie mieszkać na Wołyniu... albo na Podolu. Litwa już mniej. Państwo Chomiccy z Wołynia. (*lekkie, zgoła szczere westchnienie*). Ja już całe życie będę panią Hamelbein z Ozorkowa! Na długo przyjechałaś?

KRYSTYNA — Nie wiem. Stęskniłam się za wielkim miastem. Wiesz, my teraz tygodniami nie widzimy ludzi.

EWA (*ze śmiechem*). — Chcesz flirtować?

KRYSTYNA (*tak samo*). — Chętnie sprawdziłabym, czy się jeszcze mogę podobać.

EWA (*szczerze*). — Jesteś śliczna.

KRYSTYNA — Nie zestarzałam się?

EWA — Wyglądasz, jak róża. A ja?

KRYSTYNA — Twemu mężowi musi wielu ludzi zazdrościć. Gdybym była mężczyzną, nie darowałabym ci.

EWA (*ściska ją*). — Jaby — tobie — wszystko darowała! (*śmieją się*). Więc chcesz flirtować, naprawdę?

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). — Nie obawiaj się. Nie mam zamiaru przekroczyć granic...

EWA — Ja się niczego nie boję.

KRYSTYNA — Powiedz mi coś o twoich flirtach...

EWA (*szczerze*). — Ja nie potrafię flirtować.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Jakto, nie znasz tej rozkoszy, — między ustami a brzegiem puharu, tańca wśród mieczów, żonglowania własną cnotą — ponad przepaścią?

EWA (*j. w.*). — Taniec wśród mieczów? Ja się zaraz kaleczę.

KRYSTYNA (*j. w.*). — Jednak czasem musi się zdarzyć... skraj przepaści. Cóż wtedy robisz?

EWA (*z uśmiechem lekkiego zawstydzenia*). — Dostaję zawrotu głowy... zamykam oczy... i lecę.

KRYSTYNA (*z żartobliwym przerażeniem*). — Ewa! Ty masz kochanka. (*Ewa milczy. Krystyna cokolwiek poważniej, acz z pobudzoną ciekawością*). Kochasz go?

EWA (*bez głębszego przekonania*). — Tak.

KRYSTYNA — Powiem ci prawdę... Już cztery lata temu ktoś z Warszawy mówił mi, że księżę Leon kocha się w pięknej pani Hamelbein...

EWA (*nieopatrznie*). — To już się dawno skończyło!

KRYSTYNA — Więc to nie on?

EWA (*skrzywiła się lekko*). — Już dawno!

KRYSTYNA (*przerażona i zarazem rozbawiona*). — Messalina...

EWA (*z uśmiechem, trochę żartem, trochę serjo*). — Moja droga. W szczęśliwych warunkach kobieta może uchronić się przed pierwszym kochankiem. Żeby się obronić przed następnym, musiałaby być bohaterką...

(*Śmieją się. W drzwiach z prawej strony, prowadzących do gabinetu, ukazuje się Hamelbein.*)

SCENA 2.

KRYSTYNA — EWA — ADAM

ADAM (*w zakietowem ubraniu ostatniej mody, kwiat w butonierce, zbliża się do Krystyny w lekkich podrygach, rozradowany*). — Bardzo jestem szczęśliwy z poznania pani. Moja żona zawsze wspomina panią z czułością. (*całuje ją w rękę*).

EWA (*do męża, wskazując Krystynę*). — Prawda, jaka śliczna?

ADAM (*z przekonaniem*). — Jak ten obrazek.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Panie, ja nie jestem malowana!

ADAM — Ja teraz rozumiem, że panu Chomickiemu jest dobrze nawet na Wołyniu. Ja tak samo byłbym szczęśliwy z tym dzierlatem! (*chce pogłaskać Ewę po twarzy, ona się usuwa*). — Ale jej do szczęścia koniecznie potrzebna Warszawa.

EWA (*z lekkim grymasem*). — On się czuje lepiej w Ozorkowie.

ADAM — Czy ja mówię: nie? (*do Krystyny*). W Ozorkowie każdy wie, co znaczy firma Markus Hamelbein i Ska. Nawet jak ja sobie pojedę do Łodzi, na Piotrkowskiej ulicy każdy się zatrzyma i powie: — To jest Hamelbein z Ozorkowa. A wejdę do Grand Hotelu? Tu siedzi Scheibler, tu Heinzel, tam Poznański, tam paru Geyerów... Sami znajomi! Człowiek nic innego nie robi, tylko kiwa głową! (*ilustruje te słowa gestem*). A tutaj! Tutaj każdy chce mnie naciągnąć, a jeśli mu się nie uda, nazywa mnie baranią

nózką. Ja, proszę pani, jestem skromny człowiek. Ja lubię sobie cichutko, spokojniutko, jak u Pana Boga za piecem. Ja daruję najlepszy obiad u Paillard'a za rosół i sztukę mięsa z kwiatkiem w domu.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Ta sztuka mięsa z kwiatkiem (*wskazuje Ewę*), to ona?

ADAM (*kontent*). — Pytanie! (*do Ewy, czule, chce ją znowu pogłaskać po twarzy*). Mój kochany sztukamięś z kwiatkiem... (*Ewa usuwa się*). Pani widziała nasze małe bobaki? (*Krystyna nie zrozumiała*). Nasze kochane dzieciaki?

EWA (*z lekkim przekąsem*). — Mój mąż jest wzorem dobrego ojca.

ADAM — Pani ma dzieci?

KRYSTYNA — Dwoje.

ADAM — To pani mnie rozumie.

EWA — Wcale cię nie rozumie. Nudzisz ją swemi zwierzeniami.

KRYSTYNA — Przeciwnie. To, co pan mówi, jest bardzo sympatyczne.

EWA — Wiesz, on potrafi się wściekać, kiedy tańczy tango...

ADAM — Proszę pani, czy ja mogę lubić, jak ona z kim innym... (*robi gest taneczny tango*).

EWA — Lepiej, że to robię w salonie... niż gdzieindziej.

ADAM — Ewa! Ja sobie wypraszam takie dowcipy.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Najlepiej byłoby, gdyby pan sam z nią tańczył...

ADAM — Ja? Tango? Proszę pani, ja nie jestem żaden blady młodzieniec z dancingu ani hrabia z klubu. Hamelbein z Ozorkowa... (*znów gestem pokazuje tango*). Co to jest?... Jak to wygląda? Ja pani powiem. Tutaj wogóle stosunki są *anormalne*. Pod każdym względem *anormalne*.

EWA (*poprawia*). — *Anormalne*.

ADAM — *Anormalne*. Ale ktoś musi rozpocząć walkę z tą (*z naciskiem, dając do zrozumienia Ewie, że zapamiętał naukę*) — *anormalją*.

EWA (*poprawia*). — *Anomalją*.

ADAM (*bezwiednie*). — *Anormalją... (zdetonowany) anomalny - anormalja... Ech, z ciebie jest za wielki grymas.*

EWA (*spojrzała na zegarek w bransoletce*). — Piąta dochodzi... (*do Krystyny*). Musisz należeć do naszej rewji. Tylko za zaproszeniami, wiesz? Znasz pana Leńskiego?

KRYSTYNA — Spotykałam go dawniej.

EWA — To jego pomysł... On wszystko prowadzi... Ach, ty pewno nie znasz jego ostatniej historii... Osoba, w której się kochał, zerwała z nim i wróciła do męża.

KRYSTYNA (*nie rozumie*). — Więc co?

EWA — Nie rozumiesz? Wszyscy się śmieją, że go zdradziła z własnym mężem. On to bardzo odczuł. Bardzo.

ADAM (*niezadowolony*). — One wszystkie za nim warjują. Nie wyłączając jej. Pani zobaczy, jak on z niemi rozmawia... Tylko rzuci chusteczkę i już!

EWA (*podrażniona*). — A może naprawdę już?!

ADAM (*tak samo*). — Co to jest: już? Ewa, ja tego nie lubię! Ja sobie wypraszam takie żarty!

EWA — Mój drogi, sceny zazdrości pozostaw swoim buchalterom.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Czy pan jest naprawdę zazdrosny?

ADAM — Proszę pani, ja nie mam powodu... ale gdybym miał powód...

EWA (*agresywnie*). — To co?

ADAM (*groźny*). — Tobys zobaczyła!

EWA — Nicbym nie zobaczyła...

ADAM — Ewa! Ty mnie nie drażnij. Ja cię bardzo proszę, ty mnie nie drażnij!

KRYSTYNA — Mężczyzna powinien być trochę nieufny, czujny! Zdziebko ostrożności nigdy nie zawadzi...

ADAM (*dowcipny*). — Tyle co pieprzu w sosie...

KRYSTYNA — Inaczej kobieta myśli: on nie wierzy, żebym ja mogła podobać się komu innemu.

EWA (*trochę zaniepokojona*). — Proszę cię, ty go znów tak nie ucz... (*do męża*). Jabym ci dała... nieufność.

ADAM (*agresywny*). — Cobyś dała?

EWA — Dowiodłabym ci, że masz słusność...

ADAM — Jaką słusność? Coś ty chciała przez to powiedzieć?

EWA — Nudny jesteś. Ty się odemnie jeszcze doczekasz! (*do Krystyny*). Chodź...

ADAM — Ja nie lubię tych żartów... Nie lubię.

EWA (*do męża*). — Prezes przyjdzie napewno punkt o piątej.

ADAM (*krzywi się*). — On jest dla mnie za uroczysty... Czy ja się kiedy tak nadymam?... Pani zna jej prezesa? (*Krystyna skłoniła z uśmiechem głowę*). Wcale pani nie winszuję. (*do Ewy*). Co ja z nim będę mówił?

EWA (*drwi*). — Powiedz mu, że dzisiaj ładna pogoda i spytaj się go o zdrowie.

(*Krystyna i Ewa wychodzą na prawo*).

(*Drzwiami od salonu wpadają Adzio i Edzio*).

SCENA 3.

CIŻ — ADZIO — EDZIO

ADZIO — Kto jest ta pani?

ADAM — Przyjaciółka mamy... koleżanka...

ADZIO (*zamyslił się*). — Koleżanka?...

EDZIO — Ja chcę się bawić w krowę i pieski... Ty będziesz krową, a my będziemy pieski.

ADAM (*strofuje*). — Nie mówi się: my będziemy pieski. Ty będziesz pieskiem, my będziemy pieskami... nie (*nie może wybrnąć*), ty będziesz pieskiem... i ty będziesz pieskiem...

ADZIO — Jak krowa woła? (*złożył ręce przy ustach i naśladuje ryk krowy*). Muu...

ADAM (*uczynił to samo, ale poważniej i ryczy z namaszczaniem*). — Muu...

(*Malcy klaszczą w dłonie i skaczą z radości*).

ADZIO (*udaje pieska, szarpie ojca za żakiet*). Cham...
cham...

EDZIO (*idzie za przykładem brata, z drugiej strony*). — Cham... cham...

ADAM — Zaraz... tak nie można... Trzeba ułożyć...
(*zastanowił się*). Krówka poszła na spacer i zgubiła się. Pieski będą szukać krowy.

ADZIO i EDZIO (*skaczą z radości*). — Dobrze... dobrze!...

ADAM — Idźcie tam... (*wskazuje drzwi do gabinetu*). Tymczasem krówka się schowa.

EDZIO — Gdzie się schowa?

(*Włożył z głębokiego namysłu paluszek do ust*).

ADAM — Wyjmij paluszek... Właśnie, że nie wiem, gdzie... Pieski muszą szukać i znaleźć.

(*Odprowadza ich do drzwi, zamyka je, potem wraca, szuka wzrokiem miejsca, gdzie mógłby się ukryć — i decyduje się wreszcie. Szybko wchodzi pod stół, osłonięty serwetą. Za chwilę Adzio i Edzio wpadają z głośnym szczekaniem. Rozglądają się i nie widząc ojca milkną*).

EDZIO (*szeptem*). — Gdzie papa?

ADZIO (*tak samo szeptem — wskazuje na drzwi w głębi*). — Pewno tam... Czekał... Ty się schowasz tu... (*prowadzi go za portjerę, zwieszającą się nad drzwiami w głębi*). A ja z drugiej strony... Jak się tatuś pokaże, to wyskoczymy i będziemy gryźć.

(*Kryją się obaj z dwóch stron za portjerami*).

SCENA 5.

CIŻ — PREZES

(Po krótkiej chwili w drzwiach zjawia się Prezes w zakiecie, w rękawiczkach, z kapeluszem w ręku. Obaj malcy wypadają ze swych kryjówek i sądząc, że to ojciec, poczynają go szarpać z głośnem szczekaniem. Prezes zachwiał się z przerażenia na niezbyt pewnych nogach).

ADZIO — To nie krowa!

EDZIO — O!...

(Adzio i Edzio umykają prędko do gabinetu. Prezes, nie zdolawszy całkowicie ochłonąć z przerażenia — zbliża się do stołu i kładzie kapelusz. W tym samym momencie z pod stołu ryknie głośno i przejmująco pan Hamelbein ojciec).

ADAM — Muu...

(Prezes odskoczył od stołu, jak oparzony. Z pod stołu z głośnym ponownym rykiem wysuwa się Hamelbein).

SCENA 6.

PREZES — ADAM

PREZES *(przestraszony)*. — Co to jest?

ADAM *(uśmiechnięty)*. — To ja... Niech się pan prezes nie boi... Moje uszanowanie...

PREZES *(cofa się w przestachu)*. — Co pan tam robił?

ADAM — Bawiliśmy się w pieski... Niech się prezes nie boi... *(ściska go serdecznie za rękę, którą tamten dość nieufnie podaje)*. Proszę, niech pan sia-

da... (*życzliwie*). Pan prezes przestraszył się cokolwiek...

PREZES (*z godnością*). — Nie spodziewałem się pana pod stołem...

ADAM — Ja lubię pobawić się z mojami bobakami... tak, bez ceremonji... (*siadają*). Pan prezes lubi dzieci?...

PREZES (*sucho*). — Nie.

ADAM (*stropiony*). — Nie lubi pan?...

(*Wchodzi Hrabina, za nią August i Roman*).

SCENA 7.

ADAM — PREZES — HRABINA — AUGUST —
ROMAN

(*Hrabina muska pięćdziesiątką, usiłuje wszakże, przy pomocy dobranych kosmetyków, utaić jej znaki. Włosy ma bardzo złote. August pulchny, różowy, kwitnący zdrowiem. Roman blady, wymokły. Obaj ubrani bardzo starannie*).

HRABINA (*trzępiotowata*). — Dzień dobry panom! (*powitania — do Hamelbeina*). Już zgaduję, co pan myśli: że starsza osoba zanadto otacza się młodymi ludźmi... (*do Augusta i Romana*). Mówię wam, wy mnie kompromitujecie! Co powie na to prezes?

PREZES (*sucho*). — Mnie to nic nie obchodzi, łaskawa pani.

HRABINA (*nieco zrażona, zwraca się do Adama*). — Byli u mnie na śniadaniu, potem pojechaliśmy razem do Wilanowa. Ale pan Romcio był bardzo niegrzeczny, bardzo!

ADAM (*dowcipny*). — Co pan zrobił hrabinie, panie Romciu?

HRABINA (*pieszczotliwie*). — Tęgo nie powiemy! Nie powiemy, prawda? Gdzież pani Ewa? (*w drzwiach salonu ukazują się Ewa i Krystyna*). A... i pani Krystyna... Co za miła niespodzianka!...

SCENA 8.

CIŻ — EWA — KRYSTYNA

KRYSTYNA — Mówiła mi pani dawniej poprostu: Krysiu.

PREZES (*wita się z Ewą i Krystyną*). — Pani hrabina była wtedy od pani znacznie starszą.

HRABINA (*objęła go złem spojrzeniem*). — Byłaś wtedy młodą panienką, ja — mężatką. Teraz ty jesteś mężatką, ja — rozwódką.

KRYSTYNA — Pani nic się nie zmieniła.

HRABINA (*kontenta*). — Nie wierzę... czas jest nie-litościwy... Ale, proszę cię, mów mi także: ty.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Nie będę śmiała.

HRABINA (*wskazuje młodych ludzi*). — Oni mówią mi „ciociu"! Prawda, ty może ich nie znasz?

ADAM (*któremu Ewa dała znak, aby przedstawił Krystynie młodych ludzi*). — Pani pozwoli, pan Borski. (*August kłania się*). Pan Koskiewicz. (*Roman czyni to samo*).

HRABINA (*do Ewy*). — Pani już wie o katastrofie?

EWA (*żywo*). — Co się stało?

HRABINA — Panna Przetakiewiczówna wyjechała!

EWA (*zaskoczona*). — To być nie może!

KRYSTYNA (*nie wie, o co chodzi*). — Przetakiewiczówna?

EWA — Ta z operetki... (*do hrabiny*). Jakże mogła wyjechać, skoro się zobowiązała...

HRABINA — Pani nic nie wie! Panie Romciu! Niech pan opowie!...

ROMAN (*przejęty powagą sprawy*). — Ona się kocha w murzynie z jazzbandu. W tym, co... (*pokazuje gestem*) ...na saksofonie!...

EWA — Przecież ona ma jakiegoś bankiera!...

ROMAN (*z lekką niecierpliwością*). — No tak... Ale to co innego. Otóż onegdaj, murzyn po pijanemu pobił ją w dancingu, że tańczyła z jakimś młodym człowiekiem od Lourse'a. Zrobił się skandal i wczoraj, po przedstawieniu wyjechała. Dziś musieli zmienić repertuar.

EWA (*przejęta*). — To okropne! I jeszcze z murzynem!

(*Hrabina, Krystyna, Prezes siadają. Roman lokuje się koło Hrabiny*).

HRABINA — Czy Leński będzie?

EWA — Obiecał napewno.

ADAM — On wynalazł pannę Przetakiewiczównę, niech teraz radzi... Ładny wynalazek!

(*Ewa przeszła na lewo, na przód sceny, za nią przesunął się August*).

AUGUST (*półgłosem*). — Czekałem wczoraj do szóstej.

EWA (*obejrzała się, czy nikt nie słyszy*). — Cicho.

Powiedziałam panu odrazu, że nie będę mogła.

AUGUST — Potem powiedziała pani: może!

EWA (*cieplejsze spojrzenie*). — Bo mi było pana żal.

AUGUST — Dostała pani mój list?

EWA — Kiedy? (*niespokojnie*).

AUGUST — Dziś w południe.

EWA (*stropiona*). — Nie. Te listy wywołają jeszcze kiedy katastrofę!... Mamy nowego służącego!...

Przez kogo pan posłał?

AUGUST — Jak zwykle...

EWA (*daje mu znak dłonią, aby zamilkł, zbliża się do nich Krystyna. Ewa zmienia ton na swobodnie światowy*). — Pan nie znał mojej przyjaciółki? (*objęła Krystynę ramieniem*).

AUGUST — Nie miałem zaszczytu...

EWA — Pan August jest mistrzem tanga. Jak on tańczy, moja droga! Anioł!

AUGUST (*poważnie do Krystyny*). — Pani tańczy tango?

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). — Trochę... Dlaczego pan pyta?

AUGUST (*nie wie, co odpowiedzieć*). — Ja? Tak — wogóle...

EWA — Jeśli interesują cię nowe tańce, będziesz miała dziś sposobność! Przyjdzie sam Lafirdecki!

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Cóż to znowu za znakomitość?

EWA (*z uznaniem*). — Profesor! Wielka sława war-

szawska! Będziemy się wprawiać w najnowsze odmiany...

AUGUST (*poważny*). — Ja uważam, że on nie ma stylu. Nie ma ani uczucia, i braknie mu humoru...

HRABINA (*ze swego miejsca*). — Panie Guciu! Niech pan posłucha, co pański przyjaciel (*wskazuje na Romana*) opowiada.

AUGUST (*skłonił się Krystynie i Ewie*). — Przepraszam... (*idzie do Hrabiny i Romana*).

KRYSTYNA (*z uśmiechem do Ewy*). — To on?

EWA (*nie przeczy*). — Podoba ci się?...

KRYSTYNA (*bez przekonania*). — Owszem... bardzo przystojny.

EWA — W rozmowie nie jest błyskotliwy, ale pisze listy...

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Ewo... znasz stary aforyzm?

EWA — Nie obawiaj się... ja sama nigdy nie piszę... lecz jego listy są takie poetyczne!...

KRYSTYNA — Poetyczne? Nigdybym nie przypuściła...

EWA — Bywa w najlepszych towarzystwach. Zobaczysz sama, jak jest ułożony. Pracuje w Ministerjum Spraw Zagranicznych. Nawet ma już wyższy order rumuński... (*Spostrzegła wchodzącą do salonu panią Dzidzię*). O!... pani Dzidzia! (*idzie na spotkanie*).

SCENA 9.

CIŻ — PANI DZIDZIA

PANI DZIDZIA (*ruchy leniwe i powolne, mówi rów-*

niez powoli i bez uśmiechu). — Bardzo się spóźniłam?... *(wita się z Ewą, potem z innymi)*. Biegłam bardzo prędko. Byłam u Loli na śniadaniu... potem graliśmy w bridge'a. Było okropnie wesoło... Jestem tak rozbawiona, nie uwierzy pani!...

EWA — Pani Lola miała także przyjść?

DZIDZIA — Przywiezie ją Leński.

EWA *(przedstawia Dzidzię Krystynie)*. — Pani pozwoli...

HRABINA *(do pani Dzidzi)*. — Dzień dobry pani...

I ja miałam być u pani Loli, ale oni... *(wskazuje na Augusta i Romana)* do mnie się zaprosili...

PREZES *(przywitawszy się z panią Dzidzią, bierze Adama pod ramię i prowadzi na przód sceny)*. —

Drogi panie... Mam do pana wielką prośbę.

ADAM *(objął go nieufnem spojrzeniem, jakby obawiając się, że go to może drogo kosztować)*. —

Może lepiej w biurze?

PREZES — Nie, nie... *(uroczysty)*. Tylko to zostanie między nami... Pan jest dyskretny?!...

ADAM *(uśmiecha się, palec przykłada do ust)*. — Jak ten mur...

PREZES *(z godnością)*. — Dziękuję panu. Otóż... ja właśnie interesuję się pewną młodą osobą, która posiada niepospolite zdolności artystyczne... Nie potrzebuję dodawać, że interesuję się całkiem bezinteresownie.

ADAM *(śmieje się niedowierzająco)*. — Mimo pomimo?

PREZES *(uroczysty)*. — Jak pan to rozumie?

ADAM (*klepnął go poufale po brzuchu*). — Niech prezes się nie żenuje!... Jesteśmy między dżentelmenami!

PREZES (*wytrącony cokolwiek z równowagi*). — Więc, ta młoda osoba... posiadając wielki talent... nie ma sposobności ujawnienia go wobec szerszej publiczności... Teraz, gdy panna Przetakiewiczówna robi nam zawód, byłaby znakomita sposobność...

ADAM (*wymowny ruch nogą*). — Czy ona... tego?

PREZES — Ona nigdy nie była w balecie... Ona pragnie uprawiać taniec, jako sztukę poważną, wysoce artystyczną. Taniec był niegdyś hołdem, który składano bogom.

ADAM (*zrozumiał*). — Ona chce się modlić nogami! (*gest*).

PREZES (*skarcił surowem spojrzeniem niestosowność tego dowcipu*). — Czy pan nie chciałby zaproponować?... Byłaby to prawdziwa rewelacja... W najlepszym smaku!...

ADAM — Ale ona przecież musi śpiewać.

PREZES — Właśnie... Ta osoba ma niezwykły głos... Ona wogóle ma wyższe aspiracje... Chciałaby wstąpić do operetki...

ADAM — Dlaczego prezes sam nie proponuje?

PREZES — Mnie nie wypada. Zaraz jakieś przypuszczenia, podejrzenia. Pan proponuje, a ja poprę.

ADAM — Jak ona się nazywa?

PREZES — Panna Antonina Materas.

ADAM (*śmieje się głośno*). — Materac? To sobie prezes wybrał Materaca!

PREZES (*urazony*). — Proszę pana, nie żaden Materac, ale (*z naciskiem*) Materas. Materasowie są bardzo starą rodziną warszawską. Zajmowali kiedyś w kupiectwie warszawskim nader poważne stanowisko. Teraz zbiednieli i ojciec panny Materasówny prowadzi w dzielnicy powązkowskiej skromną garkuchnię. (*zmiana tonu*). Czy mogę liczyć na pana?

ADAM — Trudno! Niech mnie to kosztuje! (*uderzył prezesa lekko w bok*). Z prezesa to także wyrefinowany szelmutek!

PREZES (*urazony*). — Łaskawy panie!...

ADAM (*nie zważa na to*). — Żebym tylko nie zapomniał, jak ona się nazywa. Antonina Materac!

PREZES (*poprawia z naciskiem*). — Materas!

(*Drzwiami w głębi wchodzi pani Lola i Leński*).

SCENA 10.

CIŻ — LEŃSKI — PANI LOLA

LEŃSKI (*odznacza się wielką swobodą ruchów i dezinwolturą mowy. Bardzo pewny siebie*). — Jesteśmy...

EWA — Nareszcie! (*idzie witać się*).

LEŃSKI (*Ewa wita się z panią Lolą*). — Chce pani rzucić się w moje objęcia?

EWA (*podaje mu rękę, którą on całuje*). — Gdy zostaniemy sami... Panie! Katastrofa... Jesteśmy

wszyscy w rozpaczy!... *(do Loli)*. A pani przychodzi tak późno!

LOLA — Dlaczego państwo czekali? Pana Lafirdeckiego jeszcze niema!

LEŃSKI *(do Ewy, wskazując wzrokiem Krystynę)*. — Kto jest ta pani?

EWA *(z lekką dumą)*. — Pan nie zna pani Chomickiej?

LEŃSKI — Ależ oczywiście... W pierwszej chwili nie poznałem... *(podchodzi do Krystyny, która stała właśnie w pobliżu)*. Nie wiem, czy mnie pani sobie przypomina... *(skłonił się)*.

KRYSTYNA *(wyciąga doń rękę, z uśmiechem)*. — Naturalnie, że pamiętam.

LEŃSKI — Była pani wówczas młodziutką panienką. Pierwsze kroki w świecie! *(objął ją spojrzeniem znawcy)*. Małżeństwo pani nie zaszkodziło!... Czy tam na Wołyniu wszystkie panie takie ładne?

KRYSTYNA *(śmieje się)*. — Wszystkie!

LEŃSKI — Jutro jadę na Wołyn. Zyskam to jeszcze, że nie będę potrzebował patrzeć na tamto stare pudło. *(wzrokiem wskazuje Hrabinę, która przekomarza się piskliwie z Romanem)*. Jest i Cynamon!... *(powitał zdaleka poufałym ruchem ręki Augusta)*.

EWA *(dotknięta)*. — Dlaczego pan nazywa pana Augusta Cynamonem?

LEŃSKI — Bo jest słodki i przyjemnie pachnie... *(spojrzał znów w stronę Hrabiny)*. Nie, gdyby

nie ta piękna wołynianka, jużby mnie tu nie było...

EWA (*nieco złośliwie*). — Dawniej pan podobno bardzo gustował w towarzystwie hrabiny?

LEŃSKI — Bardzo dawno. I właśnie dlatego nie znoszę jej teraz. Przypomina mi minioną młodość. (*do Krystyny, wzrokiem znów wskazuje Hrabinę*). Czy pani uwierzy, że ja istotnie kochałem się kiedyś w tej babie? Teraz równie nie lubię patrzeć na nią, jak w lustro: widzę własne zmarszczki. I boję się, że jestem równie śmieszny, jak ona ze swym korniszonem.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Korniszon — to ten bładny młodzieniec?

LEŃSKI — Czy nie wygląda, jakby go wyjęto ze słoika? (*Hrabina spostrzega, że o niej mówią i zbliża się do nich*). Boże... idzie tutaj...

HRABINA (*daje Leńskiemu rękę do pocałowania*). — Pewno mnie obgaduje!

LEŃSKI (*całuje rękę Hrabiny*). — Dziś nikomu nie można ufać. Wszystko się chwieje: rząd, waluta, moralność!...

HRABINA (*złośliwie*). — Mężatki zdradzają kochanków z własnymi mężami...

LEŃSKI — Trzyma się tylko stara gwardja: nie chce umrzeć, a poddaje się, gdy tylko zdarzy się okazja...

EWA (*przerywa*). — Panie, co my zrobimy bez panny Przetakiewiczówny?

LEŃSKI — Będziemy radzić. Ale naprzód herbata.

EWA (*wskazuje na drzwi na prawo*). — Już podana... (*zaprasza gości*). Proszę państwa...

(*Goście wstają i z wolna przechodzą na prawo*).

LEŃSKI (*tonem prośby do Ewy*). — Pani da nam herbatę tutaj. (*do Krystyny, która chce odejść*). Niech pani zostanie. Opowiem pani historję mojego życia.

EWA (*z zalotną przekorą*). — Czy równie interesująca, jak długa?

LEŃSKI — Niech no pani da łapkę. (*bierze rękę Ewy i całuje*). Już i to słodkie stworzenie dokucza! Wszystko za Cynamona! Już nie będę.

EWA (*z uśmiechem*). — Niech pan pamięta! Zaraz wam przyślę herbatę. (*idzie do salonu*).

SCENA 11.

KRYSTYNA — LEŃSKI — potem EWA

LEŃSKI (*przypatruje się Krystynie z niekłamanym zachwytem*). — Ale pani się pięknie rozwinęła! Z takiego pączuszka. (*skrzywił się, jakby go nagle coś zabolało*). Psiakość...

KRYSTYNA — Co panu się stało?

LEŃSKI — Zabolało mnie... te dziesięć lat za dużo! Nigdy ich nie czułem... w tym stopniu, co w tej chwili.

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). — Reumatyzm? Artretyzm?

LEŃSKI (*lekki persyflaż*). — Pani Krystyna Chomiczka.

KRYSTYNA (*j. w.*). — Z tego pan łatwo się wyleczy.

LEŃSKI — Żebym ja miał o dziesięć lat mniej!

KRYSTYNA — Cóżby pan zrobił?

LEŃSKI — Rozkochałbym panią i uwiódł. Bez litości! Daremnie błagałaby pani o zmiłowanie!

KRYSTYNA (*z figlarnem uczuciem ulgi*). — Chwała Bogu, że wiek uczynił pana względniejszym!

LEŃSKI — Cnota z musu! Żadna zastuga! Gdyby pani wiedziała, co to za męka widzieć przed sobą taką wiosnę (*skłonił przed nią głowę*) — a samemu czuć się w jesieni życia, w uszach mieć ciągły, nieustanny szelest liści, które z drzew lecą... lecą... Nie dla ciebie pachnące bzy i jaśminy, miodowa woń ziół i kwiatów, rozgrzanych w złotem słońcu! Przed tobą nagie szkielety drzew, z których resztki zeschniętych liści lecą... lecą...

KRYSTYNA (*z uśmiechem*). — Pan jest poetą!

LEŃSKI — Zawsze, gdy zaczynam się kochać.

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Jakto? Już?

LEŃSKI — Już. Piorun wyrzwał, stara rudera zapaliła się. (*z zainteresowaniem*). Pani tego nie potrafi?

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Nie.

LEŃSKI — Ja panią nauczę. Chce pani?

KRYSTYNA — Zdaje się, że od pana mogłabym się wiele nauczyć. (*objęła go wzrokiem życzliwym*).

Nic się pan nie zmienił! Taki sam był pan osiem lat temu.

LEŃSKI (*westchnął*). — Osiem lat...

KRYSTYNA — Siedział pan raz obok mnie podczas

jakiegoś obiadu... Mama nadśluchiwała, co pan mówi... dawała panu znaki... a ja byłam przerażona... Ta opinja niebezpiecznego uwodziciela!...

LEŃSKI — Wyrobiło mi ją kilka mniej skrupulatnych dam, których natarczywości nie umiałem się obronić.

KRYSTYNA (z uśmiechem). — Biedaczek! Dziś już pan lepiej potrafi?

LEŃSKI — Myślałem, że wiek uczynił mnie odporniejszym. I nagle pani...

KRYSTYNA (z uśmiechem, ale z pewną stanowczością). — Jeśli pan nie przestanie, pójdę tam... (Wzrokiem wskazała salon. Wchodzi Ewa, za nią lokaj niesie tacę z herbatą i ciastem). I przyślę panu hrabinę.

EWA — Macie państwo herbatę. (służący podaje). Ale zaraz skończy się to sam na sam, bo rozpoczynamy naradę... I Lafirdecki powinien przyjść lada moment!

KRYSTYNA — Chwała Bogu! Już chciałam uciekać. Ja nie nawykłam do waszego sposobu rozmawiania.

EWA — Nie wstyd panu? Gorszyć niewinność... i to jeszcze niewinność wołyńską...

LEŃSKI (do Ewy). — Niech-no pani siada... (do Krystyny). Wolę się pani przyznać do jednej słabości: zawsze wolałem dwie ładne kobiety, niż jedną.

KRYSTYNA (z uśmiechem). — Zemsta?...

EWA — Nie mogę... goście...

LEŃSKI — Poczekają. (sadza ją obok Krystyny).

Tutaj. Teraz ja klękam przed paniami... (*klęka — nagle zdziwiony, do Ewy*). Jakie pani ma śliczne nogi!...

EWA (*z miną*). — Dopiero dziś pan spostrzegł?

LEŃSKI (*zaabsorbowany*). — Pierwsza klasa.

(*Bierze bez ceremonji jedną z jej nóg w ręce mimo oporu i przygląda się okiem znawcy*).

EWA — Panie... co pan robi?

LEŃSKI — Słowo daję... Pierwsza klasa...

(*W drzwiach pojawia się Adam*).

SCENA 12.

CIŻ — ADAM

ADAM (*przygląda się zdziwiony, jeszcze bardziej niezadowolony*). — Co to jest? Co pan robi?

LEŃSKI (*wstaje i nie tracąc tupetu*). — Pańska żona ma prześliczne nogi.

ADAM (*j. w.*). — Proszę pana, ja nie potrzebuję dowiadywać się o tem od pana. (*sucho*). Ewa, tam... (*gest w stronę salonu*) — wszyscy szukają za tobą! Trzeba już raz zacząć to posiedzenie.

(*Ewa idzie do salonu, Adam, zgromiwszy raz jeszcze Leńskiego wzrokiem, idzie za nią*).

SCENA 13.

KRYSTYNA — LEŃSKI

KRYSTYNA (*tonem wymówki*). — Widzi pan. Teraz Ewa będzie miała napewno przykrość.

LEŃSKI (*filozoficzny*). — Zazdrość mężowska nigdy nie zboczy z fałszywej drogi. Jest już taka wyższa, cudowna łaska, że mąż — albo nie widzi wcale, albo widzi obok... Czy pani wie, do kogo on pójdzie zwierzyć się ze swem zmartwieniem? Do tego, kogo uważa w tej chwili za swego najlepszego przyjaciela. Do Cynamona!

KRYSTYNA (*śmieje się*). — Cynik...

(*Całe towarzystwo wychodzi, wraca*).

SCENA 14.

KRYSTYNA — LEŃSKI — ADAM — EWA —
HRABIA — PREZES — LOLA — DZIDZIA —
BORSKI — KOSKIEWICZ

EWA — Proszę, niech państwo raczą zająć miejsca...

Prezes może tutaj (*wskazuje miejsce*). Pani tu...

ADAM (*wziął pod rękę Augusta, prowadzi go na przód sceny i zwierza się półgłosem*). — Wszystko się we mnie zatrzęsło... Ja się sam sobie dziwię, że potrafiłem wytrzymać ekwilibr... Co to jest, proszę pana, czy przyzwoitej mężatce zagląda się w nogi?

AUGUST — To nie są maniery salonowe... Ja nie uznaję tego rodzaju dezynwoltury... Wogóle, proszę pana, to jest człowiek niebezpieczny...

ADAM (*zaniepokojony*). — Jak pan to rozumie?

AUGUST — On nie ma zasad.

ADAM — Nie ma zasad?... Bardzo pan dobrze powiedział. On nie ma zasad! On myśli, że jemu

wszystko wolno. Co to jest? Czy ja mam żonę dla panów z klubu?

AUGUST — Pan się zachował bardzo taktownie.

ADAM (*czuły*). — Ja pana bardzo lubię, bo pan jest, jak powinno być. Ja jestem cichutki, spokojniutki, lecz jak się we mnie zatrzęsie, to może być skandal... (*milknie, bo Prezes wstał i chrząknął znacząco pod jego adresem*).

PREZES (*uroczysty*). — Otwieram naradę. Proszę o chwilę ciszy... (*rozmowy gasną*). Szanowni państwo! Piękne plany, mające naszej drogiej instytucji przynieść obfity plon, zostały zachwiane. Panna Przetakiewiczówna, która miała kreować główną rolę w naszej rewji, nagle, nieoczekiwanie...

ADAM (*przerywa, dowcipny*). — Posiniaczenie...
(*Śmiechy*).

DZIDZIA — Nie rozumiem.

ADAM (*kontent z efektu*). — Czy ten murzyn jej nie posiniaczył?

PREZES (*pobłażliwie*). — Proszę nie przerywać. (*wraca do dawnego słodkiego tonu*). Jednym słowem, wyjechała. Nie mamy primadonny. Termin przedstawienia bliski. Musimy tedy dziś zdecydować, jak zastąpić pannę Przetakiewiczównę... bez artystycznego uszczerbku...

LOLA (*do Prezesa*). — Przepraszam — jedno słowo! (*Prezes łaskawie skinął głową — do Ewy*). Dlaczego niema pana Lafirdeckiego?

EWA — On jeszcze nigdy i nigdzie nie przyszedł na czas! Ale przyjdzie...

ADAM (*kończy*). — ...po swoje pięćdziesiąt złotych.

AUGUST (*w którym nurtują głębsze myśli*). — Ja sędzę...

PREZES (*ucisza gestem rozmawiających, z zachęcającym uśmiechem*). — Pan Borski ma głos!

AUGUST — Ja sędzę, że trzeba znaleźć inną artystkę, któraby mogła zastąpić pannę Przetakiewiczównę.

LEŃSKI (*półgłosem*). — Powiedział, co wiedział!

PREZES (*słodko-kwaśny*). — Na to zgodziliśmy się wszyscy. Chodzi tylko o wybór. Może pan zaproponuje?

AUGUST (*zdziwiony*). — Ja? Nie... ja nie wiem. (*po chwili namysłu*). — Najlepiej z kabaretu.

ROMAN (*wstaje, natchniony pomysłem — do Prezesa, prosząc o głos*). — To może ja?...

PREZES (*j. w.*). — Pan Koskiewicz ma głos.

ROMAN — Może zagralibyśmy teatr amatorski... po francusku!

LOLA (*zawiedziona*). — Już o tem mówiliśmy.

EWA — Chcemy czegoś weselszego!

ROMAN — To przepraszam. (*siada, urażony*).

LEŃSKI (*do Krystyny, półgłosem*). — Korniszon!

PREZES (*ogląda się niespokojnie na Adama*). — Może jednak ktoś wystąpi... z jakimś konkretnym projektem? Sprawa jest pilna! Bardzo pilna!

(*Adam zapomniał doszczętnie o pannie Materasównie i przystępuje się dyskusji z dość obojętnym uśmiechem, kręcąc tłustymi palcami młynki na brzuchu*).

LOLA — Mnie wszystko jedno, byłem tylko nie potrzebowała sprzedawać biletów. Teraz wszyscy przyzwyczaili się chodzić do teatru darmo.

HRABINA — To prawda. Ja zawsze mam lożę.

PREZES (*słodko - kwaśny*). — Coś jednak musimy zdecydować! Ja, osobiście, sądzę, że należałoby wynaleźć jakiś nowy, nieznany jeszcze talent... To obudziłoby żywsze zainteresowanie. (*znacząco do Adama*). Czy pan nie podziela mego zdania?

ADAM (*nagle zrozumiał, ucieszył się, stuknął palcem w czoło*). — Pan Prezes masz słuszość... Owszem... (*do pań*). Prezes ma słuszość! Ja nawet słyzałem o takiej młodej artystce, jeszcze nieznaney, a już bardzo utalentonowanej...

PREZES (*z pobłażliwym uśmiechem*). — Utalent o !

ADAM (*nie rozumiał*). — Utalent o ?

PREZES (*j. w.*). — ...wanej!

ADAM (*zgodny*). — Utalentynowanej. (*spojrzał po wszystkich z uśmiechem, brzemienym w dowcip*). Panna Materac! (*śmiechy, on śmieje się również*). Ja nie jestem winien, że ona tak się nazywa!

PREZES (*słodko - kwaśny*). — Jeśli mię pamięć nie myli, młoda artystka, o której pan wspomina, nosi nazwisko starej mieszczańskiej rodziny Materasów...

ROMAN — Materac! Bardzo mi się podoba! (*wybuchu trochę niestosownym śmiechem, za co zostaje obrzucony gromiącym wzrokiem prezesa*).

EWA (*zdziwiona do męża*). — Skądże ty znasz pannę Materac?

ADAM (*enigmatyczny uśmiech*). — Znam... i nie znam...

LEŃSKI (*do Adama*). — A co ona pokazuje? Śpiewa? Tańczy?

ADAM (*rozpościera ramiona w geście, który pokazuje wiele i nic*). — Wszystko!

PREZES (*do Leńskiego, słodki*). — O ile wiem, panna Materasówna i tańczy i śpiewa... Wkrótce ma debiutować... (*z przekonaniem*). Wróżą jej ogromną przyszłość...

EWA (*do Prezesa urażona*). — Wybacz pan, ale ja panny Materac do siebie nie zaproszę...

PREZES (*j. w.*). — Dlaczego, łaskawa pani? To bardzo stara, mieszczańska rodzina... I ona sama...

LEŃSKI — To najmniejsza... Próba raz może się odbyć u mnie.

LOLA i EWA (*z radością*). — U pana?

PREZES — Doskonale!

DZIDZIA (*swym powolnym głosem*). — To świetny pomysł. Próba w garsonjerze! Będziemy szaleć...

HRABINA — W kostjumach?

LEŃSKI — Naturalnie.

EWA (*podniecona*). — Cudownie! Ja już się cieszę na tę próbę! (*do Krystyny*). Prawda?

LEŃSKI (*do Krystyny*). — Pani przyjdzie?

EWA — Musi przyjść!

KRYSTYNA — Ale co ja tam będę robić?

LEŃSKI — To samo, co inne panie...

HRABINA — Da nam pan szampana?

LEŃSKI — Bez końca...

DZIDZIA — Wszystkie szalejemy za panem!

SCENA 15.

CIŻ — LAFIRDECKI

LAFIRDECKI (*staje w drzwiach, składa ukłon baletowo-wytworny*). — Moje uszanowanie! Czołem!

EWA (*nie ruszając się z miejsca, ton chłodnej wymówki*). — Nareszcie! Czekamy na pana od pół godziny!

LAFIRDECKI (*zbliżył się nieco tanecznym, szybkim krokiem do Ewy, całuje ją w rękę*). — Przepraszam szanowną paniusię... (*do innych pań*). Moje uszanowanie! (*do panów*). Czołem! Panie nie uwierzą, ile pracy! Wszyscy chcą tańczyć! Właśnie byłem u jednego wice-ministra... Bardzo zdolny... (*poruszył stopami w takt charlestona*). Owszem... Ale pani wice-ministrowa! Nogi ma takie, że bilard możnaby postawić... z łuzami...

EWA (*przerywa*). — Jeśli pan o nas gdzieindziej tak samo mówi, dziękuję!

LAFIRDECKI (*z zapalem*). — Ależ, łaskawa paniusiu! Tutaj zupełnie co innego! Prawdziwy salon! (*strzelił, przytykając palce do ust, jakgdyby korek wyleciał z butelki szampana*). Przedwojenny! I panie!...

EWA — Przedwojenne!

LAFIRDECKI — Zupełnie co innego! Czy muzyka jest?

ADAM — Czeka oddawna. Ja im powiem... *(idzie do drzwi salonu)*.

LAFIRDECKI — To może odrazu do pracy?... *(wskazuje drzwi salonu)*.

PREZES *(zatrzymuje go gestem)*. — W tej chwili... W programie zachodzi zmiana. Panna Przetakiewiczówna...

LAFIRDECKI — Zwiała! Przekonała się czarno na białem, że...

EWA *(niezadowolona)*. — Proszę pana!...

(Lafirdecki urwał).

PREZES — Więc będzie zastępstwo. Młoda, urocza debiutantka...

LAFIRDECKI — Może być debiutantka. Na dobroczynność może być debiutantka... *(wszyscy wstali, stanęli przypadkowo prawie w jeden rząd)*. Więc zaczynamy... *(muzyka w salonie zaczyna grać charlestona)*. Charlestonik z pieprzykiem... Wszyscy nóżkami... do siebie... od siebie... ramiona swobodnie... wyraz twarzy wesoły... *(pokazuje gestami, wszyscy go naśladują. Adam zbliżył się i także próbuje. Tylko Leński i Krystyna nie biorą udziału w tych ćwiczeniach. — Do Adama)*. Szanowny pan odwrotnie... całkiem odwrotnie... *(pokazuje mu zbliżka ruchy nóg, wszyscy inni szurgają zawzięcie. -- Do Adama)*. Wesoły wyraz buzi! *(uśmiecha się, Adam uśmiecha się również)*. Tutaj za mało miejsca... Tam *(gest w stronę salonu)* będzie lepiej...

EWA (*zaprasza*). — Proszę państwa!

(*Całe towarzystwo, mniej lub więcej szurgając nogami, przechodzi do salonu. Adam zatrzymuje Borskiego, który ćwiczy się poważnie i zawzięcie*).

SCENA 16.

ADAM — BORSKI — LEŃSKI — SŁUŻĄCY

ADAM (*wziął pod ramię Borskiego i prowadzi na przód sceny, ku prawej stronie*). — Pan widział, jak one wszystkie skaczą koło Leńskiego? Nawet Ewa... Co to jest? Czy on wymyślił co nowego? Nic nie wymyślił! Już wszystkie lecą mu na szyję! Ja tego nie lubię!... Nie lubię... (*z gabinetu wychodzi służący, niosąc na tacy list*). Czego Bolesław chce?

SŁUŻĄCY — List do jaśnie pani. Posłaniec mówił, że pilny, bo miał go oddać jeszcze przed południem.

ADAM (*surowy*). — Czy podaje się listy przy gościach? Co to jest? (*bierze list i gestem odprawia służącego*). Już...

(*Służący odchodzi*).

(*Borski odrazu się stropił, rzuciwszy okiem na kopertę*.)

ADAM (*sposprzegł odruch Borskiego*). — Co panu jest?

AUGUST — Nic... Trzeba oddać pani Ewie... (*chce odebrać list*).

- ADAM — Zaraz... Adres wypisany na maszynie...
- AUGUST (*sili się na uśmiech*). — Pewno jakiś rachunek.
- ADAM — W takiej ładnej kopercie? (*podnosi do nosa*). Pachnie... Powąchaj pan... (*podsuwa mu list pod nos*). Pachnie?
- AUGUST — Nic nie czuję.
- ADAM — Pan masz katar. Ten list mi się nie podoba.
- AUGUST (*chce wezwać Ewę na sukurs*). — Pani Ewo... Tutaj...
- ADAM (*zatrzymuje go*). — Cicho... Sza... (*kładzie mu rękę na ramieniu*). Mnie się ten list nie podoba. Kto potrzebuje pisać takie listy?
- AUGUST — Przecież pan nie otworzy listu, adresowanego do pani Ewy?...
- ADAM — Dlaczego nie otworzę? Moja żona nie może mieć przedemną tajemnic... Czy ja mam przed nią tajemnice?
- AUGUST (*z godnością*). — Panie Hamelbein... Są pewne obyczaje...
- ADAM — Tam, gdzie chodzi o mój spokój, ja mogę mieć złe obyczaje. (*potrzęsa listem, niezdecydowany*). Zresztą ja zobaczę... Może otworzę, może nie otworzę.
- LEŃSKI (*wychodzi z salonu, zbliża się do nich*). — Już wszystko ułożone... Jutro wieczorem próba u mnie... Prezes ułoży się z Materacem. Egzemplarz ma pani Ewa. (*nagle spostrzega zaalterowaną minę Adama*). Co to za list?

ADAM (*zaaferowany*). — Ja nie wiem właśnie...
(*spojrzał mu w oczy*). Otworzyć... nie otwo-
rzyć?...

LEŃSKI (*swobodny, kładzie mu rękę na ramieniu*).
Panie drogi, jeśli pan chce przeczytać, to otwo-
rzyć. Nikt lepszego sposobu nie wymyślił...

ADAM (*spojrzał nań nieufnie, zdecydował się*).
— Otworzyć... (*szybko wychodzi na lewo*).

AUGUST (*przerażony biegnie do salonu*). — Pani
Ewol...

Zasłona spada.

Koniec Aktu I-go.

A K T II.

Gabinet w mieszkaniu Leńskiego. Na lewo drzwi do przedpokoju. Na prawo do dalszych pokojów. W głębi duże, rozsuwane drzwi do salonu. W gabinecie meble angielskie, safjanowe, wygodne. Biurko. Na ścianach obrazy, niektóre treści frywolnej. W wazonach dużo kwiatów.

SCENA 1.

LEŃSKI — SŁUŻĄCY

LEŃSKI (*w wytwornej domowej kurtce, kamizelka i spodnie od smokinga. Wychodzi z prawej strony, za nim służący w liberji*). — Zdaje się, że wszystko w porządku.

SŁUŻĄCY — Tak jest, jasnie panie!

LEŃSKI — Skoro przyjdą muzycanci, usadowisz ich zaraz tam, w salonie, koło fortepianu. (*gestem wskazuje drzwi w głębi*).

(*Służący skłonił się i wyszedł*).

LEŃSKI (*siada przy biurku, bierze do ręki słuchawkę od telefonu*). — 751.20... (*czeka*). Co? Niedość wyraźnie? 751-20!... Od jutra zacznę brać lekcje dykcji telefonicznej... Pani nie udziela?... Pani ma bardzo miły głos. (*słucha*). Hallo... Czy jest

pani Krystyna Chomicka? Przy telefonie? Nie poznałem. (*słucha*). To jeden z moich objawów postępującego cymbalizmu. Nie wierzy pani?... Moja cała nadzieja w pani... Przez panią mógłbym odzyskać trochę straconej młodości... (*słucha*). Pani tego nie rozumie? Ja dlatego prosiłem, żeby pani przyjechała wcześniej, chciałem to pani wytłumaczyć... (*słucha*). Nie?... Niema mowy? Jak tu potem wierzyć w możliwość pokojowego zdobycia Kresów!... (*w drzwiach od przedpokojku staje służący z widoczną chęcią powiedzenia czegoś*) (*do służącego, niecierpliwie*). Zaraz... (*telefonuje*). Pan Bóg obdarzył panią chojnie. Uroda, wdzięk, inteligencja! Tylko dobroci — zgoła. Co takiego? (*wyraźniej*). Zgoła... Przyjedzie pani z panią Hamelbein? Trudno... Tak się cieszyłem na te pół godziny... Nie?... Będę się oddawał rozpaczy... Do widzenia... (*odkłada słuchawkę — do służącego*). Co takiego? SŁUŻĄCY — Pan Borski chce się widzieć z jaśnie panem.

LEŃSKI — Proś! (*wstał od biurka, idzie ku drzwiom*).

SCENA 2.

LEŃSKI — AUGUST

AUGUST (*we fraku, stanął we drzwiach*). — Nie przeszkadzam?

LEŃSKI (*swobodny*). — Ależ, proszę cię... (*witają się*). Bardzo dobrze, że przychodzisz wcześniej...

AUGUST (*poważny, nawet cokolwiek dramatyczny*).

— Ja mam do ciebie interes szczególnej wagi...
bardzo dyskrecjonalny...

LEŃSKI (*j. w.*). — Misja dyplomatyczna? Siadaj.
(*siadają w łotelach*). O cóż chodzi?

AUGUST — O dobrą radę. Ty masz w tego rodzaju
sprawach doświadczenie...

LEŃSKI (*przerywa*). — Za dużo! Robię się naiwny.

AUGUST — Więc tak. Jeden z moich najbliższych
przyjaciół, młody dyplomata, któremu wróżą bar-
dzo piękną przyszłość...

LEŃSKI — Oho!...

AUGUST (*skonstronowany*). — Jakto „oho“?...

LEŃSKI — Chwała Bogu, że Polska będzie miała na-
reszcie takich dyptomatów.

AUGUST (*przekonany*). — Owszem... Mój przyja-
ciel kocha się w pewnej mężatce z wyższego to-
warzystwa...

LEŃSKI (*z udaniem przerażeniem*). — W mężatce?
Do tego stopnia...

AUGUST (*zdziwiony*). — Tak.

LEŃSKI — Z tego będzie dramat!

AUGUST — Właśnie... Bo mój przyjaciel pisywał
do tej mężatki listy...

LEŃSKI — Osioł!...

AUGUST (*dotknięty*). — Przepraszam cię... On —
aczkolwiek bardzo inteligentny, ma, że tak po-
wiem — większy dar pióra, niż słowa. Otóż, wy-
obraź sobie, jego list wpadł w ręce męża!

LEŃSKI — Naturalnie!

AUGUST (*skonstronowany*). — Jakto, naturalnie?

LEŃSKI (*zmienia ton*). — Słuchaj, ty długo będziesz się ze mną bawił w tę ciuciubabkę?

AUGUST — Przepraszam...

LEŃSKI (*przerywa*). — Powiedz odrazu: Hamelbein złapał twój list do pani Ewy. Cóżes ty w tym liście wysmażyć?

AUGUST (*nieszczercze*). — Twoje domysły są zupełnie nietrafne.

LEŃSKI (*stanowczy*). — Mówmy o czym innym... (*zmiana tonu*). Jak tam na dworze? Zimno?

AUGUST (*machinalnie*). — Zimno!... (*po chwili wahania*). Zimno... Więc dobrze... Na twojej dyskrekcji mogę polegać?...

LEŃSKI — Mój drogi... Ona już tyle wytrzymała...

AUGUST (*niezupełnie zrozumiał*). — Wytrzymała?...

LEŃSKI — Moja dyskrekcja... I cóż Hamelbein?... Ucieszył się?

AUGUST — Nie... przeciwnie...

LEŃSKI — Dziwny człowiek! Mężowie są nieoprawni. Proszę cię, nie żeń się. Jestem pewny, że tak samo nie będziesz lubił...

AUGUST (*obruszony*). — Mój kochany, to zupełnie co innego...

LEŃSKI — Oczywiście... Więc Hamelbein?...

AUGUST — Straszna awantura... Pani Ewa telefonowała do mnie do Ministerjum.

LEŃSKI — Do Ministerjum?

AUGUST — Tak... Z tego może być skandal... Pan Hamelbein nie jest człowiekiem najlepszych manjer...

LEŃSKI — Mój Guciu... On jest z Ozorkowa...

AUGUST — Właśnie... Z Ozorkowa... Otóż pojmu-
jesz, ja się niczego nie boję...

LEŃSKI — Oprócz skandalu...

AUGUST (*skinął potakująco głową*). — Zarówno dla
pani Ewy...

LEŃSKI — ...jak i dla siebie... Lecz cóżes ty u dja-
bła wykaligrafował w tym liście?

AUGUST — Ja mam kopję. Ja zawsze robię kopję...
dla moich aktów osobistych...

LEŃSKI — Pokaż... (*August podaje mu papier, któ-
ry wyjął z kieszeni*). Tylko tyle? (*ogląda*). Czło-
wieku, tyś to pisał ze cztery dni...

AUGUST (*pochlebiony*). — Nie... jedno przedpołu-
dnie... ja mam dużą łatwość pisania...

LEŃSKI (*trzyma papier w ręku*). — To wy tak w biu-
rze?...

AUGUST — Ja nie lubię próżnować.

LEŃSKI (*przerywa*). — Oryginał też na maszynie?...

AUGUST — Naturalnie.

LEŃSKI — A podpisałeś?

AUGUST (*z prostotą*). — „Promień słońca“.

LEŃSKI (*śmieje się*). — Mój dobry Guciu!... „Pro-
mień słońca“?... Hamelbein nigdy się nie do-
myśli, że „promień słońca“, to ty...

AUGUST — Zacznie szukać... pytać... On już rozpo-
czął badać służbę...

LEŃSKI — Cham...

AUGUST — Prawda?

LEŃSKI — Ja to muszę jednak odsylabizować...
(*w drzwiach z lewej strony ukazuje się Służący*).
Czego chcesz? (*Służący daje znak ręką, że nie*

może powiedzieć głośno) (do Gucia). I on ma tajemnice! (do służącego niecierpliwie). No, przędziej!

SŁUŻĄCY — Jedna pani chce się widzieć z jaśnie panem...

LEŃSKI (*zerwał się*). — Przyszła! (*do Augusta, który wstał, nie rozumiejąc, co się stało*). Wybacz, mój drogi... dokończymy później... Chcesz zaczekać? Dobrze... Idź do salonu... Tylko przędziej... (*popycha go do drzwi wprost sceny*).

AUGUST — Ja mogę poczekać... ale potem...

LEŃSKI (*zamyka za nim drzwi na klucz*). — Tak... potem... Usiądź sobie grzecznie... zapal papierosa... (*do służącego*). Gdzie ta pani? (*służący kiwnął głową w stronę przedpokoju*). Proś! Nikogo tu nie wpuścisz, rozumiesz? Niema mnie w domu... dla nikogo!

(*Służący wychodzi, Leński poprawia gorączkowo przed lustrem krawat i kurtkę*).

SCENA 3.

LEŃSKI — EWA

(*Ewa wchodzi z lewej strony*).

LEŃSKI (*nie mogąc ukryć zdziwienia i zawodu*).
— To pani?

EWA — Pan się spodziewał kogo innego?

LEŃSKI — Nie spodziewałem się nikogo. (*opanał się, całuje swobodnie jej rękę, sadza na fotelu*).
Bardzo się cieszę... Tylko przepraszam... (*wska-*

zał na kurtkę. Ewa rozgrzesza go gestem). Właściwie, ja od bardzo dawna spodziewałem się już pani.

EWA (*roztargniona*). — Tak?... Proszę pana... ja musiałam widzieć się z panem, zanim przyjdą inni... bo grozi nam skandal...

LEŃSKI (*uśmiechnął się*). — Skandal? Nam?!

EWA — Mój mąż przejął list, pisany do mnie i jest przekonany, że ten list jest od pana... Zrobił mi straszną scenę, zabronił mi tu przyjść. Pan pojmuje, gdybym nie przyszła, co za plotki! — I wogóle, toby nie miało sensu... Więc on zagroził, że przyjdzie także i zrobi panu awanturę.

LEŃSKI (*szyderczo*). — Ho... ho!...

EWA — Ja wiem, że pan się nie boi, ale ja...

LEŃSKI (*przerywa*). — Pani mu powiedziała, że ten list nie odemnie?

EWA — Powtarzałam, nie wiem, ile razy. (*ciszej*). Nie mogłam powiedzieć od kogo... Zresztą, przyznaję się, straciłam głowę...

LEŃSKI — A cóż Guccio?

EWA (*nieopatrznie i zlekka wzgardliwie*). — On boi się jeszcze więcej...

LEŃSKI (*zamyslił się*). — Zaraz... (*spojrzał na zegarek*). Mamy pół godziny czasu... Przedewszystkiem trzeba się zabezpieczyć... (*idzie do dzwonka i naciska guzik*).

EWA — Co pan chce robić?

LEŃSKI — Niech się pani uspokoi. Jeszcze sam nie wiem... lecz sposób znaleźć się musi... (*w drzwiach z prawej strony pukanie. Ewa zaniepokojona*).

To służący. (*idzie do drzwi i uchyla je*). Aleksander?

SŁUŻĄCY (*z za drzwi*). — Jaśnie pan dzwonił?

LEŃSKI — Gdyby przyszedł pan Hamelbein, teraz, póki jeszcze niema gości, powiesz, że zostałem nagle wezwany do klubu... że wrócę po dziewiątej... że nawet może spóźnię się parę minut. Powiedz, że próba o 9-ej!

EWA (*półgłosem*). — Miała przecież rozpocząć się o ósmej?

LEŃSKI (*do Ewy*). — Nic nie szkodzi. (*do służącego*). To wszystko, i w dalszym ciągu nikogo tu nie wpuszczać... Rozumiesz?...

SŁUŻĄCY (*j. w.*). — Słucham, jaśnie panie... Dla pana Hemelbeina przysłali właśnie od krawca kostjum.

EWA (*nie dosłyszała*). — Co takiego?

LEŃSKI (*zbliża się do Ewy*). — Dla męża pani przysłali kostjum. Doskonale! O to chodzi, żeby przyszedł, kiedy już będzie całe towarzystwo.

EWA — Ale ja tego najwięcej się lękam!

LEŃSKI (*uderzył się w czoło, roześmiał się do własnej myśli i odzyskał już zwykłą pewność siebie i humor*). — Niech się pani nie boi. Wyjdzie pani z tej afery, jak nowonarodzone dziecko... Niechno pani zdejmie okrycie... Mamy pół godziny czasu. (*zdejmuje z niej płaszcz*).

EWA — Kiedy ja nie wiem, co pan chce zrobić.

LEŃSKI (*z bardzo dwuznacznym uśmiechem*). — Gdy pani zdejmie okrycie?...

EWA (*uśmiecha się*). — Ależ nie, później, gdy on przyjdzie...

LEŃSKI (*bierze ją za rękę i całuje*). — Ma pani do mnie zaufanie?

EWA — Mam.

LEŃSKI — Więc niech pani słucha. Teraz dla otuchy wypijemy po szklaneczce wina.

EWA (*stanowczo*). — Nie!

LEŃSKI (*wstał, idzie do drzwi na prawo*). — Koniecznie! Dla wzmocnienia nerwów... Ja tu mam zawsze w pogotowiu.

(*Wyszedł na chwilę, Ewa rozgląda się po pokoju. Leński wraca z butelką wina i dwiema szklaneczkami*).

EWA — Czy tu nikt nie wejdzie?

LEŃSKI (*postawił szklanki, majstruje coś koło butelki*). — Droga pani! W tym lokalu regulamin jest ustalony. Kobieta może tutaj stracić cnotę, reputacji — nigdy!

EWA (*już potrochu odzyskała swobodę, uśmiecha się*). — Zamek Don Juana o stu i jednym wejściu. Czy tu są korytarze podziemne?

LEŃSKI (*otworzył wreszcie butelkę*). — Uff! (*nalewa*).

EWA (*sposzregła, że nalewa obie szklaneczki*). — Ja nie będę piła.

LEŃSKI — Dobrze. (*trąca o jej szklaneczkę*). Niech pani chociaż umoczy usta.

(*Ewa przytknęła szklaneczkę do ust, odstawia ją, uśmiecha się w milczeniu*).

- LEŃSKI — Z czego pani się śmieje?
- EWA (*przekornie*). — Czy ta butelka szampana należy także do regulaminu?
- LEŃSKI — Już się pani lepiej czuje! Czy pani się bardzo kocha w tym Cynamonie?
- EWA (*zła*). — Niech mi pan o nim nie wspomina... Nie chcę go widzieć na oczy. Ja przeczynałam, że te listy sprowadzą wkońcu nieszczęście...
- LEŃSKI — To było dobre w czasach przedtelefonicznych.
- EWA (*ton usprawiedliwienia*). — On pisze bardzo ładnie.
- LEŃSKI (*sceptycznie*). — Pani wierzy w jego genjusz?... Napewno mu ktoś układa... Oni dlatego w Ministerjum mają tytuł literatów.
- EWA — Naprawdę?
- LEŃSKI — Cóżby tam innego robili? No, niech się pani napije. (*trąca swą szklaneczką o jej — pija*). Ja bardzo lubię Gucia, jestem z nim spokrewniony, ale żeby się w nim kochać...
- EWA — Proszę pana! Pan chyba nie myśli, żeby między nami...
- LEŃSKI (*śmieje się lekko*). — Oczywiście, że nie myślę...
- EWA (*spojrzała nań podejrzliwie*). — Ale teraz, nawet tego, co było, mam dosyć.
- LEŃSKI (*patrzy jej w oczy*). — Napewno?
- EWA (*obrażona*). — Są rzeczy, których kobieta nigdy nie daruje mężczyźnie... (*zainteresowana*). Niech pan powie, co pan zamierza zrobić?
- LEŃSKI — Jakie pani ma śliczne usta! Nigdy je-

szcze nie widziałem ust, któreby budziły takie pragnienie pocałunków...

EWA (*z minką*). — Dopiero dziś pan zauważył?

LEŃSKI — Pani wie, człowiek przechodził wieki całe koło małych kamyków nad brzegiem rzeki, potraçał je nogą i szedł dalej... Aż pewnego razu kamyk zaświecił w słońcu... człowiek się pochylił, podniósł, i znalazł — djament... I oto najcenniejszy klejnot świata rozpoczął swoją karierę. Piękną karierę...

EWA (*trochę drwiąca*). — I pan raczyłby się tak schylić... i podnieść? Aż do siebie?

LEŃSKI — Owszem, ja pasjami lubię takie odkrycia... (*bierze jej rękę w swoje dłonie*). Gdyby pani była bardzo... bardzo dobra... uczyniłaby mi pani jedną łaskę.

EWA — Jaką?

LEŃSKI — Nie śmiem powiedzieć.

EWA — Tej cnoty w panu nie podejrzewałam.

LEŃSKI — Gdy mi się kobieta zaczyna podobać, tracę pewność siebie.

EWA — Mam pana zachęcać?

LEŃSKI — Pozwoliłaby pani pocałować się choć w jedno z tych ślicznych oczu?

EWA (*śmieje się zalotnie*). — Tylko w jedno?

LEŃSKI — Powiedziałem choćby!

EWA — Pan nie jest wymagający.

(Leński trzyma ją za rękę, spogląda proszącym wzrokiem, ona uśmiecha się, cokolwiek zmieszana. Leński pochyla się ku niej, a gdy nie spotyka silniejszego oporu, przyciąga ją do siebie i całuje mocno w usta).

EWA (*wyrwała się*). — Panie, pan miał mnie pocałować w oczy.

LEŃSKI (*pokornie*). — Przepraszam, pomyliłem się. (*stoją chwilę naprzeciw siebie. Ewa zła, on pokorny*). Gniewa się pani?

EWA (*j. w.*). — Tak! Korzysta pan z tego, że jestem wytrącona z równowagi.

LEŃSKI — Pani mnie obraża. (*Ewa nie rozumie, lekko przestraszona*). Więc mój wdzięk osobisty, moja inteligencja, mój dowcip — nic? (*śmieje się*).

EWA (*patrzy na niego, rozjaśnia twarz uśmiechem*). — Pan jest bardzo miły.

LEŃSKI — Pani nie wie jeszcze, ile zyskuję przy bliższym poznaniu!

EWA (*zalotnie*). — Naprawdę?

LEŃSKI — Mam nadzieję, że się pani przekona...

EWA (*spowazniała*). — Pan sam nie myśli o tem na serjo... Pan wie, jakie mam teraz zmartwienie.

LEŃSKI — Ja się pani nie podobam?

EWA (*zakłopotana*). — Owszem, naprawdę... to pan mi się zawsze podobał... ale sam pan przyzna, że dziś...

LEŃSKI — Właśnie dziś jest moment psychologiczny... Takie momenty nie zdarzają się często... Pani ma... trudne przeżycie — a właśnie i w moim życiu... coś podobnego, choć całkiem z innych pobudek. Nigdy silniej nie odczuwałem potrzeby zwycięstwa, tryumfu, nigdy może nie byłem zdolny odczuć większej wdzięczności...

EWA (*po chwili wahania przesunęła ręką po jego rzedniejących włosach*). — Ja wiem, że pan...

LEŃSKI — Otuchy, wiary we własne siły... mogłyby mi dodać pani usta... (*patrzy prosząco w jej oczy, a nie znajdując w nich oporu, przyciąga ją i składa nagle na jej ustach ponowny pocałunek*).

EWA (*wyrywa się bez gniewu, trochę odurzona*). — Panie!

LEŃSKI (*obejmuje ją ramieniem*). — Zjawiała się pani, jak dobra wróżka...

(*W salonie słychać stuk przesuwanych krzesel*).

EWA (*przerazona*). — Tam ktoś jest!

LEŃSKI — To pewno Gucio się denerwuje.

EWA (*j. w.*). — Jakto, on?

LEŃSKI (*z uśmiechem*). — Był już, kiedy pani przyszła...

EWA — I pan nic nie powiedział?

LEŃSKI — Czy pani się tak za nim stęskniła?

EWA (*uśmiecha się*). — Nie... ale, że on tam przez cały czas... Życie jest bardzo skomplikowane...

(*Wskazała okiem drzwi salonu, Leński potakuje z uśmiechem*).

LEŃSKI (*z uśmiechem*). — Tym razem był potrzebny, jak promień słońca...

EWA (*zaskoczona*). — Pan wie?...

LEŃSKI (*wyjął list, który mu dał August, potrząsa nim*). — To będzie dokument decydujący.

EWA — Nie rozumiem.

LEŃSKI — Wyłomaczę to pani jutro... tutaj... o piątej...

EWA (*zastanawia się*). — O piątej muszę być w domu. Chyba o trzeciej?...

LEŃSKI (*potwierdza*). — O trzeciej.

EWA — Teraz jadę po Krysię i zaraz wracam.

LEŃSKI (*podaje jej płaszcz. Bierze jej rękę i długo całuje, patrząc w oczy*). — A ja cymbał tyle razy przechodziłem i blasku djamentu nie widziałem...

EWA (*wzięła płaszcz i koronkę, we drzwiach*).— Czy pan aby jest pewien, że to djament — a nie jakieś szlifowane szkielko?

LEŃSKI (*nagłym ruchem całuje ją w usta*). — Najpewniejszy!

(*Wychodzą na prawo*).

SCENA 4.

PREZES — ANTONINA

(*Przez chwilę na scenie pusto, potem wchodzi z lewej strony Służący, za nim Prezes i młoda osoba, bardzo ładna, okryta długim płaszczem, podobnym do płaszcza pani Hamelbein. Prezes we fraku i w białym krawacie*).

PREZES — Niema nikogo! Próba wyraźnie naznaczona była na ósmą. (*spojrzał na zegarek*). Dwie minuty po ósmej.

ANTONINA (*nadąsana, trochę wulgarny sposób mówienia dość jaskrawo odbija od wdzięcznej postaci*). — Wujcio zawsze i wszędzie musi zapalać lampy.

PREZES (*niespokojnie się obejrzał*). — Prosiłem cię, żebyś mi tutaj mówiła: panie prezesie... „Wujcio“ dobry jest w domu, gdy jesteśmy sami.

ANTONINA — Do chrztanu z takim weselem! I tego co tu mieszka, także niema?

PREZES — Wezwany został do klubu. Zaraz wróci.

ANTONINA (*próbuje fotelu*). — Dobrze się w tem siedzi! Takie meble byłyby akurat dla mnie. Musi być bogaty facet, ten Leński!

PREZES (*strofując*). — Tolu! Przrzekłaś mi zwracać uwagę na sposób wyrażania się.

ANTONINA — Przecież nikogo niema.

PREZES — Potem zapomnisz się.

ANTONINA (*obrażona*). — To ma znaczyć, że nie potrafię znaleźć się w towarzystwie? Mogę sobie odrazu pójść gdzieindziej. (*chce iść*).

PREZES (*zatrzymuje ją*). — Pragnąłbym, abyś zaprezentowała się jaknajkorzystniej. Na próbie będą same osoby z towarzystwa.

ANTONINA — Zawracanie Wisły kijem. (*sposstrzeża na stoliku wino, z radością*). O, biało! (*bierze do rąk butelkę, przymruża oko i zagląda przez szyjkę*). Jest! (*nalewa do kieliszka*).

PREZES (*troskliwie*). — Czy nie za zimne?

ANTONINA (*pije*). — Właśnie dlatego dobre.

PREZES (*dotknął butelki*). — Jak można pić takie zimne!... nic niezdrowszego dla żołądka.

ANTONINA (*filozoficznie*). — Trzeba mieć zdrowy żołądek... Uff! Gorąco! (*zrzuca płaszcz i pokazuje się w pięknej toalecie balowej, mocno dekoltowanej*).

PREZES (*wpatruje się w nią z zachwytem*). — Botticelli...

ANTONINA (*z godnością*). — Z makaronem! Proszę bez tych dowcipów, bo nie lubię.

PREZES (*uśmiechnął się*). — Nie chciałem cię obrazić, przeciwnie... (*zbliżyła się do niej, czuły*). Czekał, zamoczyłaś sobie nosek... (*wyjął chusteczkę i troskliwie obciera jej nos, poczem z wolna pochyla się, chce ją pocałować w szyję*).

ANTONINA (*nagle*). — Pali się!

PREZES (*prerażony*). — Gdzie się pali? (*odskoczył, jak oparzony, Antonina wybuchła śmiechem*).

ANTONINA — Tak dobrze niema! Miał wujcio dobrego pietra!

PREZES (*udaje, że go ten żart zabawił*). — Myślałem, że naprawdę się coś zapaliło.

ANTONINA (*myszkuje nieustannie po pokoju, zbliżyła się do biurka*). — Właśnie! Z wujcia to numer... podpalany! (*pochyla się nad biurkiem*). Jakie on ma ładne kawałki! I tak wszystko na wierzchu!... On się nie boi, żeby mu kto czego nie buchnął?... Wpuszczają każdego... (*dojrzała na ścianie obrazek, przedstawiający nagość*). Co to jest? (*zainteresowana przystawia krzesło do stolika, który stoi pod obrazem i wskazuje na stolik. Z podziwem radosnym*). Widział wujcio? Jej! Jej!...

SCENA 5.

CIŻ — HAMELBEIN — SŁUŻĄCY

(Za drzwiami z lewej strony, w przedpokoju, słychać nagle głośną rozmowę).

ADAM *(w przedpokoju)*. — To nie może być! Ja mówię, to nie może być! Pan musi być w domu!...

SŁUŻĄCY *(w przedpokoju, mówi ciszej, tak, że jego słowa ledwie dochodzą)*. — Jaśnie pan pojechał do klubu. Niedługo wróci.

PREZES *(do Antoniny, półgłosem)*. — Coś się stało...

ADAM *(wpada, jak z procy, w futrze. Jest widocznie podniecony. Mierzy wzrokiem Prezesa, potem szuka spojrzeniem po pokoju, spostrzega ze zdziwieniem Antoninę na stoliku)*. — Co to jest? Czego pani tam szuka?

(W otwartych drzwiach przedpokoju staje Służący).

PREZES *(ceremonjalnie)*. — Pan pozwoli sobie przedstawić: panna Antonina Materasówna... o której pan zapewne słyszał.

ADAM — Bardzo mi przyjemnie...

ANTONINA *(wciąż na stole, kłania się z wielką dystynkcją, bardzo światowa)*. — Właśnie przyglądałam się obrazom... Panie prezesie! Proszę mi podać rękę.

(Prezes zbliżył się, ona, opierając się na jego ramieniu, zeskakuje lekko ze stołu).

ADAM *(do prezesa)*. — Gdzie jest pan Leński?

PREZES — Pan Leński został podobno wezwany do klubu w nagłej sprawie... Zaraz ma wrócić...

ADAM — A moja żona?

PREZES — Nie wiem.

ADAM (*do służącego*). — Gdzie jest pani Hamelbein?

SŁUŻĄCY — Nie wiem, jaśnie panie!

ADAM — On nie wie, pan nie wie, ja także nie wiem! (*objął wzrokiem Antoninę, do Prezesa*). To jest panna Materac?

PREZES (*z naciskiem*). — Materas!

ADAM — Ja nie mam dzisiaj humoru... Ja nie mam dzisiaj zupełnie humoru... (*do służącego*). Ja tutaj wrócę... Proszę powiedzieć panu Leńskiemu, że pan Hamelbein był, poszedł, ale wróci... (*kłania się Antoninie*). Moje uszanowanie... (*do służącego, z naciskiem*). Wróci...

(*Wychodzi szybko, za nim Służący*).

SCENA 6.

PREZES — ANTONINA

ANTONINA (*jeszcze osłupiała*). — Co jemu się stało?

PREZES (*tajemniczy*). — Ja już od dłuższego czasu mam wrażenie, że on trochę tego... (*palcem wskazuje na czoło*).

ANTONINA — Myszuges...?

PREZES — Właśnie!

ANTONINA — To nie jest żadne wychowanie, tak wpadać do cudzego mieszkania... Niechby spró-

bował do mnie! Jabył mu dała! (*chwila milczenia*). E, mnie się nudzi to czekanie. (*bierze płaszcz z fotela i zarzuca go na ramiona*). Pójdę do innej kawiarni!

PREZES (*zatrzymuje ją*). — Proszę cię, Tolu...

(*Z prawej strony wchodzi szybko Leński*).

SCENA 7.

CIŻ — LEŃSKI

LEŃSKI (*zbliza się śpiesznie*). — Przepraszam bardzo, prezesie... (*ściska go za rękę*). Wypadł mi niespodziewany interes. (*zwraca się swobodnie do Antoniny*). Jestem bardzo rad, że pani raczyła przyjąć nasze zaproszenie. (*zatrzymał jej rękę w swojej dłoni, mierząc wdzięczną postać Antoniny okiem znawcy. Do prezesa*). Śliczna! Brawo, prezesie! Winszuję! (*z niewolącym uśmiechem do Antoniny*). Gdybym się podobał pani tak, jak się pani mnie podoba, już mogliśmy być szczęśliwi!

ANTONINA (*z godnością, ale życzliwie*). — Proszę pana, ja tam nie dbam o takie szczęście!

PREZES — Pan nie spotkał na schodach pana Hamelbeina?... Wpadł tutaj, jak bomba...

LEŃSKI (*narazie utknął, potem łże, jak z nut*). — Wszedłem od kuchni, bo z klubu właśnie przywieźli jakieś zakąski i wino. (*dzwoni na służącego*).

PREZES (*ciągnie dalej*). — Bardzo podniecony... (*tajemniczo*). Jemu coś... tutaj... (*wskazuje na czoło*).

ANTONINA (*wytworna*). — Cokolwiek myszuges!

LEŃSKI — I poszedł?

PREZES — Wyleciał — ale ma niebawem wrócić.

LEŃSKI (*do służącego, który stanął we drzwiach z prawej strony*). — Sprzątnij! (*wskazał butelkę i kieliszki*). I otwórz tamte drzwi do salonu.

(Służący kolejno wypełnia oba zlecenia. Przez szeroko otwarte drzwi w głębi widać rzęsiście oświetlony salon, czterech muzykantów, w rogu, przy fortepianie. Czasem przesunie się ktoś ze służby).

LEŃSKI (*do Antoniny*). — Pani nie ukáže skarbów, które kryją się pod tym pięknym płaszczem?

ANTONINA (*j. w.*). — Owszem, proszę pana, mo-
gę, nawet zaraz... (*rzuca płaszcz na ręce pre-
zesa, który go kładzie na łotel*).

*(Z salonu wchodzi szybko Hrabina mocno wydekoltowa-
wana, prowadząc za sobą Augusta i Romana).*

SCENA 8.

CIŻ — HRABINA — AUGUST — ROMAN

HRABINA (*wita się z Leńskim i Prezesem*). — Do-
bry wieczór... Nie spóźniłiśmy się?

LEŃSKI — Witam panią.

PREZES (*uroczysty*). — Pani pozwoli przedstawić
sobie młodą artystkę, pannę Antoninę Matera-

sównę, która zgodziła się wziąć udział w naszym przedstawieniu.

(Antonina składa bardzo ceremonjalny, niemal dworski ukłon, Hrabina skinęła lekko głową, mierząc dziewczynę przez face à main).

HRABINA *(chłodno)*. — Bardzo jesteśmy pani wdzięczni.

LEŃSKI *(przedstawia Antoninie młodych ludzi)*. — Pan Borski, pan Koskiewicz...

HRABINA *(do Leńskiego, wskazując Borskiego)*. — Pan Gucio jest dzisiaj bardzo nie w humorze. *(do Augusta)*. Czy pana naprawdę nic nie boli?

AUGUST *(osowiały, niecierpliwie)*. — Nic mi nie jest.

HRABINA *(do Prezesa)*. — Coś mu jest, tylko nie chce powiedzieć.

ROMAN *(pociągnął na przód sceny Leńskiego, wzburzony)*. — Proszę pana, to jest Antka Moczynos...

LEŃSKI *(zdziwiony)*. — Jakto, Moczynos?...

ROMAN — Ją tak nazywają, bo jak pije wino, zawsze sobie nos pomoczy... Ja nawet wcale nie wiedziałem, że ona się nazywa Materac.

LEŃSKI *(naśladuje jego ton)*. — Proszę pana, cóż ja jestem temu winien?

(Roman urwał, bo w tej chwili zbliża się do nich Antonina, która już od niejakiemu czasu niespokojnie spogląda na Romana, jakby przeczuwając z tej strony niebezpieczeństwo).

ANTONINA (*do Romana, wytworna*). — Nie wiedziałam, że pana tu spotkam.

ROMAN (*dwuznaczny*). — Jest to dla mnie również niespodzianką.

(*Leński odchodzi do Hrabiny i Prezesa. August usiadł samotnie na uboczu*).

ANTONINA (*obejrzała się, czy nikt nie słyszy, ciszej*). — Korniszon!

ROMAN — Moczynos!

ANTONINA — Tylko przy starym... (*wzrokiem wskazała Prezesa*). Język na patelni!

ROMAN (*drwiąco*). — Wujcio?

ANTONINA — Właśnie!

ROMAN (*sceptycznie*). — Cóż ty będziesz tutaj pokazywać?

ANTONINA (*obrażona*). — Pewnie, że mam więcej do pokazania od ciebie... Ja wogóle dziwię się, że takiego, jak ty, puszczają do porządných salonów... Tu trzeba mieć inne manjery...

ROMAN (*wybałuszył na nią ślipia, osłupiały*). — A wiesz! Zaimponowałaś mi!

SCENA 9.

CIŻ — PANI DZIDZIA — LAFIRDECKI

DZIDZIA (*wita się*). — Dobry wieczór... Ja zrobiłam próbę w domu. Pan Lafirdecki był tyle łaśkaw... Zobaczycie, jak teraz pójdzie.

PREZES (*wskazuje Antoninę, która stoi opodal Romana*). — Panna Materasówna.

(*Antonina składa głęboki ukłon. Dzidzia skinęła lekko głową*).

LAFIRDECKI (*nad miarę słodki i wytworny, stosownie do wersalsko-baletowych obyczajów*). — Moje uszanowanie! (*składa głęboki ukłon Hrabinie, poczem z większą zamaszystością kłania się panom*). Czołem! (*sposprzegł Antoninę, znów głęboki ukłon*). Pani!

LEŃSKI (*do Dzidzi*). — Jestem pewny, że będzie świetnie...

ANTONINA (*na stronie do Romana, nie mogąc utaić wrażenia, jakie na niej uczynił Lafirdecki*). — Kto to jest?

ROMAN (*lekceważąco*). — Jakiś baletnik... Lafirdecki.

ANTONINA (*radośnie*). — Poznałam go! On tańczy w „Zaczarowanym jeziorze“!

ROMAN (*wybałuszyl na nią oczy*). — Więc co?

ANTONINA (*spojrzała nań z pogardą*). — Głupi!

(*Roman, cokolwiek urażony, siada obok Augusta na uboczu. Lafirdecki sposprzegł wrażenie, jakie uczynił na Antoninie i posyła jej zabójcze spojrzenie*).

LEŃSKI (*głośno*). — Moi drodzy państwo, zabierajmy się do pracy. Muzyka!

HRABINA (*do Leńskiego*). — A tamte panie?

LEŃSKI — Pani Lola poprawia toaletę.

HRABINA — Pójdę zobaczyć. (*idzie z Leńskim na prawo*).

LAFIRDECKI (*bierze pod rękę Prezesa, niezbyt zadowolonego z tej poufałości*). — Kochany panie prezesiuniu... Czy ta pani... (*wskazuje wzrokiem Antoninę*) ...to córka pani hrabiny?

PREZES (*z godnością*). — Nie, to panna Materasówna, młoda artystka, o której panu wspominałem.

LAFIRDECKI (*lekko rozczarowany*). — Myślałem, że hrabianka... Ale materacyk... (*strzelił palcem przy ustach, jak gdyby korkiem od wina szampańskiego*).

ANTONINA (*zbliżyła się do nich, do Lafirdeckiego, lekko wzruszona*). — Dawno pragnęłam pana poznać...

LAFIRDECKI (*wersalski ukłon*). — Cały zaszczyt jest po mojej stronie...

ANTONINA — Będę miała wielką treść wobec takiego artysty...

LAFIRDECKI (*wytworny, acz cokolwiek protekcyjnalny*). — Jeśli kochana pani ma tyle wdzięku w nogach, co w cyferblaciku, reszta będzie... (*strzelił palcem przy ustach. Prezes skrzywił się*) fenomenalnie!

ANTONINA (*zachwycona*). — Panie!

LEŃSKI (*wchodzi z salonu*). — Panie Lafirdecki! Zaczynamy!

(*August, który przeżuwa wciąż posępne myśli i cokolwiek jest rozżalony na Leńskiego, że nie skończył z nim rozmowy, nagle zdecydował się i podchodzi do Leńskiego*).

LAFIRDECKI (*z dworskim ukłonem do Antoniny*).
— Paniusia wybaczy. (*wybiega skocznie do salonu*).

(*Prezes i Antonina stoją w drzwiach salonu, przybliża się do nich Roman. Na przodzie sceny zostaje Leński i August*).

AUGUST (*wziął pod ramię Leńskiego i prowadzi go do rampy*). — Mój drogi, nic mi dotąd nie powiedziałeś... Ja cały czas czekałem tam... (*wskazuje salon*).

LEŃSKI — Znudziliście się?

AUGUST — Owszem. Gdy jestem sam, zawsze się nudzę. Jestem coraz bardziej niespokojny. Pani Ewa nie przyjechała?

LEŃSKI (*nieważnie*). — Zaraz będzie.

AUGUST — Skąd wiesz?

(*Prezes, Antonina i Roman przeszli do salonu*).

LEŃSKI — Telefonowała, że przyjdzie z panią Chomicką.

AUGUST — Powiedz mi swoje zdanie... Co ja powinienem zrobić?

(*Wchodzi Hamelbein, staje we drzwiach w futrze, z prawej strony*).

LEŃSKI — Moje zdanie? (*spostrzegł Hamelbeina*).
Masz moje zdanie!

CIŻ — HAMELBEIN

LEŃSKI (*swobodny, jakby szczególnie rozradowany, zbliża się z otwartymi ramionami do Adama*). — Dobry wieczór! Dlaczego tak późno?

ADAM (*ponuro*). — Ewy tu niema?

LEŃSKI (*pochwycił rękę Adama, której ten wcale nie podniósł i potrząsa nią serdecznie*). — Jeszcze niema. Niechże się pan rozbierze. (*do służącego*). Weź futro pana Hamelbeina! (*Adam skonsternowany, wytrącony z równowagi, daje sobie zdjąć futro. Jest w ciemnym, marynarkowym ubraniu*). Nic nie szkodzi, że pan nie ubrały. I tak przebieramy się.

(*Służący wyszedł. Adam spojrział w drzwi salonu, obejrzał się, czy służący wyszedł i nagle zdecydowany i groźny*).

ADAM — Proszę pana, ja nie przyszedłem na żadne przebieranie się. Ja tu raz już byłem, ale pana nie trafiłem...

LEŃSKI (*obmacuje się, śmiejąc*). — Nie trafił mnie pan?

ADAM (*zdziwiony*). — Co panu jest? (*przypomniawszy sobie, że się nie przywitał z Augustem*). Dobry wieczór panu! Przepraszam... Jestem tak ekscytowany... (*wyciąga dłoń do Augusta, tamten skwapliwie ją chwyta, ściskają się czule. Adam odwraca się do Leńskiego, znów przybiera groźny wyraz twarzy*). Pan nie wie, z czym ja tu przyszedłem?...

LEŃSKI — Naturalnie, że wiem! Z zapasem dobrego humoru... Panie Hamelbein... Dziś postanowiliśmy szaleć...

LAFIRDECKI (*w drzwiach salonu, do Leńskiego*). — Już gotowe!

LEŃSKI (*ciągnie dalej*). — Zabawą będzie ef - ef... Panie Lafirdecki, jak pan to robi? (*przykłada palec do ust*).

(*Lafirdecki z radością przykłada palec do ust swoich i strzela. Hamelbein patrzy zdziwiony*).

LEŃSKI — Otóż i panie!

(*Z prawej strony wchodzi: Hrabina, Pani Dzidzia i Pani Lola w kostjumie. Z salonu wychodzą: Antonina, Prezes i Roman*).

LAFIRDECKI — Zaczynamy!

SCENA 12.

CIŻ — HRABINA — PREZES — ROMAN —

DZIDZIA — LOLA — ANTONINA — LAFIRDECKI

ADAM (*do Augusta groźnie*). — Dobrze! Ja poczekam! Ja nawet wolę, żeby ona była przy tem.

AUGUST — Co pan chce zrobić?

ADAM — Co ja chcę zrobić?... Pan zobaczy... Ja tylko przy niej zapytam go... Panie Leński! Kto pisał ten list?

AUGUST (*z ulgą, nie pozbawioną radosnego zdziwienia*). — Pan się jego zapyta?

ADAM — Pan myśli, że ja tego nie zrobię? Pan mnie nie zna!...

AUGUST — To będzie skandal!

ADAM (*pełen tragicznych przeczuć*). — Ja panu powiem: ja właśnie idę do tego kroku.

HRABINA (*siedzi na kanapie*). — Cicho...

(*Muzyka zaczyna grać. Rozmowy milkną. Z salonu wybiega Antonina, tańcząc i śpiewając swoją piosenkę. Za nią w szyku tanecznym kroczą Lola, Dzidzia i inni, podchwytyjąc we właściwej chwili refren*).

LAFIRDECKI (*wziął pod ramię Leńskiego i konfidencjonalnie*). — Panie radco... Ona ma pieprz!... (*wskazał Antoninę*).

LEŃSKI — Kochany panie... Naprzód ja nie jestem radcą. A potem, trudno! Widocznie, mimo młodego wieku, zawczasu zbadała, gdzie pieprz rośnie...

(*Znowu śpiew i tańce*).

LAFIRDECKI (*j. w. do Leńskiego*). — Może trochę zanadto fika!

LEŃSKI (*j. w.*). — Sobie fika, nie komu...

LAFIRDECKI — Ale ma pieprz! (*strzelił palcem przy ustach*). Ma!...

(*Po pierwszym kupiecie pojawiają się Ewa i Krystyna. Ewa ma na ramionach płaszcz, podobny do płaszcza Antoniny*).

ADAM (*sposzrzegł żonę, zrywa się*). — Jest... Ewa...

AUGUST (*zatrzymuje go*). — Nie można przerywać...

(*Ewa widocznie strwożona, ogląda się na Leńskiego.*

Ten daje jej znaki uspakajające).

ADAM (*wyrywa się*). — Ewa!

HRABINA i PREZES (*surowo*). — Cicho!

(*Adam zrezygnowany siada. Śpiew i tańce*).

SCENA 12.

CIŻ — EWA — KRYSZYNA

(*Antonina kończy swą piosenkę. Leński daje hasło do burzliwych oklasków. Wszyscy wołają: Brawo! Brawo! Świetnie! Doskonale!*)

ADAM (*podchodzi do Ewy*). — Ewa! Gdzie ty byłaś? Dlaczego tak późno przychodzisz? (*kłania się, nastroszony, zdaleka Krystynie*). Dobry wieczór pani!

EWA (*urazona i nadąsana*). — Wstąpiłam po Krysię.

KRYSZYNA (*usiłuje rzucić ziarno zgody*). — To moja wina. Zatrzymałam ją.

LEŃSKI (*zbliża się do nich ze sztucznem nieco ożywieniem i oszałamiającą swobodą*). — Ładnie! Tak późno! Niema chwili czasu! Teraz pójdzie: „Wszyscy w pyjamach“. Panie poproszę do mojej ubieralni. (*do Hamelbeina*). A my, panie Hamelbein, tam. (*skazuje w kierunku salonu*). Pańską pyjamę już przynieśli.

(*Prezes zarzuca Materasównie płaszcz na ramiona*).

- ADAM (*gwałtownie*). — Ja się nie będę przebierał...
 Ja wogóle przyszedłem tutaj...
- ANTONINA (*zbliżyła się do Leńskiego i przerywa*).
 — Moja pyjama jeszcze nie gotowa... Będzie do-
 piero jutro...
- LEŃSKI — Chce pani moją?
- ANTONINA (*obrażona*). — Proszę pana!
- LEŃSKI — Więc zostanie pani tak! (*przedstawia ją paniom*). Panna Materasówna, gwiazda... (*zauważył*). Panie mają okrycia, jak dwie krople wody... (*do Antoniny*). Prawda?
- ANTONINA — Rzeczywiście. Ale pani znacznie piękniejsze!
- LEŃSKI (*nie zwracając uwagi na Adama, który gotuje się ciągle coś powiedzieć*). — Panie będą łaskawe... tam... (*wskazuje drzwi na prawo*). Okrycia lepiej tu zostawić. (*zdejmuje z nich płaszcze i rzuca na fotel. Głośniej*). Panowie za mną!
- ADAM (*z tajoną rozpaczą, że nie może się wypowiedzieć, że nikt na niego nie zwraca uwagi*). — Ja nie będę się ubierał w pyjamę!
- PREZES (*zbliżył się do nich, surowy*). — Co to ma znaczyć, panie Hamelbein? Jeżeli nawet ja zgodziłem się, ze względu na cel... to już chyba pan...
- LEŃSKI (*kręcąc się między gośćmi, do Koskiewicza*).
 Panie Romanie! Weźcie Hamelbeina! Gotów ze-
 psuć nam próbę!
- (*Ewa i Krystyna wychodzą wraz z Hrabinią na prawo*).
- LOLA (*oburzona do Adama*). — Wie pan!... Zupełnie nie rozumiem!...

ADAM (*już cokolwiek płaczący*). — Ja nie mam dziś żadnego humoru! To trudno!

PREZES (*j. w.*). — Więc będzie pan bez humoru...

ROMAN (*pociąga Adama za ramię*). — Idziemy!

ADAM (*j. w. z tajoną pogrózką*). — Dobrze! Ja się ubieram w pyjamę! Dobrze! (*do Augusta*). Ale to wszystko będzie miało koniec!

LEŃSKI (*w drzwiach salonu, niecierpliwie*). — Panowie! Niema czasu!

(Lola wybiega na prawo, Roman i Prezes wyprowadzają Adama w głąb, za nimi August i Leński. Na scenie zostaje Antonina i Lafirdecki. W salonie muzyka gra cicho shimmy).

SCENA 13.

ANTONINA — LAFIRDECKI

(Lafirdecki rozsiada się na kanapie, wybiera starannie cygaro, obgryzł koniuszek — zapalił, dwa inne chowa niedbalym gestem do kieszeni. Założył wygodnie i wysoko nogę na nogę. Zbliża się doń Antonina, staje przy fotelu).

LAFIRDECKI — Poszli, nie przeprosili, jakby nas tu wcale nie było... To ma być eleganckie wychowanie!

ANTONINA — Mnie się ich manjery nie podobają. Panowie zachowują się, jak w kabarecie... A panie!...

LAFIRDECKI (*puszcza kółka z dymu*). — Ja pani powiem! Ja wogóle mam dosyć tych dam z towarzystwa! (*łaskawie*). Czemu paniusia nie siada? (*posunął się, robi miejsce*). Proszę. (*wraca*

do rozmowy). To jest interes bardzo przechwalony.

ANTONINA (*siada*). — Na pana muszą lecieć!

LAFIRDECKI (*bez fałszywej skromności*). — Pewno, że lecą... ale ja... (*z lekką ironją*). Paniusia myśli, że ja tak z każdą, odrazu?

(*Z prawej strony wchodzi służący z tacą, na której lśnią szklaneczki szampana; idzie do salonu*).

ANTONINA (*życzliwie, ale sceptycznie*). — Każdy mężczyzna jest lotnik!

LAFIRDECKI — Nie każdy... (*sposzregł służącego, niedbale*). Niech-no radca pokaże zblizka... (*strzelił palcami. Służący podchodzi. Lafirdecki podaje kieliszek Antoninie, sam bierze drugi*). Pani!

ANTONINA (*ze słodkim uśmiechem*). — Dziękuję! (*trącają się*).

LAFIRDECKI — Zdrowie pani! (*wypił duszkiem, stawia kieliszek na tacy. Służący chce odejść*). Zaraz... pani jeszcze nie wypila... Co się radca tak śpieszy? Jeszcze dzwonka nie było... (*bierze pełny kieliszek i podaje go Antoninie, sam bierze drugi. Do służącego*). Niema tam czem przegryźć?...

SŁUŻĄCY (*z godnością*). — O dwunastej będzie zimna kolacja. (*odchodzi do salonu*).

LAFIRDECKI — Widziała pani? Nawet ciepłej kolacji nie dadzą! Lokaj w liberji, dywany, obraz... a kolacja zimna! (*życzliwie*). Zamoczyła pani sobie nosek... (*wraca do toku rozmowy*). To nie

jest żadne towarzystwo! On powiada do mnie przy drzwiach: Nie rób pan hrabiego!

ANTONINA (*obrazona*). — Tak panu powiedział?

LAFIRDECKI — Tak! Ja do niego kulturalnie: Szanowny panie radco!... W towarzystwie każdego nazywa się radcą... albo redaktorem... A on opryskliwie: ja nie jestem żadnym radcą!

ANTONINA — Do mnie też zaraz: Mogłaby pani być ze mną szczęśliwą! Właśnie! (*Lafirdecki nie rozumie*). Tylkom na niego czekała... (*zalotnie do Lafirdeckiego*). Jak panu na imię?

LAFIRDECKI — Telesfor...

ANTONINA — Niech pan Telesfor powie... ale szczerze — prawdziwą prawdę. Dobrze?

LAFIRDECKI — Dlaczego nie... Mnie stać na to...

ANTONINA — Jak ja śpiewałam tę piosenkę?

LAFIRDECKI — Atrakcyjnie... Owszem, atrakcyjnie... Ja to już powiedziałem panu Leńskiemu. Z nich wszystkich (*gest*) pani jedna ma pieprz, i duszę... i nóżkę... (*gest*)

ANTONINA (*uradowana*). — Pan mnie nie buja?

LAFIRDECKI — Słowo honoru! (*strzelił palcem*).

ANTONINA — Pan Telesfor myśli, że ja mogłabym i w prawdziwym teatrze?

LAFIRDECKI — Czemu nie? To nie jest wcale astronomja! (*trąca kieliszkiem o jej kieliszek*). Zdrowie pani!

ANTONINA (*uradowana*). — Za te słowa... (*obejrzała się*) pocałowałabym pana Tefesfora.

LAFIRDECKI (*zgodny*). — Da się zrobić, proszę tylko obetrzeć nosek.

(*Antonina w pośpiechu otarła nos ręką, on ją przygarnia i całuje zgoła dokumentnie*).

LAFIRDECKI (*smakowało mu*). — Zamawiam sobie drugą porcję. Jak pani mówią?

ANTONINA — Tola, albo poprostu Antka.

LAFIRDECKI — Tola bardziej elegancko... Z pani mogą być ludzie... Byle tylko dobrać odpowiednią rolę, kostjum dystyngowany... z boku dobrze rozcięty, żeby dokładnie poznać warunki...

ANTONINA (*nie zrozumiała*). — Co to jest: warunki?

LAFIRDECKI (*z autorytetem*). — Niech pani wstanie.

(*Antonina wstaje posłusznie, nie wiedząc, o co mu chodzi. On objął ją długim spojrzeniem znawcy, potem przesunął rękami po jej biodrach*).

LAFIRDECKI — Warunki są!

ANTONINA — Jakto?

LAFIRDECKI (*z wymownym gestem*). — Niby ten... (*wstał podniecony*). Możeby... (*strzelił palcem*) drugą porcję...

ANTONINA (*zalotna*). — Tak dobrze niema! Pan Telesfor ma apetyt!

(*Mimo zalotnego oporu, Lafirdecki przyciąga ją i całuje dłużej i dokumentniej*).

ANTONINA (*wyrywa się*). — No... ja już nie mogę oddychać...

LAFIRDECKI (*odetchnął głębiej, wziął szklaneczkę, przechylił do ust, spostrzegł, że pusta, skrzywił się*). — Nawet wina niema. Gdyby nie to, że jestem cokolwiek głodny, jużby mnie tu nie było!

ANTONINA (*mniej śmiało*). — Możebyśmy zwiali?

LAFIRDECKI (*strzelił palcami*). — Bycza myśl! Ale dopiero po tym numerze w pyjamach! Inaczej mogliby nie zapłacić.

ANTONINA — Dobrze! Zaraz po pyjamach!

LAFIRDECKI — Już mnie niema... (*przypomniat sobie*). Tylko ja, nie spodziewając się takiej okoliczności, nie wziąłem pugilaresu...

ANTONINA (*ze śmiechem*). — O to niech pana Telesfora głowa nie boli! (*potrząsa torebką*) Ja mam! Numer się skończy, wiejemy... (*spozstrzega płaszcz na fotelu*). Płaszcz odrazu wyniosę do przedpokoju. (*idzie ku fotelowi*).

LAFIRDECKI — Byczo...! (*wytworny*). Niech paniusia pozwoli. (*chwytą okrycie i niesie do przedpokoju*). Powieszę obok mojego. (*trzyma okrycie w rękach*). Ten?

ANTONINA (*spojrzała roztargnionym wzrokiem*). — Tak.

SCENA 14.

CIŻ — LEŃSKI — potem WSZYSCY

LEŃSKI (*w pyjampie, wchodzi szybko z salonu*). — Wszyscy gotowi! Zaczynamy! (*z drzwi na lewo wchodzi: Ewa, Dzidzia, Lola, Hrabina w pyjamach. Wkońcu Krystyna w zwykłej sukni wieczorowej; Leński ogarnia je wzrokiem*). Świet-

nie! Robimy rewję! Rzędem! (*panie ze śmiechem ustawiają się w rząd*).

EWA — Ja się wstydzę tak pokazywać.

LEŃSKI — Gdyby pani wiedziała, jak pani ładnie! (*do Krystyny*). A pani?

KRYSTYNA — Ja jestem w roli widza.

LEŃSKI (*do Krystyny, półgłosem*). — Niedobra!

KRYSTYNA (*ze śmiechem*). — Zdaje mi się, że się pan już pocieszył.

LEŃSKI (*śmieje się*). — Nigdy!

KRYSTYNA (*tak samo*). — Już!

LEŃSKI (*wskazuje na Ewę, która się do nich zbliża*).
— Czy nie śliczny chłopak?

EWA (*półgłosem do Leńskiego, wskazując męża*).
— Co teraz będzie? Ja się tak boję!

LEŃSKI — W pyjampie! Nigdy! Pani jest asekurowana... Nie robi się dramatu w pyjampie!...

HRABINA (*zbliża się do nich, do Leńskiego*).
— A moja pyjama?

LEŃSKI — Melon! Soczysty melon! (*z salonu wychodzi Prezes w pyjampie*). Brawo, prezesie! Kolorek pierwszorzędny! A reszta panów?

PREZES (*do Ewy*). — Pan Hamelbein robił nam wstręty... Ale go już prowadzą.

LAFIRDECKI (*w salonie, dyrygując muzykantami*).
— Numer... „Wszyscy w pyjamach“...

(*August i Roman wprowadzają Adama, który się lekko opiera. Wszyscy w pyjamach*).

ADAM (*do Augusta*). — Pan powinien zrozumieć, że

ja nie mam humoru... Ja dziś nie mam żadnego humoru!...

DZIDZIA (*oburzona, swoim powolnym głosem*).
Co to znaczy te ciągle... nie mam humoru. Wszyscy dziś mamy szalony humor!

ADAM (*sposzrzegł Ewę, poruszył się gwałtownie*).
Ewa! Jak ty wyglądasz?

LOLA — A pan?

LEŃSKI — „Wszyscy w pyjamach“! Panie Lafirdecki!

LAFIRDECKI (*do muzykantów*). — Muzyka! (*Muzyka zaczyna grać w ostrem tempie*). (*Lafirdecki wychodzi z salonu*). Proszę państwa rządem... (*do Antoniny*). Panusia tu... (*Leński stanowi parę z Ewą, Adam z Dzięcią, Roman z Hrabką, August z Lolą*). Już!

(*Prezes z boku. — Antonina chce zacząć śpiewać, Leński zatrzymuje ją gestem*).

LEŃSKI — Zaraz... Przepraszam! Po każdym kupiecie robimy wyzwolenie się zwierzęcia ludzkiego z oków konwencjonalnej kultury. Powrót do natury... wyrażanie radości życia w sposób najpierwotniejszy...

ADAM (*przerywa*). — Ja nie odczuwam żadnej radości...

DZIDZIA (*zamyka mu usta*). — Cicho!

LEŃSKI (*nie zwraca uwagi*). — Kto ma ochotę krzyczeć, niech krzyczy; kto chce tańczyć, śpiewać, płakać, wzdychać — niech da wolny, niepomowany upust swoim instyktom! Zaczynamy!

LAFIRDECKI (*do muzykantów*). — Jeszcze raz!

(Muzyka gra, Antonina zaczyna swoją piosenkę. Słowa Lechonia. Refren podchwytyją wszyscy. Tańce).

I-szy KUPLET.

Gdy kwitną bzy, czereśnie, słowiki drą się
I słońce wczesnie budzi się w ponsie
Coś wtenczas czujesz w sobie, jak ptaszek pióra
Ach, co ja zrobię, to natura, to natura!

Refren:

O pół do piątej już uderza,
Każdy w sobie czuje zwierza.
W sukni jesteś wielką damą,
Lecz kobietą pod pyjamą.
Przez jedwabne materiały
Obejmuje świat cały.

Gdy we fraku jest, to kłamie,

Prawdę mówi tylko wtedy, gdy jest w pyjampie.

LEŃSKI (*po skończonym kupiecie*). — Teraz!

(Zaczyna się wrzask i skakanie, jeszcze cokolwiek nieśmiało, każda z osób obecnych na scenie winna oddawać swoją radość lub smutek odpowiednimi pokrzykami lub gestami).

LAFIRDECKI — Drugi kuplet!

(Antonina śpiewa).

II-gi KUPLET.

Na drzewie pączek pęka, w żyłach masz wrzątek,
Idzie panienka, to jest początek

Sen spędza wiosna z powiek, ani się pytasz
Kiep, czy dygnitarz, tylko człowiek, tylko człowiek!

Refr en:

Skąd to nam się wszystko wzięło,
Jeszcze w raju się zaczęło,
To piękna Ewa przy Adamie
I oboje nie w pyjanie.
Krew nabiega nam do skroni,
Twarz przy twarzy i dłoń w dłoni,
W sen schodzimy i słuchamy,
Jak nam młotem serca biją z pod pyjamy.

*(Powtarza się ten sam zgiełk, tylko wyzwalanie
zwierzęcia ludzkiego staje się jeszcze żywsze i krzy-
kliwsze).*

LEŃSKI — Lepiej! Ale jeszcze zamało humoru...
Pani Dzidziu! Żywiej! Śmielej! Prezesie... Pre-
zes też musi!

HRABINA *(rozszałała)*. — Prezes też musi! Panie
Romanie! Panie Hamelbein!

(Krzyk i hałas rośnie).

LEŃSKI — Doskonale! Teraz doskonale!

(Lokaj wnosi wino w szklaneczkach na tacy).

LAFIRDECKI *(do Leńskiego)*. — Ja już nie będę
potrzebny?

LEŃSKI *(niedbale)*. — Jak się panu podoba.

LOLA — Ja już nie mogę, ledwo żyję!!

*(Wszyscy skupiają się koło służącego. Leński czę-
stuje. Lafirdecki i Antonina znikają).*

ADAM (*pociągnął na przód sceny Augusta*). — Po co mnie pan ubrał w tę pyjamę? Jak ja teraz wyglądam? Czy ja mogę w tem ubraniu zapytać się: Panie Leński, czy to pan napisałeś ten list?... On jest w pyjampie, ja jestem w pyjampie, wszyscy w pyjamach... to nie jest w porządku... Ja panu mówię, to nie jest w porządku...

LEŃSKI (*za nim służący*). — Może panowie się napiją?

ADAM (*spojrzał na niego złowrogo*). — Ja się napiję... Bardzo dobrze... ja się napiję... (*bierze szklaneczkę, wychyla ją duszkiem, bierze drugą, chce pić*).

EWA (*kładzie rękę na jego ramieniu*). — Nie pij tyle. Będzie cię głowa bolała.

ADAM (*z tajoną rozpaczą*). — Co ciebie obchodzi moja głowa?... Ciebie moja głowa nic nie obchodzi! Proszę cię, ty milcz do mnie! Będę pił!... (*pije*).

EWA (*do Leńskiego*). — Niech mu pan nie daje pić. Będzie chorował.

ADAM — Będę chorował! Ja się z tobą jutro rozmówię. Nie dziś, to jutro...

EWA — Jutro!

LEŃSKI (*wesoło*). — Jutro do nas należy!

ADAM (*patrzy na niego zdziwiony*). — Co to jest: do nas należy?

(*Z salonu wpada zaaferowany Prezes*).

PREZES — Przepraszam... Państwo nie wiedzą, co się stało z panną Materasówną?

(Wszyscy odpowiadają: Nie. Adam, nie rozumiejąc, o co chodzi, wodzi pytającym wzrokiem).

LEŃSKI — Przed chwilą tu była, rozmawiała z Lafirdeckim

PREZES *(poruszony)*. — Nigdzie jej niema. Pana Lafirdeckiego również!

SŁUŻĄCY *(zbliżył się nieco)*. — Ci państwo, proszę pana, ubrali się i wyszli.

PREZES *(j. w.)*. — Wyszli? Gdzie wyszli?

SŁUŻĄCY — Tego nie wiem. Pani kazała sprowadzić taksówkę i podnieść budę.

(Lekkie przyśmiewchy. Prezes siada pod głębokim wrażeniem, bezradny).

PREZES — Kazała podnieść budę!...

Koniec Aktu II-go.

A K T III.

Dekoracja ta sama, co w akcie I-ym.

SCENA 1.

ADAM — SŁUŻĄCY

(Adam chodzi po scenie widocznie zdenerwowany. Siada, bierze do ręki jakiś bibelot, stawia go z powrotem na stoliku, znów wstaje, chodzi. W przedpokoju dzwonek. Adam stanął).

SŁUŻĄCY *(wchodzi z prawej strony)*. — Jaśnie pan dzwonił?

ADAM *(unosi się)*. — Czy Bolesław jeszcze nie wie, kiedy dzwonią od frontu? Czy ja mam Bolesława uczyć?... Prędko... To pewno pani...

(Służący idzie do drzwi w głębi).

SCENA 2.

ADAM — AUGUST — potem SŁUŻĄCY

AUGUST *(zjawia się w drzwiach w głębi)*. — Dzień dobry panu.

ADAM *(rozczarowany)*. — Dzień dobry... *(powitania)*. Myślałem, że to Ewa.

AUGUST (*zaniepokojony*). — Pani Ewy niema?

ADAM — Wyszła przed trzecią i do tej pory nie wróciła... Co to jest, proszę pana, takie chodzenie po mieście?... Niech pan usiądzie... (*siadają*).

AUGUST — Pewno ma jakieś sprawunki...

ADAM — Ona teraz nie powinna myśleć o sprawunkach... Czy ja teraz idę do krawca?... (*śła żalu*). Dlaczego pan mi się kazał wczoraj ubrać w tę pyjamę? Pan postawił mnie w fałszywym położeniu... Ja musiałem skakać... musiałem pić wino... a we mnie wszystko się trzęsło!

AUGUST — Pan był wczoraj bardzo podniecony...

ADAM (*unoszą się*). — Co to jest podniecony?... Pan nie byłbyś podniecony, gdybyś pan dostał taki list? (*sięga do kieszeni*). Pan jesteś moim przyjacielem... ja panu przeczytam tylko jeden kawałek.

AUGUST (*zatrzymuje go żywo*). — Nie, proszę pana...

ADAM — Nie chce pan? (*wraca do dawnego opowiadania, chowa portfel*). Ten wczorajszy wieczór, to ja mam tu... (*dotyka palcem gardła*). Jak ja teraz wyglądam względem pana Leńskiego?

AUGUST (*pojednawczo*). — Jestem przekonany, że w całej tej sprawie tkwi nieporozumienie.

ADAM (*unoszą się*). — Ładne nieporozumienie! (*sięga po portfel*). Niech pan posłucha, tylko jeden kawałek.

AUGUST (*zatrzymuje go*). — Nie, nie, panie Adamie! Pan powinien to zatrzymać dla siebie.

ADAM (*chowa portfel*). — Ja sobie wcale nie winszuję takich prezentów... (*wraca do swoich myśli*). Niech pan sam powie, czy to jest ładnie? Ja jestem dla niego grzeczny, uprzejmy, przyjmuję go w domu... jak brata... Czy to w Warszawie już niema innych kobiet? Czy on koniecznie musi szukać w moim domu?... Ja nikomu w drogę nie wchodzę... Ale ja się nie zgadzam, żeby mnie kto w drogę wchodził... Rozumie pan?... *Ja się nie zgadzam!!...*

AUGUST — Przedewszystkiem powinien pan zachować spokój.

ADAM — Pan tak mówisz, bo to nie pańska żona. Ale pan jesteś porządny chłopiec... Pan byś tego nigdy nie zrobił swemu przyjacielowi... Ja bym też nigdy panu tego nie zrobił, gdybyś pan miał żonę... (*ściska go za rękę*). Prawda? Ja do pana odrazu miałem zaufanie!... (*pełen złowrogich przeczuć*). Ale ja panu mówię, panie Guciu! To się źle skończy... Ja we wszystkich interesach miałem zawsze jedną zasadę: wóz albo powóz... Co będzie, to będzie, ale tak być nie może. (*w przedpokoju dzwonek*). To ona... (*chwila milczenia*).

SŁUŻĄCY (*z prawej strony*). — Jaśnie pan dzwonił?

ADAM (*do Augusta, z oburzeniem*). — On się nigdy nie pomyli. Jak ja zadzwonię, to on zawsze poleci do frontu. (*z krzykiem*). Front dzwoni!... Słyszysz Bolesław? Front!...

(*Służący wychodzi do przedpokoju. Po chwili wchodzi Ewa*).

SCENA 3.

ADAM — EWA — AUGUST — SŁUŻĄCY

ADAM (*porywczo*). — Gdzieś chodziła?

EWA (*obojętna*). — Byłam u szwaczki. (*podaje rękę Augustowi, chłodno*). Dzień dobry!

ADAM (*j. w.*). — Ja się z tobą od rana nie mogę rozmówić... Proszę cię... teraz można?

EWA (*przerywa*). — Pozwól, że zdejmę kapelusz...

ADAM (*do Augusta*). — Jak ja chcę z nią mówić, to ona musi zdejmować kapelusz... Ewa! ja nie mogę dłużej czekać...

EWA (*z uśmiechem*). — Za pięć minut wrócę... (*idzie na prawo, w drzwiach*). Czy moje okrycie odesłali?

ADAM — Ja nie wiem... zaraz... (*dzwoni*). Ja wogóle nie zgadzam się na takie zamienianie okryć... Żeby panna Materac chodziła w okryciu mojej żony? (*słychać w przedpokoju otwieranie drzwi*). On się nigdy nie pomyli! Bolesław! (*służący w drzwiach*). Teraz to ja dzwoniłem!

SŁUŻĄCY — Myślałem, że od frontu.

ADAM (*unosi się*). — Bolesław jest jak ten indyk... Za dużo myślał i zdechł... Czy pani okrycie odesłali?

SŁUŻĄCY — Nic nie odesłali...

EWA (*w drzwiach z prawej strony*). — To jest nieprzyzwoite!

ADAM — To jest grubo nieprzyzwoite... (*do Augusta*). Skąd panna Materac może wiedzieć, co jest przyzwoite? (*w przedpokoju dzwonek, do słu-*

żącego). Teraz to napewno tam... Front dzwoni!
(gest).

EWA — Ja idę zdjąć kapelusz.

ADAM (*unosi się, woła za nią*). — Ewo! Ja żadnych gości nie będę przyjmować! Żadnych! (*do Augusta*). Ja nie mam humoru do gości!

(*W drzwiach od przedpokoju Prezes*).

SCENA 4.

ADAM — AUGUST — PREZES

ADAM (*do Augusta, zły*). — Masz pan! (*wita się z wymówką*). Pan Prezes wie, okrycia mojej żony dotąd niema!

PREZES (*zaaferowany, wita się z nim i Augustem*). — Jestem w najwyższym stopniu zaniepokojony. Od rana biegam, szukam... teraz nawet byłem w policji...

ADAM — Proszę pana, to jest gruba nieprzyzwoitość!

PREZES (*obrażony*). — Łaskawy panie! Tu nie chodzi o okrycie! Panny Materasówny niema! Zachodzi obawa jakiegoś okropnego wypadku...

ADAM (*sceptycznie*). — U pana Lafirdeckiego pan prezes był?

PREZES (*rzucił mu zjadliwe spojrzenie*). — Byłem, mieszkanie zamknięte... (*do Augusta*). W policji informowano mnie, że w ostatnich czasach coraz częściej giną młode panienki... Z najprzyzwoitszych domów!... Jestem tak zaalterowany...

ADAM — Potrzebny panu był ten Materac?

PREZES (*obrazony*). — Łaskawy panie! Materas! Materas! (*do Augusta*). Czyby pan nie pojechał jeszcze do tego... pana Lafirdeckiego... Ja jadę samochodem do jej rodziców... Może tam...

AUGUST (*obruszony*). — Ja?!

PREZES — Mógł stać się poprostu dramat... Zbrodnia! W tych czasach wszystko jest możliwe. Zepsucie sięga coraz głębiej...

ADAM (*do Prezesa, życzliwie*). — Pan może być spokojny. Materac zawsze się znajdzie...

PREZES (*daje się ponieść trosce, która go nurtuje*).
Życie staje się wprost nieznośne...

ADAM (*odczuł*). — To pan dobrze trafiłeś! Nieznośne!

PREZES — Dojdzie do tego, że najszcześliwszym będzie człowiek, który się wcale nie narodził

ADAM (*poważny*). — Ba, ale to się zdarza jednemu na tysiąc!

PREZES — Ja... ja, już wolę kłamstwo, niż ordynarną prawdę.

ADAM — Ja nie mogę! Ja muszę wiedzieć prawdę!

PREZES (*z westchnieniem*). — Pan jest odemnie młodszy o dwadzieścia lat... (*do Augusta, tonem prośby*). Pojedzie pan?

AUGUST (*zdecydował się*). — Dobrze.

ADAM — Panowie wróć!

PREZES — Niezwłocznie...

(*Adam przeprowadza Prezesa i Augusta do przedpokojku, w drzwiach z prawej strony Ewa już bez kapelusza i zwierzchniego okrycia*).

SCENA 5.

EWA — ADAM

EWA — Jestem.

ADAM — Prezes i pan August pojechali szukać Materaca.

EWA (*z rozmyślną ironją*). — A ty z nimi nie pojechałeś?

ADAM (*zdziwiony*). — Dlaczego ja?

EWA (*znudzona*). — Sądziłam, że się interesujesz żywiej panną Materasówną. No, więc dobrze. Czego chcesz?

ADAM (*unoszący się*). — Jakto, czego chcesz?... Ty nie wiesz, czego ja chcę?

EWA — Mój drogi, jeśli masz zamiar unosić się, to zaraz odejdę (*chce odejść*).

ADAM (*zastępuje jej drogę, usiłując zapanować nad swem podnieceniem*). — Ewa! Ja już jestem spokojny... całkiem spokojny... Usiądź. (*siadają*). Ja tylko mam jedno zapytanie!... (*wyjął list*). Kto pisał ten list?...

EWA — Jaki list?

ADAM — Proszę ci, dość tej ciuciubabki. Kto pisał ten list?

EWA (*naiwna*). — A do kogo jest pisany ten list?

ADAM (*wznosi ręce do góry, jakby wzywając opatrności na świadka swoich zmartwień*). — Do kogo jest pisany ten list?... Gdyby on był pisany do królowej portugalskiej, to coby mnie to obchodziło?... Ale na kopercie stoi wyraźnie, jak byk: Jaśnie Wielmożna Pani Ewa Hamelbein. Ten,

co to pisał, nawet się nie zająknął. (*czyta kopertę*). Jaśnie Wielmożna Pani Ewa Hamelbein.

EWA — Ja nie mogę dopuścić, żebyś ty otwierał listy, adresowane do mnie.

ADAM — A ja nie mogę dopuścić, żeby do ciebie pisano takie listy!

(*W drzwiach od przedpokoju Leński*).

SCENA 6.

CIŻ — LEŃSKI

(*Zajęci rozmową Adam i Ewa ani nie słyszeli dzwonka w przedpokoju, ani nie zauważyli wejścia Leńskiego*).

LEŃSKI — Przepraszam... Można?

EWA (*spokojna*). — Prosimy.

ADAM (*podniecony*). — Bardzo dobrze! Niech się odrazu wyklaruje!

LEŃSKI (*całuje Ewę w rękę*). — Co się ma klarować? (*objął ich wzrokiem*). Zdaje się, że przerywam małżeńską wymianę zdań. Tego zawsze najwięcej zazdrozczę ludziom żonatym! Czy może być większa ulga? Człowiek wyładuje swoją elektryczność i jest mu przyjemnie, jak po burzy... (*do Adama*). Dzień dobry... (*bierze go za rękę, którą tamten niezbyt skwapliwie wyciąga — potrzęsa nią serdecznie*). Co słyhać, panie Hamelbein?

ADAM (*stropiony*). — Co słyhać? (*zastanowił się*). Tyle, co wogóle...

LEŃSKI — Materac się znalazł?

ADAM (*zbity z tropu*). — Materac? Nie, nie znalazł się... Prezes szuka za nim. (*nagle zdecydowany*). Proszę pana, tu nie chodzi o żadnego Materaca. (*pokazuje list*). Pan wie, co to jest?

LEŃSKI (*swobodny*). — Nie.

ADAM — Niech pan spojrzysz na kopertę.

LEŃSKI (*czyta*). — Jaśnie Wielmożna Pani Ewa Hamelbein.

ADAM (*śledzi pilnie wyraz jego twarzy*). — I co?

LEŃSKI — Więcej nic niema. (*oddaje mu kopertę*).

ADAM — W tej kopercie jest list.

LEŃSKI — Domyślam się.

ADAM — Pan nie wie, kto pisał ten list?

LEŃSKI (*śmieje się*). — Nie!

ADAM — Dlaczego pan się śmieje?

LEŃSKI — Bo skądże ja, dobry panie, mogę wiedzieć, kto pisuje listy do pani Ewy? Ja cudzych listów nie czytuję.

ADAM — No, to ja panu powiem... (*patrzy na niego groźnie*). Jeśli ja nie wiem, kto pisał ten list, to jestem gips.

EWA — Jesteś gips.

ADAM — Nie jestem.

EWA — Jesteś.

ADAM — Ten list pisał pan!

LEŃSKI (*śmieje się swobodnie*). — Ja! Drogi panie! Ja?

ADAM (*uparty*). — Pan!

LEŃSKI (*j. w.*). — Czy ja wyglądam na człowieka, który pisuje listy? Ja nawet, gdy wyjeżdżam,

blagam wszystkich przyjaciół i przyjaciółki: tylko nie pisujcie do mnie!... Nic! Wie pan, żeby mnie o coś podobnego podejrzewać!... Pokażno pan... (*bierze mu z rąk kopertę*). Niech się pan nie boi, ja nie będę czytał... (*wyjmuje list i spogląda*). Panie, wszystkie listy, jakie w życiu napisałem, nie były razem tak długie...

ADAM (*zachwiany*). — Jeśli nie pan pisał, to kto?
LEŃSKI (*rozkłada ramiona*). — A, dobry panie, tego nie wiem!

ADAM (*do Ewy*). — Ewa! Ty wiesz!

EWA — Może...

ADAM (*groźnie*). — Co to jest może? Kto pisał ten list?

EWA — Ja w tym tonie nie będę z tobą rozmawiać.

ADAM (*do Leńskiego*). — Ona nie będzie ze mną rozmawiać w tym tonie!...

EWA — Ty śmiesz posądzać mnie z powodu jakiegoś głupiego listu?

ADAM — Czy ja mówię, że ten list jest mądry?... On jest bardzo głupi. Ale ja się nie zgadzam, żeby do ciebie pisywano takie głupie listy.

SCENA 7.

CIŻ — AUGUST

(*Wchodzi August*).

EWA (*nie widzi go, coraz silniej podrażniona*).
— Możemy się jeszcze dziś rozejść... Chcesz tego... dobrze... Zabieram dzieci i wyjeżdżam.

ADAM — Ja tego chcę! Słyszałeś pan?

EWA — Przejmujesz moje listy, robisz awantury... Nie, gdybym się usprawiedliwiała, byłoby to poniżenie. Twoje postępowanie jest niegodziwe! Niegodziwe!

ADAM (*do Leńskiego*). — Ona się teraz gniewa! Ja nic więcej nie chcę, tylko powiedz, kto pisał ten list?

AUGUST (*przy drzwiach, które zamknął starannie*). — Przepraszam...

EWA (*spozrzęła Augusta*). — Chcesz wiedzieć, kto pisał ten list?

ADAM — Chcę.

EWA — Ten list pisał do mnie pan Borski.

(*Konsternacja. Leński lekko zaniepokojony. August zupełnie wytrącony z równowagi, stoi z wybaluszonymi oczyma*).

ADAM (*objął długim spojrzeniem Augusta, potem żonę*). — To nieprawda!

EWA — Właśnie, że prawda... (*do Augusta*). Niech pan powie...

(*August milczy*).

ADAM — Onby takiego listu nie napisał. Po pierwsze onby wogóle nie napisał, po drugie, onby nie potrafił tak skomponować.

AUGUST (*urazony*). — Przepraszam pana...

ADAM (*przerywa z autorytetem*). — Panbyś takiego listu nie skomponował. Ja pana znam. Żeby tu nie chodziło o nią, jabym musiał sam przyznać, że ten list, choć głupi, jest bardzo ładnie napi-

sany. Bardzo stylowo. Panbyś takiego kawałka nie skomponował.

EWA (*drwiąco do Augusta*). — Może on ma słuszość.

AUGUST (*ogłupiały*). — U pana Lafirdeckiego drzwi były w dalszym ciągu zamknięte. Lecz tutaj, na schodach, spotkałem pannę Materasównę. Ona pragnie osobiście przeprosić panią.

EWA (*niecierpliwie*). — Ja tego wcale nie wymagam. Dość, że zabierze swoje okrycie, a zostawi moje...

LEŃSKI — Obrazi się i gotowa oddać rolę.

EWA (*zastanowiła się*). — Prawda... tylko, że tak nie w porę...

ADAM (*unoszą się*). — Rzeczywiście, że nie w porę. Czy ja z tobą wogóle skończę tę rozmowę?

EWA (*ironicznie*). — Tobie przecie zawdzięczamy jej (*gest w stronę przedpokoju*) znajomość...

ADAM (*j. w.*). — Mnie?

AUGUST (*przerywa*). — Można ją prosić?

EWA — Proszę.

ADAM (*ręce w kieszeniach*). — Ja nie mam humoru do romansowania z panną Materacem.

LEŃSKI — Lepiej będzie, jeśli pani sama... my z Guciem poczekamy tu... (*wskazuje na drzwi na prawo*).

ADAM (*spojrzał na niego groźnie, prawie wyzywająco*). — To ja poczekam tam... (*wskazał drzwi na lewo*).

EWA (*niecierpliwie*). — Idźże przywitać... swoją przyjaciółkę...

(*August i Adam idą do drzwi włąb, Leński na prawo*).

SCENA 8.

LEŃSKI — EWA

(*Gdy Adam i August znikają w przedpokoju, Leński zatrzymuje się w drzwiach*).

LEŃSKI — Pani jest najrozkoszniejszą z kobiet, jakie spotkałem w życiu.

EWA (*zalotnie*). — Ilu kobietom pan to powiedział?

LEŃSKI — Nie wiem. O wszystkim co było, zapomniałem... Pamiętam tylko...

EWA (*zbliżyła się, zamyka mu usta, półgłosem*). — Cicho! O włos, że się nie spóźniłam... A tyś mnie chciał jeszcze zatrzymywać...

LEŃSKI (*półgłosem*). — Nie mogłem odżałować, zemdlałem cię wypuścił tak prędko.

EWA (*czule*). — Lubi?

LEŃSKI (*tak samo*). — Znacznie więcej! Kopy listu masz?

EWA (*wskazuje na woreczek*). — Tutaj.

(*Leński znika za drzwiami na prawo. W drzwiach od przedpokoju Antonina*).

SCENA 9.

EWA — ANTONINA

(*Antonina zatrzymała się przy drzwiach, jest już w swoim okryciu*).

EWA (*zrobiła do niej parę kroków, chłodno*). — Pani chciała się ze mną widzieć?

ANTONINA (*cokolwiek onieśmielona*). — Pragnęłam panią przeprosić... Nasze okrycia są tak podobne... Pani ubiera się także u Hersego?

EWA (*niedbale*). — Tak. (*gestem zaprasza ją, aby siadła*). Może pani usiądzie?

ANTONINA — Na chwilkę tylko, bo się bardzo śpieszę. (*wskazuje okrycie*). Już zamieniłam... Teraz widzę, że są pewne różnice. Ale w pośpiechu...

EWA (*z lekką ironją*). — Pani zawsze się tak śpieszy?

ANTONINA (*spojrzała na nią podejrzliwie*). — Nie zawsze.

EWA (*j. w.*). — Bo wczoraj mieliśmy wrażenie, że się pani bardzo śpieszyło...

ANTONINA (*niemile dotknięta*). — E! Wczoraj, to zupełnie co innego. Skończyłam swoje numery i — szlus Matilde!

EWA (*zdziwiona*). — Co takiego?

ANTONINA — Szlus Matilde! — Zwiąłam...

EWA (*j. w.*). — Prezes był o panią bardzo niespokojny.

ANTONINA (*lekko*). — Niepotrzebnie... Wychodził właśnie pan Lafirdecki i odprowadził mnie do taksówki.

EWA — Tak?...

ANTONINA (*dotknięta jej tonem*). — Więc co?...

EWA (*j. w.*). — Nic.

ANTONINA — Ja tam niewiele sobie robie, co kto o mnie powie. (*Ewa robi gest rękami, jakby chciała zaznaczyć, że ją to nic nie obchodzi. Antonina powiodła wzrokiem po bogatym salonie*). Panie

to umieję sobie dobrze wybrać rodziców...
(z uśmiechem). Ja całe dzieciństwo spędziłam
w kuchni... przy mamie... To był mój aparta-
ment...

EWA (wstaje). — Nie wiem, dlaczego mi to pani
mówi.

ANTONINA (bez gniewu). — Bo ja rozumiem, co
pani sobie pomyślała... Nie wszystkim, proszę
pani, życie się tak układa. (cieplej, wzrok w stro-
nę drzwi głębiej). W przedpokoju widziałam
chłopczyków pani... Tacy śliczni!

EWA (zła). — Im nie wolno tam chodzić! (ruch, jak-
gdyby chciała tam pójść).

ANTONINA (zatrzymuje ją gestem). — Niech się
pani nie gniewa. Starszy przywitał się ze mną
bardzo grzecznie... i zapytał: to pani zabrała
okrycie mamy? Już wiedział... (powiodła wzro-
kiem po bogatym salonie). Żebym ja miała taki
majątek... Swoje własne dzieci... i prawdziwego
męża... Boże... Jaka ja bym była uczciwa! (spo-
strzega się, zawstydzona). Przepraszam... (chwi-
la milczenia).

EWA (wewnętrznie niezadowolona). — Nie pozosta-
je mi nic innego, jak podziękować pani.

ANTONINA — Już idę. (kłania się). Moje uszano-
wanie pani.

SCENA 10.

CIŻ — PREZES

PREZES (wpada zaafierowany). — Powiedziano mi,
że pani jest tutaj. (wita Ewę). Ja wszędzie szu-

— kam... po całym mieście... Co się z panią stało?
ANTONINA (*wyniosła*). — Pan nie mógł się domyślić... że musiało zajść coś ważnego? Wróciłam do domu.

PREZES (*obrażony*). — Kiedy właśnie w domu powiedziano mi...

ANTONINA (*zwraca się do niego wyzywająco*). — Proszę pana. Ten dom, to jest ordynarna bu-
da... Już tylko czekam kiedy przyjdzie do mnie (*z lekkim naciskiem*) — jeden znajomy, który skłonił mnie do wynajęcia mieszkania w tym domu! (*do Ewy*). Wracam, chora, cierpiąca, i przez pół godziny dzwonię do bramy... Dzwonek elektryczny zepsuł się i stróż nie słyszał... Aż w końcu musiałam jechać do przyjaciółki.

PREZES (*przerażony*). — Pani była chora?

ANTONINA (*do Ewy*). — Pan namówił mnie na zimnego szampana!

PREZES (*j. w.*). — Ja? Ależ przeciwnie... ja przestrzegałem!

ANTONINA (*j. w.*). — Akurat! Pan mnie zmuszał, żebym piła...

PREZES (*do Ewy*). — Zapewniam panią... (*do Antoniny*). Pani nie pamięta! Ja bym nigdy nie namawiał... (*z widoczną ulgą*). Ależ w ten sposób wszystko się wyjaśnia!

ANTONINA (*agresywna*). — Co się wyjaśnia?

PREZES — Nic... nic... Jakże jestem rad, że pani... (*chce ją wziąć za rękę*).

ANTONINA (*cofa rękę obrażona*). — Tak dobrze nie-

ma! Zmuszać mnie do picia zamrożonego szampana, a potem...

PREZES (*przerywa zrozpaczony*). — Pani się myli, to jest wyraźne nieporozumienie!

ANTONINA — Więc to może moja wina?

PREZES — Ja przecież tego nie mówię.

ANTONINA (*do Ewy ceremonjalnie*). — Żegnam panią!

PREZES (*do Antoniny*). — Pani pozwoli się odwieźć... Mam właśnie samochód...

ANTONINA — Jeśli pan chce koniecznie...

(*Prezes żegna się pośpiesznie z Ewą i wychodzi z Antoniną. Ewa przez chwilę sama na scenie, zamyślona, trochę zdenerwowana, trochę zła*).

SCENA 11.

EWA — ADAM

(*Z lewej strony wchodzi Adam*).

ADAM (*w drzwiach*). — Poszła?

EWA — Już!

ADAM (*zamyka za sobą drzwi*). — To nie jest dom prywatny! Tu się robi giełda... Ewa! Czy ja się mogę wreszcie z tobą rozmówić?

EWA (*zła*). — Służę ci!

ADAM — Ja już nie chcę rozwlekać. Ewa! Ja całym spokojnie proszę cię. Kto do ciebie pisał ten list? (*Ewa milczy*). Ty ciągle nie chcesz powiedzieć? (*Ewa milczy*). Ty musisz powiedzieć!

EWA (*j. w.*). — Nudzisz mnie!

ADAM (*groźnie*). — Ewa! Ty masz kochanka!

EWA (*zębami zaciśnięte*). — Mam!

ADAM — Ty masz kochanka?

EWA — Mam! I to nie jednego! Chcesz wiedzieć ilu?... Kogo?

ADAM (*j. w.*). — Ewa!

EWA — Zaraz ci wyliczę wszystkich... Pierwszym był książę Leon. Potem młody Krabe — to już dwóch. Potem... (*gest w stronę drzwi*). Borski. A teraz Leński. Od dziś Leński...

ADAM (*słucha i powoli twarz mu się rozjaśnia*). — Ja wiem, że ty mówisz tak, żeby mi zrobić na złość.

EWA — Wszyscy byli moimi kochankami! Wszyscy!

ADAM (*bierze jej rękę*). — Jak ty to mówisz, to ja wiem, że to jest nieprawda... (*czule*). Dlaczego ty nie chesz powiedzieć, od kogo ten list?

EWA (*patrzy na niego, z wolna uspakaja się. Lekki uśmiech przemknął po jej ustach*). — O co tobie chodzi w tym liście?

ADAM (*znów się lekko unosi*). — Jakto, o co mnie chodzi?... Ty nie wiesz, co tam jest napisane. (*Ewa uśmiecha się, on spostrzega*). Tyś nie czytała, to nie wiesz. (*wyjmuje list i czyta*). „Tęsknię za twojemi ustami, które są jak czerwone truskawki w słońcu rozgrzane... Gdy obejmujesz mnie..

EWA (*wyjęła z torebki kopję listu i czyta*). — ...białym ramieniem, przyciskasz do alabastrowego łona... i patrzysz pociemniałemi z rozkoszy oczyma w moje źrenice...”

ADAM (*osłupiał*). — Co to jest? Skąd ty to masz?
EWA (*podaje mu z uśmiechem swoją kopję*). — Może porównasz oba egzemplarze...

(*Adam bierze papier z jej rąk, rzucił okiem, wzruszony*).

ADAM — Ewa!

EWA (*czulej*). — Głupi!

ADAM (*już cokolwiek tryumfujący*). — Ten list?

EWA — Jeszcze nie rozumiesz?

ADAM (*domyślny*). — Ty sama?

EWA — Czy ci się nie należała lekcja za te ciągłe sceny zazdrości?

ADAM (*z podziwem*). — Tyś sama skomponowała, napisała, zaadresowała?... (*bez urazy już, z utajoną radością*). Dlaczego tyś to zrobiła?

EWA — Ty dobrze wiesz!

ADAM (*szczerzy*). — Nic nie wiem!

EWA — Czy nie robisz mi ciągle scen zazdrości? Bez żadnego powodu? (*z uśmiechem*). Chciałam ci ułatwić zadanie...

ADAM (*czuły, ale cokolwiek zaniepokojony*). — Co to jest ułatwić zadanie?

EWA — Stworzyłam powód.

ADAM (*j. w.*). — Ewa! Ja cię proszę! Nie potrzebujesz nic tworzyć, zostaw to innym... (*nagle zrozumiał, twarz rozjaśnia mu się radosnym uśmiechem*). Tyś chciała mnie nastraszyć! Przyznaj się!

EWA (*wymówką*). — A ty sam, czy ty masz sumienie czyste?

ADAM (*zdziwiony*). — Ja?

EWA — Ty!

ADAM (*j. w.*). — Co to ma znaczyć? Czego ty chesz teraz odemnie?

EWA (*przekorna*). — A panna Materac?

ADAM (*j. w.*). — Co, panna Materac?

EWA — Może powiesz, że nie jest twoją kochanką?

ADAM — Materac? (*zgadł*). Ewa! Ty byłaś zazdrosna o Materaca? (*twarz mu się rozpromienia*).

EWA (*udaje obrażoną*). — Któż chciał, żeby ją zaprosić? Może nie pamiętasz?

ADAM (*śmieje się radośnie*). — Ja przecież zrobiłem to dla prezesa!

EWA (*udaje niedowierzanie*). — Dla prezesa!

ADAM — Prosił mnie, nastawał...

EWA — Tobie wszystko wolno, a mnie nic?

ADAM (*przygarnia ją do siebie, ściska*). — Ewa! Ty byłaś o mnie zazdrosna? (*przypomniał sobie, zaniepokojony*). — Ja się teraz boję, czy ja nie obraziłem pana Leńskiego?!

EWA — Wcalebym się nie dziwiła, gdyby się czuł urażonym.

ADAM — Wiesz? On mi się podoba! On umiał się zachować, jak dżentelmen. Proszę cię, Ewa, ty zatrzymaj ich obu na obiad.

EWA (*lekko się skrzywiła*). — Chcesz i Borskiego?

ADAM (*zdziwiony*). — Dlaczego nie?

EWA — Ja ci powiem... (*jakby lekko zmieszana*). On trochę za często bywa u nas... Mogą powstać plotki.

ADAM (*zastanowiły go te słowa*). — Sądziś? (*mierzy ją przenikliwym wzrokiem*). Czy on może?...
EWA (*j. w.*). — Rozumiesz, że nie pozwoliłabym na najmniejszą śmiałość.

ADAM (*podrażniony*). — Onby sobie pozwolił? Taki Cynamon? Co to jest? Ja sobie bardzo wypraszam!

EWA — Lepiej się stanie, jeżeli go będą mniej u nas spotykać.

ADAM (*całuje ją w rękę*). — Ja ci jestem bardzo wdzięczny, żeś mi tak... delikatnie zwróciła uwagę! Nie, ja cię proszę... ty Cynamona nie zatrzymuj na obiad. Po tem, coś mi powiedziała, ja do tego chłopca straciłem serce.

SCENA 12.

CIŻ — LEŃSKI — AUGUST

LEŃSKI (*w drzwiach z prawej strony, za nim August*). — Gucio uległ atakowi złowróźbnych przewidywań i taką mi wierci dziurę w brzuchu, że już niepodobna dłużej wytrzymać!

ADAM (*zbliża się do niego radosny i szczery*). — Panie! Wszystko się jaknajlepiej wyklarowało i ja tylko proszę, żeby się pan na mnie nie gniewał.

LEŃSKI — Ja na pana? (*ściska serdecznie obie ręce*). — O cóż miałbym się gniewać?

ADAM (*chciałby go ucałować*). — Można?

LEŃSKI (*śmieje się*). — Z przyjemnością! (*całują się z dubeltówki*).

ADAM (*zachowuje się wobec Augusta, jakby go wcale nie widział*). — Pozostaniesz pan u nas na obiedzie... Mały rodzinny obiadek... Będzie zupa pomidorowa, wątróbka w pasztecie, gęś z jabłkiem... (*pod adresem Augusta*) i legumina... z cynamonem... z cynamonem! (*do Leńskiego*). Ale bez Cynamona! Nawet go nie proszę! Będzie pani Chomicka! (*wchodzi Krystyna drzwiami w głębi*). O, już jest... Nasza wołyńska strusia!

(*Biegnie w lansadach witać się z nią. August struty i niespokojny chce się zapytać o coś Ewy, ona jednak nie daje mu przyjść do słowa, jakby nie widziała jego gestu, wita się z Krystyną*).

SCENA 13.

CIŻ — KRYSTYNA

KRYSTYNA (*prowadzi na przód sceny Ewę*). — Byłam bardzo niespokojna... Pogodziliście się?

ADAM (*dosłyszał, tryumfujący*). — Ja już dziś nie mam żadne zmartwienie...

EWA (*uśmiecha się*). — Wszystko dobrze... Tylko wiesz, jednego nie mogę zrozumieć (*wskazała wzrokiem osowiałego Augusta, który stanął opodal śmiejących się i wesoło rozmawiających Leńskiego i Adama*). Jeszcze przed paroma dniami bardzo mi się podobał. A dziś... (*z przekonaniem*). ...Jak się mężczyźni zmieniają...

Zasłona spada.

K O N I E C.

EDUKACJA BRONKI

KOMEDJA W TRZECH AKTACH

EDUKACJA BRONKI
KOMEDIA W TRZECH AKTACH

TEATR ROZMAITOŚCI

(9). 22. Grudnia 1906 r.

EDUKACJA BRONKI

Komedja w 3 aktach

STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

reż *Józef Śliwicki*

O S O B Y :

Aleksander Zahorski	<i>Józef Śliwicki</i>
Stanisław Radomski	<i>Edward Wołski</i>
Bronka Serwatowska	<i>Marja Fedorowicz</i>
Franciszek Rymwid	<i>Władysław Paliński</i>
Nina	<i>Felicja Pichor</i>
Dominik Boresza	<i>Mieczysław Frenkiel</i>
Hrabia Horyński	<i>Marjan Prażmowski</i>
Ciocia Sapernicka	<i>Magdalena Micińska</i>
Schwan, lichwiarz	<i>Ludwik Wilczyński</i>
Inkasent	<i>Seweryn Jasielski</i>
Pokojówka	<i>Helena Uszyńska</i>
Garson I-szy	<i>Michał Uszyński</i>
Garson II-gi	<i>Józef Walknowski</i>

Akt. I i III w mieszkaniu Bronki—II w gabinecie restauracyjnym

TEATR ROZMAITOŚCI

czwartek 2 września 1915

EDUKACJA BRONKI

Komedja w 3 aktach

STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

reż. *Józef Śliwicki*

O S O B Y :

Aleksander Zahorski	<i>Józef Śliwicki</i>
Stanisław Radomyski	<i>Paweł Owerłło</i>
Bronka Serwatowska	<i>Janina Szylinzanka</i>
Franciszek Rymwid	<i>Władysław Paliński</i>
Nina	<i>Felicja Pichor</i>
Dominik Boresza	<i>Mieczysław Frenkiel</i>
Hrabia Horyński	<i>Jan Karpowicz</i>
Ciocia Sapernicka	<i>Magdalena Micińska</i>
Schwan, lichwiarz	<i>Antoni Bednarczyk</i>
Inkasent	<i>Henryk Kawalski</i>
Pianista	<i>Władysław Krogulski</i>
Pokojówka	<i>Helena Uszyńska</i>
Garson I	<i>Michał Uszyński</i>
Garson II	<i>Jan Kamocki</i>

Akt I i III w mieszkaniu Bronki — II w gabinecie restauracyjnym

A K T I.

Scena przedstawia salonik, umeblowany wykwintnie i bez stylu. Z lewej strony dwoje drzwi, prowadzących do innych pokojów. W środkowej ścianie drzwi do przedpokoju. Z prawej strony okna. Pianino.

SCENA 1.

BORESZA — BRONKA — SAPERNICKA

(Boresza, mąż dojrzały, szpakowaty, wielkopański w ruchach. Siedzi w kamizelce, bez wierzchniego ubrania, przy pianinie. Sapernicka, z podwiązaną twarzą, w kącie naprawia jego zakieł. Nim kurtyna się podniesie, słychać dźwięki cake-walk'a. Zaślona idzie w górę. Bronka wykonywa ostatnie ruchy taneczne, poczem rzuca się w fotel i wachluje chusteczką).

BRONKA — Uf! już nie mogę! Muszę odpocząć.

BORESZA — Szkoda, bo zaczyna iść lepiej... Tylko jeszcze więcej ognia, — temperamentu...

BRONKA — Wolałam moje dziesięć godzin w magazynie, a potem pół mili do domu! Nogi nie bolały mnie tak, jak po tym piekielnym tańcu...

BORESZA *(wstaje i podchodzi do Bronki)* — Otóż to właśnie! Tego czekałem! W kaloszach, po błocie, ale w niewinności! W okienku pelargonje

i fuksje, klatka z kanarkiem. A nogą trochę poruszyć... (*robi gest kankanowy*) Sodoma i Gomora! To jest nasze, czysto nasze! Żadnych wyższych ambicji! Do sztuki żadnego zamiłowania! A jeśli już ma być sztuka, to musi być poważna, uspołeczniona, nudna!

SAPERNICKA (*ze swego miejsca*) — Pan Dominik zawsze swoje! Ja tej dziury pod pachą nie mogę zaszyć... Rozłazi się, jak pajęczyna. Mógłby pan Dominik kupić sobie nowy surdut...

BORESZA (*wstał, skrzyżował ręce na piersiach*) — Pani Sapernicka sama wpadła na taką genialną myśl? Nadzwyczajne! Mógłby sobie kupić! Oczywiście. Chodzi tylko o drobną rzecz... (*gest*) Gotówka!

SAPERNICKA (*szyje*) — W lakierkach to pan Dominik zawsze chodzi...

BORESZA (*pokazuje but*) — Niech pani zobaczy, co zostało z podeszwy. Ale to głupstwo! W podeszwach może być dziura na dziurze, byle się z wierzchu lakier świecił, jak lustro... Byle kołnierzyk był nieskazitelnie czysty, krawat świeży, mina zadowolona... To grunt. Pokaż mi krawat, powiem ci, kim jesteś. Tak samo kobieta...

BRONKA (*śmieje się*) — Ma pokazywać krawat!

BORESZA — Nie. Ale musi mieć ładne dessous. Żeby, jak idzie (*gest*), słychać było chwaszczenie jedwabiów...

BRONKA (*j. w.*) — Chwaszczenie jedwabiów! Cóż to znowu?

BORESZA — To wynalazł Horyński.

BRONKA (*krzywi się, wstaje*) — Nudny, jak lukrecja.

BORESZA — Ale bogaty! Fiu! Z takim człowiekiem kobieta może być szczęśliwa.

BRONKA (*weselej*) — Pięknie dziękuję. Już ja wolę Olesia. Która godzina? (*przechodzi na prawo do okna*).

BORESZA (*szuka zegarka, przypomina sobie, że go zastawił, do Sapernickiej*) — Która godzina?

SAPERNICKA — Cóż to? Pan Dominik nie ma zegarka?

BORESZA — Na nauce.

BRONKA (*wesoło*) — Tak, jak mój... razem z pierścionkami i broszkami.

BORESZA — Okropne czasy! Nie pamiętam już, żeby kiedykolwiek karta tak długo Olesiovi nie szła.

BRONKA (*niespokojnie*) — Boję się, czy wczoraj nie przegrał znowu!

SAPERNICKA (*popatrzyła na swój zegarek*) — Pięć minut po trzeciej.

BRONKA — Powiedział, że przyjdzie zaraz po śniadaniu...

BORESZA — O jedenastej spał, jak zabity. Służący mówił mi, że wrócił bardzo późno. (*po chwili*) Schwan chodzi koło Olesia bardzo zwarzony...

SAPERNICKA — Że też pan Aleksander nie może się obejść bez tego lichwiarza!..

BORESZA — Schwan ma serce, pani Sapernicka! Jest lichwiarzem, lecz ma serce. Pożycza na

wysoki procent, tak! Ale pożyczka ludziom, którym na niski procent nikt grosza nie da.

SAPERNICKA (*składa ze zniechęceniem surdut*) — Nie, ja tego surduta więcej naprawiać nie będę. Na szwach całkiem zrudział.

BORESZA (*idzie do Sapernickiej*) — Zaraz posmaruję atramentem. Bronka! Powtórzymy? Tylko więcej życia... radości... swywolności!.. (*nuci, wykonując ruchy taneczne*) Hola, Hola, Hola-lali...

BRONKA (*z odcieniem znużenia*) — Żeby pan wiedział, jak mnie to nudzi! Cały ten teatr! Wszystko!

BORESZA (*zrażony, do Sapernickiej*) — Ma pani! Z niej nic nie będzie. Słowo daję. Nic! Zawsze powtarzam: — U nas wszystko jest, tylko nie ma ochoty do pracy. Kultury! Baranina jest doskonała. Porządnych kotletów z rusztu nikt nigdzie w Polsce nie dostanie. Tak samo z kobietami. Ładnych jest dużo...

SAPERNICKA (*zajęta robotą*) — Grzech pomyśleć, panie Dominik, do czego pan nie przyrównywa kobiet!

BORESZA — Ładnych jest dużo. Cóż z tego, pytam się, proszę, skoro z nich nic zrobić nie można?

BRONKA — Po co wyście mnie kazali wstępować do teatru, kiedy ja nie mam ani głosu, ani talentu!..

BORESZA — Żeby ci dać stanowisko. Jesteś artystką. Możesz na drzwiach przybić blachę: Bro-

niśława Serwatowska, artystka teatrów. To ci daje pozycję. Piszą o tobie w gazetach.

BRONKA — Ładnie piszą! Pamięta pan?..

BORESZA — Piszą, to grunt! Wierzaj mi, teatr nadaje kobiecie ton.

SAPERNICKA — Ja powiem Bronce, że gdyby nie była w teatrze, to ja nie mogłabym z nią mieszkać. Ja też zawsze się szanowałam.

BORESZA (*otwiera ramiona z udanem rozczuleniem*) Kochana Sapernicka! Zawsze się szanowała! (*posyła jej ręką pocałunek*). Najśłodsza makołagwo!

SAPERNICKA (*obrażona*) — Niech pan nie udaje pana Aleksandra. Co wolno księciu..

BORESZA (*z godnością*) — Proszę się nie zapominać, pani Sapernicka. Pani zna się na żartach, jak sroka na filozofji.

BRONKA (*znudzona*) — Już się zaczynacie kłócić! Jesteście nudni. Nudni! (*wstała*). Niespokojna jestem o Olesia. Co jabym za to dała, żeby on przestał grać..

BORESZA (*usiadł przy pianinie*) — Nie masz słuszności! Kobietom najlepiej jest z takimi, co grają. Gdy przyjdzie dobra passa, pieniądz nie ma dla nich wartości..

SAPERNICKA — A skoro karta się odwróci, zastawia się dla nich biżuterje. Jak teraz Bronka..

BRONKA (*porywczo*) — To już moja rzecz i nikomu nic do tego!

BORESZA — Bronka ma serce, pani Sapernicka. Tego nikt, a tembardziej pani, nie może brać jej za

złe. A Oleś jest dobry chłopak. Teraz ma kłopoty, ale to się odmieni... *(słysząc dzwonek w przedpokoju)*. Może to on!

BRONKA — Oleś ma klucz.

SAPERNICKA *(podchodzi do Boreszy i podaje mu zakiet)* — Niech pan wdzieje swój antyk.

BORESZA *(bierze surdut, posyła końcami palców pocałunek)* — Dziękuję! Najśłodsza makolągwo! *(ubiera się)*. Trzeba zobaczyć, kto przyszedł.

(wychodzi do przedpokoju, słysząc odgłosy wesołych powitań).

SCENA 2.

CIŻ — HRABIA — RADOMYSKI — RYMWID
(Wchodzą z laskami i kapeluszami w rękach).

RADOMYSKI *(kładzie kapelusz na pianino)* — Pokój temu domowi!

RYMWID *(kładzie swój kapelusz na stoliku przy drzwiach, laskę zatrzymuje w ręku)* *(do Bronki)* — Dzień dobry pani! Cioci Sapernickiej głęboki szacunek!

HRABIA *(wita się z Bronką)* — Jak pani ślicznie wygląda! Róża! Albo lepiej jeszcze: brzoskwinia. Piękna, słodka, soczysta...

BRONKA *(wesoło)* — Twarda i kwaśna!

RADOMYSKI — Hrabia mówi rzetelną prawdę. Bronka! Jesteś zachwycająca! *(roztwiera ramiona)*. Rzuć się w moje objęcia.

BRONKA (*cofa się z uśmiechem*) — Niech pan trochę poczeka! I skąd to tykanie? (*wita się z Rymwidem*).

RADOMYSKI — Potem się pani nie dociśnie. (*całuje ją w rękę*). Dzień dobry.

HRABIA (*do Sapernickiej*) — Ciocia w dobrym zdrowiu?

SAPERNICKA (*uradowana*) — Zęby ciągle bołą, proszę pana hrabiego. Napróżno odmawiam rano i wieczór po trzy nowenny do Ś-tej Apolonji.

HRABIA — Widocznie za mało... Trzeba podwoić porcję.

RADOMYSKI (*zbliża się do Sapernickiej*) — Witam najgodniejszą ozdobę płci pięknej! Buziuchna trochę wykoszlawiona?

SAPERNICKA (*ma do niego widoczną słabość*) — Pan, to nawet cudze nieszczęście wyśmiej...

RYMWID — Dla niego niema nic świętego. (*do Boreszy*). Boresza! Zawsze dzielny? (*uderza go lekko laską pod kolano*). Nogi, jak stal!

(*Boresza podskoczył nerwowo*).

BORESZA — Daj pokój! Zawiasy zdezolowane!

RADOMYSKI — Wpadliśmy dowiedzieć się, co sły-chać. Pamiętajcie, że dziś jemy razem obiad?

BRONKA (*do Rymwida*) — Panna Nuna będzie?

RYMWID — Naturalnie. Już teraz pewno mozoli się w zabiegach kalotechnicznych...

BRONKA (*zaprasza, by usiedli*) — Proszę panów...

(Hrabia siada przy Bronce. Boresza rozmawia z Rymwidem i Radomyckim. Sapernicka pozostała na uboczu).

HRABIA *(do Bronki)* — Pan Zahorski mówił mi, że dostała pani nową rolę. Prawda, i ten mówił mi jeszcze... Meergold...

BRONKA *(zdziwiona)* — Pan Meergold?

HRABIA — Pani wie, on się kocha w pani! Jak kot!

BORESZA *(dobrodusznie)* — Wszyscy! Ja nie wiem już sam, skąd się to bierze... I ona nie wie! Wszyscy!

RADOMYSKI — Gdzie spojrzy, to ofiara!

HRABIA — Niech pani na mnie tak nie patrzy! Mnie spokój miły.

BRONKA — Czy hrabia widział dzisiaj Olesia?

HRABIA *(do Sapernickiej, z odcieniem skargi)* — Widzi pani! To tak zawsze! Powiem parę cieplejszych słów, i zaraz wyjeżdża pan Zahorski!

SAPERNICKA *(pojednawczo)* — Proszę pana hrabiego, Bronka tylko tak, przez żarty.

BRONKA *(porywczo)* — Co takiego? Może ciocia będzie łaskawa nie odzywać się, gdy o to nikt nie prosi...

SAPERNICKA *(bardzo dotknięta)* — Mogę sobie nawet pójść. Proszę! Nie zwykłam się narzucać! Proszę... *(wychodzi z obrażoną godnością).*

RADOMYSKI *(śmieje się)* — Sapernisiu! Najśłodsza makolągwo! Nie opuszczaj nas. Ja jestem

po pani stronie! Bronka jest znana jędza! Saper-nisiu!

(idzie za nią, naśladowując jej ruchy, Bronka i hrabia nie widzą tego, Rymwid i Boresza śmieją się głośno).

SCENA 3.

CIŻ — bez RADOMYSKIEGO

HRABIA — I za co pani tak kocha tego zbrodnia-rza?..

BRONKA *(wymijająco)* — Bo ja wiem... Czy warto o tem mówić?.. Co hrabiemu opowiadał p. Meer-gold?

RYMWID *(naśladowując)* — Jak ja zobaczę pannę Bronkę, to się robię zupełnie głupi. Coś podobnego może się zdarzyć tylko człowiekowi bardzo inteligentnemu *(śmiech)*.

HRABIA — Doskonale.

RYMWID *(wpada w ton naśladowniczy hrabiego)* Ja się tej kobiety boję, bo mógłbym zrobić dla niej dużo szaleństw!

BRONKA — Ja się go także boję. Gdy na mnie spoj-rzy, zdaje mi się, że mnie dotknął zimny wąż. *(wzdrygnęła się)*.

BORESZA *(z utajonym szacunkiem)* — To bardzo bogaty człowiek!

RYMWID — Bardzo.

HRABIA — Zostawmy go jego losowi. A pani niech nam opowie o swej nowej roli. Będą znów okla-

ski i kwiaty? Gdybym był kobietą, chciałbym być tylko artystką.

BRONKA — Pan żartuje!

HRABIA — Jakto? Pani nie?..

BRONKA — Jabyam lubiła życie spokojne, ciche...

BORESZA — Choćby w chatce, byle z nim!

RYMWID (*tak samo*) — Zwłaszcza, gdyby tak jeszcze kilkoro drobnych dzieci... Prawda?

BRONKA (*patrzy na niego z prostotą*) — Czy w tem byłoby co złego?

HRABIA — Pani mię zaskoczyła! Więc ta nowa rola?

BRONKA — Eh, nic wielkiego! Mała, krótka pic-senka...

HRABIA — W krótkiej spódniczce?

BORESZA — Tak. I z ilustracją... (*robi ruch cake-valkowy*). Właśnie powtarzaliśmy przed chwilą...

HRABIA — I myśmy przeszkodzili?

RYMWID — To katastrofa! Z nami nie będzie pani robiła ceremonji.

HRABIA (*wskazując na fotel w głębi*) — Wcisnę się w fotel i będę siedział, jak trusia!

RYMWID (*wskazuje drugi fotel*) — A ja tam!

BORESZA (*przekonany*) — Doskonale. (*siada przy pianinie*). Zaśpiewasz?

BRONKA (*szorstko*) — Niech mi pan da spokój! Bardzo proszę.

HRABIA (*zmartwiony*) — Odmawia nam pani?

RYMWID — Dlaczego?

BORESZA (*urazony*) — Nie rozumiem cię. Jeśli panowie tak bardzo proszą... Sama grzeczność wskazuje...

BRONKA — Nie!

HRABIA — Ale dlaczego?

BRONKA (*zakłopotana, z uśmiechem*) — Ja... przed panami... wstydziłabym się.

HRABIA (*z wyrzutem*) — Przed nami, dobrymi przyjaciółmi, wstydziłaby się pani, a w teatrze, wobec tysiąca obcych ludzi...

BRONKA — Właśnie... to zupełnie co innego.

BORESZA — Ma hrabia! To jest nasz narodowy dar konsekwentnego myślenia. Na każdym kroku skrupuły, wahania, zastrzeżenia. Tam — można, tutaj — nie wypada. Czy w tem jest jakiś sens, pytam się, proszę?..

BRONKA (*podrażniona*) — Jest, czy niema, tańczyć nie będę.

HRABIA — Opatrzność obdarzyła panią hojnie urodą, wdziękiem. Ale poskapiła uczuć altruistycznych. Dla bliźniego nic? Obraziłem się i idę.

BRONKA (*zalotnie*) — Hrabia naprawdę gniewa się na mnie?

HRABIA (*całuje ją w rękę*) — Śmiertelnie. Chyba że spotkamy się na obiedzie w Windsorze?

SCENA 4.

(*Radomyski wciąga Sapernicką*).

RADOMYSKI — Ciocię udobruchałem. Opowiedziała mi za to historję swojego życia.

BORESZA — Słyszałem ją dwadzieścia siedem razy. (*do Sapernickiej, surowo*). Pani jest nieoprawna!

RADOMYSKI (*do Bronki*) — Wybacz jej wspaniałomyślnie.

BORESZA — Niechże pani już nie nadyma się, jak stary indor!

SAPERNICKA — Skoro mi w tym domu ubliżają, i to jeszcze przy gościach... mogę choćby zaraz odejść...

BRONKA (*bez gniewu*) — Mało razy prosiłam, żeby ciocia nie wtrącała swoich trzechgroszy, gdzie nie trzeba?

SAPERNICKA (*rozzalona*) — Z najlepszej chęci tylko, z dobrego serca! Mogę dziś jeszcze spakować swoje rzeczy. Mam kuzyna przemysłowca, który ciągle mnie zaprasza...

BORESZA (*sceptyczny*) — Tęgo, co prywatnie robi papierosy? Głupstwo. Nigdzie pani nie będzie równie dobrze (*staje przed nią*). No, uśmiechnąć się, pani Sapernicka! Uśmiechnąć się! Jak to pani umie!

(*Sapernicka walczy przez chwilę, wreszcie uśmiecha się*).

SAPERNICKA — Pan Dominik jak zacznie robić miny... E, niech już pan da pokój.

BRONKA (*wyciąga do niej rękę*) — Na zgodę ten kapelusz z fijołkami...

RADOMYSKI — Fijołki przystoją skromnej cnocie.

SAPERNICKA — Z Bronką to zawsze tak! Serce złote, tylko czasem powie coś... Każdy człowiek musi mieć swoją godność!

(Boresza przechodzi do Rymwida i Hrabiego).

BORESZA — Nad czem panowie tak radzą?

RYMWID — Mówimy, że Bronka jest śliczna.

HRABIA *(do Boreszy)* — Wie pan, co ja mówię?
Jest śliczna. Tak, Przyznaję. Ale nie działa na nerwy. Ja ją bardzo lubię. Jest ładna, miła, smaczna. Ale na nerwy nie działa.

BORESZA — Uczuciowa i uparta. Taki temperament. Ale charakter!

HRABIA — Wszyscy to mówią. Ja zawsze wierzę w to, co wszyscy mówią. Tylko brak jej tego... pieprzu... du chien!

RYMWID — Może się jeszcze wyrobi. Gdyby się dostała w dobre ręce...

HRABIA — Tak! Tymczasem brak jej jeszcze...
Psa! Rozumie pan... Tego, co się nazywa: psa!
Do widzenia! *(żegna się z nimi, potem raz jeszcze z Bronką i wychodzi)*. Więc na obiedzie, prawda?

(Bronka i Sapernicka odprowadzają go do drzwi).

RADOMYSKI — Niech się hrabia nie spóźnia!

SCENA 5.

CIŻ bez HRABIEGO

BORESZA — Co się dzieje z Olesiem? Miał przyjść zaraz po śniadaniu.

RADOMYSKI — Zostawiłem go wczoraj w klubie.

Ja wyszedłem wcześniej, bo mię rozboleła głowa.

RYMWID (*wskazuje z uśmiechem Radomyskiego*)

— Jego zawsze boli głowa, jeśli mu karta nie idzie. Żeby Zahorski miał taką pocziwą głowę!

Ale on upiera się, gdy ma dewenę, i teraz pewno odbywa pielgrzymkę po Jerozolimie.

BRONKA (*zbliża się do nich*) — Czy Oleś przegrał znowu?

RADOMYSKI — Zdaje się...

RYMWID (*sceptycznie*) — Prawdopodobnie puka do kasy Meergolda. Nie wiem, czy skutecznie. Meer-gold nie odmówiłby nawet poważnej pożyczki..., ale komu innemu...

BRONKA — Może być spokojny. Niedalej jak wczoraj odesłałam mu jego kwiaty...

RYMWID — Ciągłe mnie męczy, żeby go tu przypro-wadzić.

BRONKA — Bardzo dziękuję.

RYMWID (*sceptycznie*) — Nie można wiedzieć! Nigdy nie można wiedzieć! Meergold, to bardzo solidna firma bankierska.

BRONKA (*zajęta swojemi myślami*) — Kiedy pomy-śle, że Oleś martwi się i gryzie, a ja nie mogę nic zrobić, nic pomódz, to okropne! Po co on gra w te karty? Panowie powinni na niego wpłynąć!

RADOMYSKI — Dobrze się pani wybrała!

RYMWID — A ja się z panią zgadzam i powiem, że to wogóle nie ma sensu. Dla niego jest tylko jedno wyjście: powinien się ożenić. Innego nie widzę.

BRONKA (*gwałtownie*) — I pan to mówi! Tutaj? Mnie? To... to już przechodzi wszystko. Pan jest zły człowiek. Dla pana wartość mają tylko pieniądze.

BORESZA (*poruszony*) — I coby mu z tego przyszło, pytam się proszę. Byłby szczęśliwszy? Wiązać się na całe życie z jakimś potworem... Nie, mój drogi, to już najgorsze!

RYMWID — Tylko spokojnie. W życiu można mieć romanse. Ale z życia nie należy robić romansu.

BRONKA — Znam aż nadto pańską mądrość... i trzeźwość... Na szczęście, Oles jest inny.

RYMWID — Pani nie chce wierzyć, że ja mówię, jak dobry przyjaciel i jego i pani.

BRONKA (*ironicznie*) — Dobry przyjaciel!

RYMWID — Ja znam stan majątkowy Olesia, droga pani. Rozsądne słowa bywają przykre, tem nie mniej trzeba je powiedzieć, — trzeba umieć prawdzie spojrzeć w oczy, choćby była bardzo bolesna...

BRONKA — Nie chcę o tem dłużej mówić. (*idzie włąb sceny do Sapernickiej*).

RYMWID (*idzie za nią*) — Opowiem pani ostatnią przygodę Nuny... (*rozmawiają włąbi*).

BORESZA (*pozostał z Radomyskim*) — Znalazłem się w wyjątkowem położeniu... Liczyłem z wszelką pewnością na Olesia. Tymczasem z tego, co słyszę...

RADOMYSKI (*półgłosem*) — Chcesz dziesięć rubli? (*Odwraca się i wyjmuje pieniądze, które Boresza chowa od niechcienia do kamizelki: Rymwid postrzegł*).

BORESZA — Merci. Zapiszę w notesie.

RADOMYSKI (*do Rymwida*) — Franz! Idziemy?

BRONKA — Nie zaczekacie panowie na Olesia?

RADOMYSKI — Ja już nie mogę... Wracam do klubu.

RYMWID — Ja mam wizytę (*z uśmiechem do Radomyskiego*). Boresza cię skubnął...

RADOMYSKI (*niedbale*) — Głupstwo... Mnie to przynosi szczęście.. Jak przed polowaniem kolano... (*głośno do Bronki i Sapernickiej*). Kwiaty różane! Nadeszła okrutna chwila rozstania. Żegnajcie!.. (*zbliża się do nich*). I nie płaczcie! Bo niezadługo spotkamy się przy stole biesiadnym... (*przypomina sobie*). Prawda! Boresza, nie mógłbyś mi wyświadczyć małej przysługi?

BORESZA (*skwapliwie*) — Ależ i owszem. Co takiego?

RADOMYSKI — Mój służący potrzebuje nowej liberji. Byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś poszedł z nim do krawca. Ja nie mam nigdy czasu, a Dżon jest taki osioł...

BORESZA — Bardzo chętnie. Ja się na tem doskonale znam... Wstąpię po niego jutro.

RADOMYSKI — Dziękuję. Do widzenia... (*wychodzi*).

RYMWID — Przypomnijcie Olesiovi, że obiad o siódmej. (*wychodzi*).

BORESZA (*woła do przedpokoju*) — Ciocia Sapernicka pyta, czy będzie piperment?

RYMWID (*z przedpokoju*) — Będzie.

SAPERNICKA (*urazona*) — Głodnemu chleb na myśli.

SCENA 6.

BRONKA — SAPERNICKA — BORESZA

(*Sapernicka siada w kącie, wyjmując z torebki karty, nakłada okulary i zaczyna ustawiać pasyans. Bronka siada na szeslongu, chowa głowę w poduszkach.*)

BORESZA (*wraca*) — Co tobie, Bronka?

BRONKA — Nic... (*po chwili*). Zatykam sobie usta, żeby nie krzyczeć.

BORESZA — Cóż to znowu, pytam się proszę?

BRONKA — Gdy mnie boli, zawsze mam ochotę krzyczeć.

SAPERNICKA — Ona była taka od maleńkości.

BORESZA — Rymwid zrobił ci przykrość?

BRONKA (*oparła głowę na rękach*) — Oleś chce, żebym była zawsze grzeczna i miła z jego przyjaciółmi. Nigdy mnie to tak drogo nie kosztowało, jak dzisiaj. (*porywczo*). Byłabym go... Psiakrew! Panie, czy oni chcą go naprawdę ożenić?

BORESZA — Z kim?

BRONKA — Weyrichowa rzuca mu się na szyję. Sama widziałam w teatrze. Smaruje go oczami... Wprost bezwstydnie...

BORESZA (*pogardliwie*) — Bez wychowania. Ojciec suszonemi śliwkami handlował, — makaronem.

BRONKA — Dlaczego ja nie miałam takiego ojca!
Oddałabym Olesiowi wszystko...

BORESZA — Obrzydliwa baba, ta Weyrichowa. Nie wierzę, żeby Oleś... nie, możesz być spokojna... W niej jest coś takiego... obleśnego... Mało jej bezpiecznego wdowieństwa... Męża się zachciewa, i to jeszcze męża z nazwiskiem, z klubu... Świat się wywraca do góry nogami!

SAPERNICKA — Zawsze z mężem kobiecie lepiej.

BRONKA — Pan słyszał, co o niej mówią? Że już niema tyle włosów, ilu miała kochanków.

BORESZA — Przesadzasz! Włosy jeszcze ma niczego. Tyle że farbowane.

SAPERNICKA — Czy to może być, żeby osoba z dobrej familji miała tylu kochanków? Boże! Co się teraz dzieje!

BORESZA (*cedzi*) — Leniwy jej nie miał. (*siada na fotelu*).

SAPERNICKA — Sodoma i Gomora...

BRONKA (*znów głowę oparła na dłoniach*) — Ja rozumiem, że nasz stosunek nie może trwać wiecznie. Ale już teraz... po dziesięciu miesiącach? Pan wie, ja zawsze lubiłam bajki... On w mojem szarem, lichem życiu zjawił się jak królewicz z bajki. Oddałam mu się duszą i ciałem. Nawet nie wiem, czy o to prosił... Nie pamiętam. Byłam taka szczęśliwa! Jak w bajce...

SAPERNICKA (*przy pasjansie*) — Ja zawsze mówiłam, że to musi się źle skończyć.

BRONKA (*gwałtownie*) — Dlaczego? Jego nikt nigdy tak kochać nie będzie. Nikt! Ja dla niego

zrobiłabym wszystko! Ja... ja żyję tylko myślą o nim. Dlaczego? Nie wiem nawet, czy on jest dobry czy zły, przystojny, czy brzydki, mądry czy głupi... Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Z nim nie bałabym się niczego, najgorszej nędzy...

SAPERNICKA (*j. w.*) — Bronka wogóle za mało myśli o sobie, i o swoich.

BRONKA — Ten teatr, te kolacje — ach, jak jabym to wszystko puściła... przecież to tylko dla niego! Pan wie najlepiej!

BORESZA (*maskuje wzruszenie, opryskliwie*)—Mnie chcesz przekonywać?

BRONKA — Zostać znów sama... Stracić punkt oparcia, tam... (*ręka na sercu*). To byłoby okropne. Ja sobie nie mogę nawet wyobrazić, żeby on nagle mógł się oddalić, stać się obcym. Panie: co ja bym z sobą zrobiła?

(*chwila milczenia*).

SAPERNICKA — Bronka się denerwuje, a żadnej pewności nie ma, żeby pan Aleksander już... teraz... że pan Rymwid gada...

BORESZA (*wstaje żywo*) — To prawda! Rymwid sprzedałby duszę za pieniądze, i zdaje mu się, że wszyscy tacy sami. A o Olesiu można powiedzieć wszystko, tylko nie to... Dla niego pieniądze...

BRONKA — Tak...

SAPERNICKA — Pan Aleksander lubiłby tylko wydawać...

BORESZA — Któżby nie lubił? Ja i teraz jeszcze nie umiem się rachować.

BRONKA (*pociesza się sama*) — Nieraz był w kłopotach i dawał sobie jednak radę.

BORESZA — Karta musi się wkońcu odmienić. Albo trafi się jaki spadek... czy ja wiem?... Byłe teraz wybrnął...

SAPERNICKA (*tryumfalnie*) — Ja, nic nie mówiąc, na tę intencję postawiłam pasjansa. I wyszedł.

BRONKA (*radośnie*) — Wyszedł? Pocziwa ciocia! Słowo daję. (*biegnie i ściska Sapernicką*).

BORESZA (*zbliża się i patrzy w rozłożone karty*)
A nie poszachrowała pani?

SAPERNICKA (*oburzona*) — Że też pan, panie Dominik, może coś podobnego pomyśleć! Kładłam karty uczciwie, jak należy. Raz już... już chciało się zatknąć. Przyszedł as kier i uratował.

BRONKA (*do Boreszy*) — Która godzina?

BORESZA (*do Sapernickiej*) — Która godzina?

SAPERNICKA (*patrzy na zegarek*) — Czwarta...
(*wchodzi służąca z pierwszych drzwi na lewo*).

SCENA 7.

CIŻ — SŁUŻĄCA

SŁUŻĄCA — Proszę pani, pan Schwan jest w kuchni.
Chciałby zobaczyć się z panią.

BRONKA (*żywo*) — On napewno będzie wiedział, co się dzieje z Olesiem... Proś!

(*służąca wychodzi*).

BORESZA — Olesia tylko patrzeć, skoro Schwan go tutaj szuka. Ten ma węch.

(Wchodzi Schwan w długim surducie i zatrzymuje się niedaleko drzwi).

SCENA 8.

CIŻ — SCHWAN

SCHWAN — Moje uszanowanie.

BORESZA *(podaje mu ukradkiem rękę)* — Salej alejkum!

BRONKA — Co pan przynosi dobrego?

SCHWAN *(filozoficznie)* — Dobre nowiny lecą same, jak na skrzydłach. Człowiek nosi złe nowiny. Ja spodziewałem się tutaj zastać pana Zahorskiego.

BRONKA — Co pan chciał mu powiedzieć?

SCHWAN — Przepraszam panią, ale to, co ja chciałem powiedzieć p. Zahorskiemu, to jest jego prywatna własność.

BORESZA — Po pańskiej minie, drogi łabędziu, widzę, iż Oleś zgrał się wczoraj.

BRONKA — Skąd że on może o tem wiedzieć?

BORESZA — Skąd? A to dobre! On całą noc kręci się koło klubu i od szwajcara dowiaduje się, jak idzie partja.

BRONKA *(do Schwana)* — Naprawdę?

SAPERNICKA *(z odcieniem pogardy)* — Człowiek żonaty! Dietny! Wstyd!

SCHWAN (*do Sapernickiej*) — A jeśli tam ryzykują się moje pieniądze? W sali jeden albo drugi hrabia stawia na kartę trzysta, czasem tysiąc rubli. Pani myśli, że to on stawia? Wcale nie. To stawiam ja, albo drugi taki, jak ja! Bo to są najczęściej nasze pieniądze. Jeśli mój klient wygra, to mi odda i coś zarobię. Jeśli przegra, to co on może oddać? On sobie stawia gruby pieniądz na jedną kartę, i robi dowcipy, bawi się, pije wino. A mnie na ulicy serce bije... tak! Ja się ciągle boję, żeby on nie przegrał! Po co ja mam iść do domu, kiedy ja i tak nie zasnę? Ja wolę sobie czekać przed klubem. Pan Dyonizy, szwajcar, jest dobry człowiek. On zawsze powie, jak idzie gra. Ale teraz to już tak źle idzie, że ja żebrakiem zostanę, a moje dzieci z głodu pomrą.

SAPERNICKA (*moralizatorka*) — Czemu to pan Schwan nie weźmie się do uczciwszej pracy, jak przystało porządnemu człowiekowi.

SCHWAN — Co to jest uczciwa praca? Interesy bywają tylko dobre albo złe.

BORESZA — Więc Oleś splukał się wczoraj?

SCHWAN — Ja panu powiem, ja nie wiem, co z tego będzie. Ja nie chcę mówić więcej. Proszę pana, tak się nie gra! Tak grać nie można! (*zapala się*). On do szóstki ciągnie. Tego się nie robi. (*placzliwie*). Ja mam żonę i pięcioro dzieci.

BRONKA (*przejęta do Boreszy*) — Jeśli przegrał większą sumę, to ja już sama nie wiem, jak sobie da radę.

BORESZA (*zafrasowany*) — Tak...

(*słysząc hałas otwieranych drzwi w przedpokoju*).

BRONKA (*biegnie do drzwi*) — Oleś!

SCHWAN — Ja zaczekam tam... (*znika w drzwiach na lewo*).

SCENA 9.

(*Wchodzi Zahorski, u jego ramienia Bronka. Boresza wita go radośnie*).

ZAHORSKI (*widocznie zdenerwowany*) — Dzień dobry! Jak się macie?

SAPERNICKA — Moje uszanowanie panu Aleksandrowi.

(*zbiera spiesznie karty i wychodzi drzwiami na lewo*).

BRONKA — Czemu przychodzisz tak późno?

ZAHORSKI — Nie mogłem wcześniej (*rozgląda się*). Nie było nikogo?

BORESZA — Był hrabia z Rymwidem i Radomyskim.

ZAHORSKI — Nic nie mówili?

BRONKA (*śledzi go uważnie wzrokiem*) — Nie.

BORESZA — Kazali ci przypomnieć o dzisiejszym obiedzie w Windsorze.

ZAHORSKI — Nic więcej? (*siada — opodal niego Bronka*). Ach, moi drodzy, gorzej jeszcze nie było!

BORESZA (*z ojcowskim współczuciem*) — Zgrałeś się wczoraj?

ZAHORSKI (*niespokojnie*) — Skąd wiesz?

BORESZA — Radomyski napomknął.

ZAHORSKI — Ani w prawo, ani w lewo! Szlus!

BRONKA (*patrzy nań z współczuciem*) — Jesteś zdenerwowany.

BORESZA — Ileś przegrał?

ZAHORSKI — Nie chodzi o sumę. Kropla, która przepełnia kieliszek, jest tylko kroplą... Przed miesiącem mogłem jeszcze bez trudności dostać dziesięć tysięcy. Dziś nie mogę dostać trzech. Schwan tu był?

BORESZA — Czeka w jadalnym pokoju. Ale... (*gest, że nic nie przyniósł*).

ZAHORSKI (*zrezygnowany*) — Na niego nie liczyłem wcale. Sam niema.

BORESZA — Cóż u diabła! Żeby młody człowiek z dobrem nazwiskiem, z pozycją w towarzystwie, skoligowany, nie mógł znaleźć paru tysięcy rubli? To niesłychane. To wprost nieprawdopodobne! A Meergold? Po cóż właściwie przyjęliście go do klubu?

ZAHORSKI — Właśnie wracam od niego.

BORESZA (*zamaszysty*) — I nic? Wybacz, ja to nazwę skandalem! Nie chciał pożyczyć? Wiesz, ja na twojem miejscu wyzwałbym go na pojedynek. (*Zahorski uśmiechnął się lekko*). Odmawiając, okazał ci brak zaufania. To jest obraza. Zobaczyłbyś, jakby skakał.

ZAHORSKI — Mój drogi: Gdybym ja chciał wyzywać wszystkich, którzy odmawiają mi pożyczki...

BORESZA — Co za czasy! Dziwić się potem, że ludzie zostają socjalistami.

BRONKA (*przysłuchiwała się uważnie*) — Meergold odmówił ci stanowczo?

ZAHORSKI — Stanowczo? Taki bankier nigdy stanowczo nie odmawia. — Proszę zostawić wksel... Ale nie obiecuję. Muszę rozejrzeć się w wypłatach... Potrzebujemy teraz dużo gotówki na akcyzę. (*zmienia ton*). Ja ich znam! Skoro tylko nie chcą pożyczyć, mają zawsze akcyzę.

BRONKA — Może się jeszcze namyśli?..

ZAHORSKI — Jestem pewny, że nie. Widziałem to po przyjęciu. Byłby zaraz familjarny. Klepałby po ramieniu. Tymczasem był chłodny i oficjalny. A to była moja ostatnia nadzieja!

BORESZA — Tylko proszę cię, Olesiu, nie poddawaj się...

BRONKA — A Rymwid?

BORESZA (*gorzko*) — Od czasu, kiedy ma pieniądze, przyjął zasadę: nie pożycza od nikogo i nie pożycza nikomu. Radomyski, gdyby miał...

ZAHORSKI (*porywczo*) — Tak... ale niema. Ci, na których można liczyć, nigdy nie mają.

BRONKA — A hrabia?

ZAHORSKI i BORESZA (*razem*) — O! nie.

BRONKA — Dlaczego? Żyje z tobą w przyjaźni... Przecież mu oddasz!

BORESZA — Horyński ma takie stanowisko towarzyskie, że nawet prosić go nie można.

ZAHORSKI — Cała przyjaźń odrazu... zlikwidowana!

BRONKA — Ja tego nie rozumiem.

(chwila milczenia).

ZAHORSKI *(gorzko)* — Tylu innym wiedzie się! Grosza nigdy nie mieli, wydają dwa razy więcej... Ani mądrzejsi, ani... *(gest)*. I wszystko dobrze... Na mnie pech się zawziął.

BORESZA — Do kata, nie zapłacisz dziś, to zapłacisz jutro... albo pojutrze. Nie będziesz ani pierwszy, ani ostatni.

BRONKA — Są ludzie, którzy nigdy nie płacą długów i żyją.

ZAHORSKI — Ba! Żeby to była zwykła pożyczka, — u krawca, u jubilera, albo w banku! Wszystko by mi było jedno. Niech się wierzyciel martwi, to jego *métier*. Ale karty... dług honorowy... To nie jest dług za dostarczony towar!

BORESZA — W klubie też bywa, że jeden drugiemu nie płaci. W ostatnich czasach jest to nawet w dobrym tonie...

ZAHORSKI — Tak... jeśli księżę X. nie zapłaci swojemu kuzynowi hrabiemu Z.! Ale pan Zahorski musi zapłacić! Zwłaszcza gdy wygranym jest... taki obcy pan...

BORESZA — Kto?

ZAHORSKI — Lützow.

BORESZA *(skrzywił się)* — Psiakość!

ZAHORSKI — Rozumiesz? Najgorzej z takim cudzoziemcem! Trzeba płacić w ciągu 24 godzin.

Inaczej awiz do komitetu... Czarna tablica. (*chwila milczenia. Zahorski uśmiecha się bezwiednie*). Swoją drogą Meergoldowi zadałem bobu.

BRONKA — Jakim sposobem?

ZAHORSKI — Na odchodnym powiedziałem mu, tak, pół żartem, pół serjo. (*naśladuje*). — Wie pan, dotąd tylko dwa razy odmówiono mi pożyczki. I co pan powie: żaden z owych dwóch nieuczynnych kapitalistów końca roku nie dożył! Naturalnie, przypadek... Ja nie jestem przesądny...

BORESZA (*śmieje się*) — Doskonałe! Cóż na to Meergold?

ZAHORSKI — Zzieleniał... (*innym tonem*). Przyznam się wam, że już mam tego wszystkiego dosyć. Życie mi zupełnie obrzydło.

BRONKA (*z lekkim wyrzutem*) — Jak ty mogłeś grać, wiedząc, że, jeżeli przegrasz, nie będziesz mógł zapłacić!

ZAHORSKI — Śmieszna jesteś! Gdy siadam do stołu, nigdy nie myślę, że przegram. Jestem zawsze przekonany, że wygram.

BORESZA — Inaczej, któżby chciał grać! Ty się na tem nie znasz.

BRONKA (*smutnie*) — Być może.

ZAHORSKI — Więc Schwan czeka?

BRONKA (*wstaje*) — Chcesz, to go sprowadzę.

ZAHORSKI (*proszącym tonem*) — Moja droga!

(*Bronka wychodzi*).

SCENA 10.

BORESZA — ZAHORSKI

BORESZA (*wskazując na drzwi, któremi wyszła Bronka*) — Nie masz pojęcia, jak ją to obeszło... Jest tak zalterowana!..

ZAHORSKI (*dość lekko*) — Dobra dziewczyna. Przywiązała się do mnie.

BORESZA (*trochę poruszony*) — Przywiązała się? Nie... Ona cię kocha... Wiesz, ja nie jestem romantyczny... Powiem ci — tak jak ona ciebie kocha, to rzadka rzecz. Prostu, rozumiesz, to (*pokazuje serce*) idzie stąd... Takie głębokie i ładne!

ZAHORSKI (*sceptyczny*) — Boresza! Napisz to wierszem... na różowym papierze...

BORESZA — Proszę cię... nie traktuj tego w ten sposób! Ja przez całe życie nie spotkałem takiego uczucia... Dziś, uważasz, stary jestem — może dlatego silniej mię wzrusza...

ZAHORSKI (*żartem*) — Słuchaj! Ty się w niej kochasz!

BORESZA (*poruszony, serjo*) — Co za głupstwo! Dlatego, że jestem goły, że... tego... nie zawsze mogę oddać drobnej pożyczki, to jeszcze nie powód... żeby kpić... Dziwię się nawet, że ty, który z natury jesteś delikatny...

ZAHORSKI — Ty stanowczo kochasz się w niej! Lecz w tem niema nic złego. Ja nie jestem zazdrosny.

BORESZA (*mocniej*) — Proszę cię... Daj pokój tym żartom.

(*wchodzi Bronka, za nią Schwan*).

SCENA 11.

BRONKA — ZAHORSKI — BORESZA — SCHWAN

ZAHORSKI — Łabędź jest bez humoru?

SCHWAN (*kłania się, zatrzymuje przy drzwiach*)

Dlaczego ja mam być wesoły?

ZAHORSKI — Przyniósł pan pieniądze?

SCHWAN (*porywczo*) — Jakie pieniądze? (*zawstydził się, spojrzał na Bronkę*).

ZAHORSKI — Możesz pan mówić... Tu niema żadnych tajemnic.

SCHWAN (*po chwili*) — Ja przyszedłem pana prosić, żeby pan wykupił choć parę z tych (*wskazuje na pugilares w kieszeni*) weksli...

ZAHORSKI (*ironicznie do Boreszy*) — Dobry moment sobie wybrał, co?

SCHWAN — Niech pan ma wzgląd na moją rodzinę. Żeby moja żona mogła spać spokojnie... Niech pan da chociaż ewikcję...

ZAHORSKI — Ja bardzo życzę spokojnego snu pańskiej żonie, ale jakąż ewikcję dać panu mogę?

SCHWAN — Najlepiej hipoteczną.

ZAHORSKI (*ironicznie*) — Pan sądzisz, iż nie wypomowałem swojej hipoteki do dna, zanim zrobiłem pańską ceną znajomość?

SCHWAN — To może pan poprosi którego z przyjaciół, żeby zażyrował.

ZAHORSKI — Kochany panie, mam tylko jednego przyjaciela, który nie odmówi mi napewno swego podpisu.

SCHWAN (*skwapliwie*) — To już dobrze.

ZAHORSKI (*wskazuje Boreszę*) — Pan Boresza.

SCHWAN — Pan sobie żartuje. (*Zahorski wzrusza ramionami. Chwila milczenia*). Więc co ja mam robić? (*płaczliwie*). Ja już jestem bankrut. Z tych weksli, to się zrobił majątek! Ładny majątek! Moje dzieci z głodu pomrą. (*nagle*). Dlaczego pan nie chce się ożenić?

ZAHORSKI (*nieuważnie*) — Kto panu powiedział, że nie chcę? (*nagle urywa; chwila milczenia*).

SCHWAN — Więc co będzie?

ZAHORSKI (*nerwowo*) — Co będzie? Nie zwracaj mi pan głowy! Widzisz pan, że jestem rozstrojony, jak stary fortepian.

BORESZA (*zbliża się do Schwana poufale*) — Unieś pan swą obecność, kochany łabędziu! Salem Alejkum... (*popycha go ku drzwiom, ciszej*). — Nie masz pan dla mnie stu rubli?

SCHWAN (*oburzony*) — Sto rubli? Dla pana?

BORESZA — Sam pan widzisz, że nie warto z panem gadać... Pięćdziesiąt?

(*Schwan kiwa odmownie głową, bardzo oburzony*).

SCENA 12.

BRONKA — ZAHORSKI — BORESZA

BRONKA (*nurtując ją głęboko słowa, które wyrwały się Zahorskiemu*) — Czyś ty to mówił na serjo?

ZAHORSKI (*niecierpliwie*) — O co ci chodzi?

BRONKA — Powiedziałeś: dlaczego miałbym nie chcieć?

ZAHORSKI (*gwałtownie*) — Najlepiej byłoby wsadzić sobie kulę w łeb.

BRONKA — To byłoby zbyt łatwe rozwiązanie. Wstyd nawet mówić... przy takich zdolnościach, stosunkach!

ZAHORSKI (*ironicznie*) — Mam starać się o posadę konduktora tramwajowego? Albo zostać agentem od ogłoszeń? Czy myślisz, że u nas można co zrobić?

BORESZA (*z przekonaniem*) — To nie jest Anglja!

ZAHORSKI — Ja rozumiem jakieś wielkie interesy... wielkie nadzieje... wielkie ambicje... Gra o miljony, tak. Ale codzienne dreptanie w małym kieracie, żeby zarobić na rósół i sztukę mięsa? Nie, moja droga, nie dla mnie! (*wstał i chodzi*).

BORESZA — To nie miałyby zresztą najmniejszego sensu.

ZAHORSKI (*chodzi po pokoju, po chwili*) — Na Meergoldzie zawiodłem się. Był dla mnie zawsze wyjątkowo uprzejmy (*do Boreszy*). Powiedz, co by jemu szkodziło dać tych parę tysięcy! Nic.

BRONKA — Stanowczo nie odmówił. Ostatecznie, jeszcze nie wiadomo...

ZAHORSKI — Ja wiem...

BRONKA (*zamyślona*) — Gdyby go poprosić... (*Boresza, tknięty nagłą myślą, podniósł wzrok na Bronkę, spotyka się z jej oczami, ona odwraca się*).

ZAHORSKI (*gorzko*) — Szczęście, że człowiek zawsze może się od tego wszystkiego uwolnić.

BRONKA (*zerwała się niespokojnie*) — W jaki sposób? (*podchodzi do niego i kładzie mu ręce na ramiona*). Olu: Nie mów tak! Ty przecież musisz rozumieć, jak ja cierpię. Ja wiem, że ty nie lubisz pewnych słów, że ci dźwięczą teatralnie. Ale jeśli to jest właśnie prawda? Czemu obawiać się przyszłości? Gdybym wiedziała tylko jedno, że ty będziesz ze mną, nie bałabym się niczego. Zresztą, nie obchodziłoby mnie nic. Gdybyś ty mnie kochał choć w jednej cząstce tak, jak ja cię kocham! Cóż mogłyby znaczyć takie kłopoty, takie zmartwienia!

ZAHORSKI (*sceptycznie*) — Ja jednak tem Lutzowa nie zapłacę. W tej chwili najpiękniejsze słowa nie zastąpią mi trzech tysięcy rubli.

(*Bronce opadają ramiona, Zahorski idzie do okna, patrzy w zamyśleniu przez szyby*).

SCENA 13.

BRONKA — BORESZA

(*Bronka zbliżyła się do Boreszy*).

BRONKA — Panie! Niech pan powie! Co ja mam zrobić! (*Boresza wzrusza ramionami*). Ja się o niego tak boję! A jeśli, istotnie, gotów byłby... Panie! My nie możemy wiedzieć, co się dzieje w jego duszy.

BORESZA (*ponury*) — Może to i lepiej...

BRONKA (*niezrozumiała*) — On sili się na spokój, na dowcipy, a jest taki rozstrojony! Czy pan się nie lęka? Niech pan powie, czy innego ratunku niema? Tylko Meergold? Mnie Meergold nie odmówi... ale... ja go znam. (*chusteczką tłumi łkanie*).

BORESZA (*opryskliwie*) — Czego ty chcesz ode mnie?

BRONKA — Czy ja... mam pójść?

BORESZA (*j. w.*) — Daj-że mi święty pokój! (*łagodniej*). Nie płacz! Płaczem nic się nie robi.

BRONKA (*spiesznie osusza oczy chusteczką*) — Ja tylko tutaj... Nie mogłam się wstrzymać... Ale jeśli pójdę tam... niech się pan nie lęka. Gdybym się rozpłakała, pocieszałby mię i odprawił z kwitkiem. Oni wszyscy nie lubią łez. Ja się już nauczyłam... Im więcej chce się płakać, tem głośniejsz trzeba się śmiać.

(*Zahorski zbliża się do nich*).

SCENA 14.

BORESZA — BRONKA — ZAHORSKI

BRONKA (*do Zahorskiego*) — Więc co zrobisz?

ZAHORSKI (*znużony*) — A niech będzie, co chce! Wszystko mi jedno.

BRONKA (*niepocieszona*) — Gdyby tak jeszcze raz spróbować z Meergoldem? Poprosić go?

ZAHORSKI — Żeby mię służący odprawił ode drzwi? Za nic w świecie.

BRONKA — Ty nie, ale kto inny?

ZAHORSKI (*nieszczercze*) — Kto?

BRONKA (*patrzy mu w oczy*) — Naprzykład... ja?

ZAHORSKI (*niespokojnie*) — Ty?

(*chwila milczenia*).

BORESZA (*zbliza się do Bronki*) — Do widzenia...

Muszę iść. (*żegna się spiesźnie*).

ZAHORSKI — Zaczekaj! Podwożę cię. Mam na dole dorożkę.

BORESZA — Kiedy ja w inną stronę...

ZAHORSKI — Nie wiesz jeszcze, w którą stronę ja się wybieram.

BORESZA — Nie, nie, ja wolę piechotą.

ZAHORSKI (*nerwowo*) — Proszę cię... W każdym razie... na obiedzie w Windsorze?

(*Boresza potakuje skinieniem głowy i wychodzi*).

SCENA 15.

BRONKA — ZAHORSKI

BRONKA (*zdziwiona*) — Chcesz iść z nimi?

ZAHORSKI — Mam nie jeść obiadu? (*z sztucznym humorem*). Nawet jeśli bym się wybierał na tamten świat, to lepiej z pełnym żołądkiem. Nie wiadomo, jaka jest kuchnia po tamtej stronie...

BRONKA (*nerwowo*) — Nie rób takich żartów... Ja nigdy nie wiem, czy ty mówisz serjo, czy drwisz.

ZAHORSKI — Pragnęłabyś, żebym załamywał ręce? (*sadza ją na kolanach i tuli*). Przepraszam! Masz ze mną tylko zmartwienia! Widzisz sama, że tak dłużej być nie może. Wszystko ma swój koniec.

BRONKA — Nie mów tak.

ZAHORSKI — Czy chciałabyś znać pana, którego wszyscy wytykają palcami: patrzcie, tego wyrzucili z klubu, bo przegrał i nie zapłacił. Zdasz sobie sprawę z tej hańby? *(odsuwa ją i wstaje)*. Nie, ja o tem nawet myśleć nie mogę.

BRONKA *(namiętnie)* — Czy chcesz, powiedz, żebym ja jeszcze spróbowała? Pójdę, mnie nie odmówi, zobaczysz!

ZAHORSKI *(nieszczercze)* — Kto?

(stają naprzeciw siebie, nie patrząc w oczy. Bronka nagle decyduje się, idzie szybko do drzwi na lewo).

BRONKA — Ciociu!

SAPERNICKA *(z drugiego pokoju)* — Czego Bronka chce?

BRONKA — Proszę o kapelusz i parasolkę.

SAPERNICKA *(ukazuje się w drzwiach)* — Zaraz... mnie się włosy rozczesały.

BRONKA — Wychodzę sama. Niech ciocia przygotowuje czarną suknię. Gdy wrócę, przebiorę się i pojedziemy razem na obiad. *(Sapernicka znikła. Bronka do Zahorskiego)*. A ty?

ZAHORSKI *(nerwowo)* — Do widzenia!

BRONKA — Olu!

(Zahorski zatrzymuje się na chwilę przy drzwiach, posyła jej pocałunek i znikła. Bronka zostaje sama, zamyślona i smutna, wpatrzona w drzwi, któreimi Zahorski wyszedł).

Z a s ł o n a s p a d a .

A K T II.

Gabinet restauracyjny. Jedne drzwi na wprost widowni. Z prawej strony, w głębi, pianino, bliżej — konsola z lustrem. Z lewej strony kanapa. Pośrodku stół nakryty. Koniec obiadu. Garson nalewa do filiżanek czarną kawę. Panowie wygodnie rozmieszczeni palą papierosy. Rymwid już rozpoczął przyjemny lecz uciążliwy proces trawienia.

SCENA 1.

NINA — ZAHORSKI — RADOMYSKI — BORESZA
— HRABIA — RYMWID — chwilami GARSON

BORESZA (*wącha starannie kawę*) — Mój Łukaszu, czy to nie jest aby ta wasza kawa dla zwyczajnych gości?

GARSON (*bardzo słodki, uniżony, mówi dyskretnie, głosem przyciszonym*) — Gdzieżby zaś, jaśnie panie! Panna Aniela gotowała sama na maszynie.

RADOMYSKI — A koniak?

GARSON — Zaraz będzie, jaśnie panie. I cygarka?

RADOMYSKI — Oczywiście.

BORESZA (*do garsona*) — Powiedz pannie Anieli, że mam dla niej fox-terriera. Z psiarni ks. An-

drzeja... (*zastanowił się*). Albo lepiej nie mów.
Sam powiem później.

GARSON — Do usług (*wychodzi*).

NUNA — Rozumiem, że można się spóźnić na obiad o kwadrans, ale żeby o godzinę!.. To już jest wyraźne lekceważenie.

RYMWID (*niedbale*) — Przecież nie czekaliśmy.
Więc o co ci chodzi?

HRABIA (*do Zahorskiego*) — Co się mogło stać? Nie domyśla się pan?

ZAHORSKI (*niepewny*) — Nie rozumiem. Widziałem ją przed paru godzinami. (*do Boreszy*). Tobie nic nie mówiła?

BORESZA (*szorstko*) — Nie.

NUNA — Ona chce pokazać, że sobie nic ze mnie nie robi. Dlatego, że pokazuje łydki w teatrze.

RYMWID (*przerywa*) — Kochana! Czego byś ty nie pokazała, gdyby cię grzecznie poproszono!

NUNA — Przepraszam bardzo! Co innego w swoim kółku, a co innego na scenie!

(*wchodzi garson z cygarami, obnosi*).

HRABIA — Jak pani nie zna panny Bronki! Ona właśnie za mało!.. zawsze za mało! Jest bardzo ładna... miła i sympatyczna, ale tego właśnie jej braknie.

ZAHORSKI — Ma jeszcze naleciałości małej burżuazki.

HRABIA — Skoro pan sam to mówi...

ZAHORSKI — Jeszcze nie jest zrównoważona. Kobieta wtedy dopiero staje się przyjemną, gdy jest

w miarę uległa i kapryśna, czuła i zabawna. Ale wszystkiego powinno być w miarę, tak jak kórkzeni do potraw. Zbyt wiele tego lub owego źle wpływa na smak.

BORESZA — Ja jestem z dawnej szkoły i cenię, że tak powiem, przedewszystkiem serce.

RYMWID — Stara romantyczka!

RADOMYSKI (*śmieje się*) — Nuna nigdy Bronce nie daruje teatru.

NUNA (*urazona*) — Myślałby kto! Gdybym chciała, zaraz mogłabym wystąpić. I to nie w operetce, ale w dramacie.

RYMWID (*zapala cygaro*) — A nie, moja droga, co to, to nie! Dopiero miałbym używanie!

(*Nuna rozmawia z Boreszą*).

ZAHORSKI (*do garsona*) — Proszę cię, wsadź posłańca do mojej dorożki. Niech jedzie na Nowogrodzką. On zna adres. Niech zapyta, czemu te panie nie przybywają na obiad.

GARSON — W tej chwili, jaśnie panie. Tylko rozleję koniaczek. (*po chwili wychodzi*).

RYMWID (*do Zahorskiego*) — Więc Schwan wlecze skrzydła po ziemi?

ZAHORSKI (*zapala cygaro*) — Poczciwy łabędź! Nie może przebaczyć mi wczorajszej szóstki.

NUNA — Jaki łabędź?

ZAHORSKI — Schwan.

NUNA — Dlaczego pan mówi: poczciwy łabędź? przecież mówi się ta łabędź. (*śmiech*).

RYMWID — Nuna! Co by powiedział twój aptekarz, który pisuje takie śliczne wiersze!

NUNA (*urazona*) — Przepraszam bardzo. Jeśli się mówi ta sroka, ta pomarańcz...

(*śmiech*).

BORESZA — Ta ryfa!

RYMWID — Mówi się także: ten ryfa.

BORESZA (*do Nuny*) — Moja najpiękniejsza ła-będź!

NUNA (*j. w.*) — Jesteście głupi. Z wami nie można mówić serjo. Niech hrabia powie: czy tak rozmawiają ludzie inteligentni?

HRABIA (*śmieje się*) — Ja zawsze powtarzam, że to nie jest odpowiednie dla nas towarzystwo.

NUNA — Można z nimi siedzieć cały dzień i nie usłyszeć ani jednego inteligentnego słowa. (*wstaje, idzie do pianina, za nią Boresza*).

RADOMYSKI (*do Rymwida*) — Hrabia ma dziś humor!..

(*Łukasz wrócił i zdaje sprawę ze swej misji Zahorskiemu. Ten wstał i odszedł parę kroków od stołu*).

HRABIA (*usłyszał*) — Ja z wami jestem zawsze w dobrym humorze. Czuję się w swoim sosie. Bardzo was lubię, moi drodzy! Z wami zapominam o wszystkich kłopotach... (*przesiada się na miejsce Zahorskiego między Rymwidem a Radomyskim*).

RYMWID — Łukaszu, jeszcze dwie butelki! Musimy

wypić zdrowie hrabiego. (*do Hrabiego*). Podziękować za miłe słowa.

GARSON — Sługa jaśnie pana. (*Wychodzi. Zahorski podszedł zamysłony do pianina*).

HRABIA (*do Radomyskiego, wskazując Rymwida*) — Ten człowiek poi mnie zawsze szampanem. Rozwija we mnie kosztowne przyzwyczajenia. A mnie nie stać na takie wydatki.

RYMWID (*śmieje się pochlebczo*) — Hrabia w złych interesach? (*wyjmuje książkę czekową*). Może pożyczyć jaką małą sumkę? Dziesięć tysięcy? Dwadzieścia? Niech hrabia mówi.

HRABIA (*śmieje się*) — Dziękuję! (*do Nuny*). Widzi pani, jaki dobry przyjaciel. (*do Rymwida*). Dziś wyjątkowo nie potrzebuję, bo wczoraj pan Radomyski pozwolił mi wygrać.

RADOMYSKI — Wolne żarty. Hrabia umie prowadzić grę! Bardzo niebezpieczny partner!

BORESZA (*do Zahorskiego, półgłosem*) — Jemu dałby w każdej chwili! Dlatego że ma miliony.

(*Nuna brzdąka na pianinie*).

HRABIA (*do Nuny*) — Słyszałem, że pani zrobiła wielkie postępy.

RYMWID — Tłucze fortepian po całych dniach.

NUNA (*dumna*) — Mam teraz nauczycielkę, która skończyła Konserwatorjum. Nauczyła mnie kilku nowych kawałków.

HRABIA — Musi pani nam zaprodukować.

RADOMYSKI (*przerażony*) — Na miłość boską, tylko nie teraz... Zaraz po obiedzie? Nie mogę.

HRABIA *(do Rymwida)* — Panna Nuna jest zawsze czarująca.

(Garson przyniósł wino. Otwiera, nalewa kieliszki).

NUNA *(kłania się)* — Panie hrabio!

RADOMYSKI — Skarbnica przymiotów cielesnych i duchowych! Nuna! mam dla ciebie nadzwyczajną zagadkę.

NUNA *(nieufna)* — Daj mi pokój. Napewno nie wymyślisz nic mądrego!

RADOMYSKI — Uprzedzam tylko, że musisz wyteńczyć wszystkie siły intelektu.

(Nuna zbliża się do stołu i siada na dawnym miejscu).

HRABIA *(śmiejąc się)* — On ma zawsze humor!

RADOMYSKI *(wolno)* — Pierwsze zwierzę, co ma trąbę. Drugie idzie po a, a, b.

(Chwila milczenia. Garson zajęty przy małym stoliku w głębi, hamuje się, aż wreszcie parska śmiechem. Wszyscy śmieją się).

BORESZA *(z wymówką)* — Łukaszu! Tutaj my się bawimy!

NUNA *(urazona)* — Garson nawet z was się śmieje.

(Łukasz wychodzi, z talerzami na tacy, usiłując zapamiętać nad śmiechem).

HRABIA *(do Radomyskiego, zainteresowany)*—Niech pan powtórzy... Dobrze nie zrozumiałem.

Drugie idzie po a, a, b.

RADOMYSKI — Pierwsze: zwierzę co ma trąbę.

HRABIA (*namyśla się*) — Ach, tak... (*wybuchu śmiechem*). Doskonale!

NUNA (*poważnie*) — Pierwsze — zwierzę, co ma trąbę. (*namyśla się, Radomyski śmieje się*). Głupi jesteś. (*nagle jakgdyby odkryła Amerykę*). Słoń!

HRABIA — Brawo! A dalej?

BORESZA (*robi ruch palcami po stole*) — Drugie idzie po a, a, b.... Uważasz? Słoń tak sobie idzie...

NUNA (*j. w.*) — Ale co to jest a, a, b?
(*śmiech*).

BORESZA (*ojcowsko*) — Trochę uwagi! Co idzie po a, a, b?
(*śmiech*).

NUNA (*urazona*) — Nie rozumiem.

RADOMYSKI — Najśłodsza makolągwa!

NUNA (*wstaje*) — To wcale nie jest zabawne.

HRABIA (*do Radomyskiego*) — Gotowa się obrazić...
Pani się na mnie nie gniewa?

NUNA (*siada przy pianinie i brzdąka*) — Skąd-że znowu.

HRABIA (*do Dymwida*) — Naprawdę, ja z panami dopiero wypoczywam! Wy zawsze wymyślicie coś nowego! Ja wogóle postanowiłem unikać ludzi, którzy mają kłopoty. Po pierwsze, tacy ludzie są nudni, powtóre zaś, łatwo mogą się poślizgnąć, zrobić coś niehonorowego...

RYMWID — Ja podzielam w zupełności pogląd hrabiego.

HRABIA (*ciszej*) — Tylko pan Zahorski jest dziś bez humoru. Wczoraj podobno znowu przegrał.

RYMWID — On gra jak warjat.

RADOMYSKI — Lubię takich warjatów, zwłaszcza gdy mają pieniądze. Foka staje się coraz rzadszym zjawiskiem.

HRABIA — Czy to uregulowane?

RADOMYSKI (*niedbale*) — Jeszcze nie, ale będzie...

NUNA (*przy pianinie*) — Jabym dzisiaj pojechała do cyrku.

RYMWID — Chcesz, to pošlę po lożę. Boresza z tobą pójdzie. (*do Boreszy*). Dobrze? A może i Bronka?

NUNA — Kiedy ona już nie przyjdzie.

SCENA 2.

CIŻ — BRONKA — SAPERNICKA

(*Drzwi nagle się otwierają i wpada Bronka, za nią toczy się Sapernicka. Bronka podniecona i zdenerwowana*).

BRONKA (*sztucznie ożywiona*) — Bardzo się spóźniłam? Przepraszam... Nie mogłam wcześniej. Jużeście pewno po obiedzie? O, i hrabia! (*wita się*). Dobry wieczór?! (*wita się z Nuną*).

SAPERNICKA (*wita się*) — Dobry wieczór! Moje uszanowanie!

NUNA (*dystyngowana*) — Cóż się stało, że pani tak późno?

BRONKA — Spieszyłam się tak, że kapelusz pewno włożyłam na bakier. (*do Radomyskiego*). Niech

mi pan da wina. *(do Zahorskiego)*. Nie gniewasz się. *(pije)*.

ZAHORSKI *(sztuczny)* — Jesteś głodna?

BRONKA — Nie. Tylko pić mi się chce. *(pije)*. Apetyt przeszedł mi zupełnie. Ale ciocia!

SAPERNICKA *(zrezygnowana)* — Ja zjadłam w domu parę serdelków.

NUNA — Któż panią zatrzymał tak długo?

BRONKA — Krawcowa. Przymierzałam nowy kostjum.

NUNA *(uśmiecha się złośliwie)* — I u krawcowej jadła pani obiad!

BRONKA *(wyzywająco)* — Czego pani się śmieje?

NUNA *(trochę zmięszana)* — Nic... Mnie to wogóle nie obchodzi...

RYMWID — Pani jeszcze nie zna Nuny i jej słodkiego humorku?

SAPERNICKA *(do garsona, który podał jej kartę potraw)* — Niech będzie indyk. Ale z kasztanami.

BORESZA *(daje dyspozycje garsonowi)* — Przedtem kieliszek koniaku i trochę kawioru. Bronka, powinnaś cośkolwiek zjeść... Tak nie można... Dla zdrowia!

(garson wychodzi).

BRONKA — Niech mi pan da pokój, proszę. Nie będę nic jadła. I jestem zdrowa! *(zbliżyła się do Zahorskiego, bierze go pod ramię i odprowadza parę kroków na przód sceny)*.

BRONKA — Załatwione!

ZAHORSKI *(z ukrytą ulgą)* — Naprawdę?...

BRONKA (*nie patrząc mu w oczy*) — Tak!

(*chwila milczenia*).

ZAROHSKI (*obejrzał się, ciszej*) — Ale... czy dziś jeszcze? Bo wiesz, ja muszę zapłacić jeszcze dziś wieczorem...

BRONKA — Będzie wszystko dobrze... Jesteś kontent?

(*Zahorski bierze jej rękę i chce podnieść do ust, gdy zbliżają się do nich hrabia i Radomyski*).

HRABIA (*całuje rękę Bronki przed Zahorskim*) — Czy myśmy przyszli tu patrzeć na wasze umizgi? Nie macie dość czasu w domu?

RADOMYSKI (*bierze drugą jej rękę*) — Ta kobieta coraz więcej mi się podoba. Ślepie błyszczą jak u kota. (*całuje rękę*).

HRABIA — Rzeczywiście! Dzisiaj jest pani jakaś inna!

BRONKA (*zalotnie*) — Nie podobam się panu?

HRABIA — Przeciwnie. Bardzo. I gdyby pani chciała jeszcze zatańczyć tego cake-walke'a!..

BRONKA — Hrabia jest zawsze taki uparty?

HRABIA — Tak. Pan Zahorski pozwoli, a jeśli bardzo poprosimy, może sam zagra. Ja wczoraj właśnie mówiłem u księżnej Adamowej, że nikt tak nie gra cake-walke'a jak pan...

RADOMYSKI — On rzeczywiście gra z takim hercem!

NUNA — Z którym Hertzem? (*śmiech*).

RYMWID — Z tym twoim znajomym...

ZAHORSKI — Chcecie koniecznie? (*idzie do fortepianu*).

BRONKA (*do Zahorskiego, półgłosem*) — Nie, Olu, ja tańczyć nie będę... Mój drogi!.. Jabym chciała jaknajprędzej stąd pójść... Rozumiesz, ja muszę z tobą pomówić!

ZAHORSKI (*nerwowo*) — Dobrze... dobrze...

HRABIA — W każdym razie obiecał pan zagrać.

(*wchodzi garson i zbliża się do siedzącego już przy pianinie Zahorskiego*).

GARSON (*półgębkiem*) — Ci państwo z gabinetu obok proszą koniecznie jaśnie pana.

BRONKA — Jacy państwo?

NUNA (*od stołu*) — Widziałam, jak wchodziła tam z bratem i bratową ta... lekkomyślna wdowa... No, nie wiecie? Ta bogata...

BRONKA (*odgaduje*) — Pani Weyrichowa?

NUNA — Właśnie... (*do Bronki*). Niech pani się jej strzeże. Ona robi oko do p. Aleksandra.

GARSON (*do Zahorskiego*) — Co mam powiedzieć, jaśnie panie?

ZAHORSKI (*niecierpliwie*) — Dobrze. Później. Teraz nie mogę. (*Uderza w klawisze, gra. Koło pianina stoją hrabia, Radomyski, Rymwid i Bronka*).

BORESZA (*do Nuny*) — Pani jest bardzo złośliwa. Młoda i ładna kobieta powinna mieć przede wszystkim serce.

NUNA — Dużo by mi z tego przyszło! Żeby na starość zbierać kości po podwórzach!

SAPERNICKA (*jedząc*) — Sprawiedliwe słowa, pa-

nie Dominik! Kiedy w tem życiu dobre serce bywa ocenione? Ja sama mogłabym dużo powiedzieć...

BORESZA (*surowy*) — Tylko bez wspomnień, pani Sapernicka. Bardzo prosimy! Bez wspomnień!
(*śmiechy*).

SCENA 3.

CIŻ — GARSON — INKASENT

(*Wchodzi garson i zbliża się na palcach do pianina*).

GARSON (*dyskretnie do Zahorskiego*) — Proszę jaśnie pana!

(*Zahorski nie słyszy, gra dalej*).

BORESZA — Czego Łukasz chce?

(*Garson daje znak, że ma interes do Zahorskiego. Boresza trąca w ramię Zahorskiego*).

ZAHORSKI (*nie przestaje grać*) — Co się stało?

GARSON — Przyszedł jakiś pan i pyta się o jaśnie pana.

ZAHORSKI — Czy nie Schwan?

GARSON — Gdzie zaś, jaśnie panie! Wygląda całkiem po katolicku.

ZAHORSKI (*j. w.*) — Nawet tutaj zawracacie mi głowę. Niech powie, czego chce.

BRONKA (*do Zahorskiego*) — Wyjdź lepiej i rozmów się sam.

NUNA (*do Bronki*) — Pani wie, o co chodzi?

(*Zahorski wstaje od fortepianu*).

BRONKA (*niespokojnie*) — Skądże mam wiedzieć? Ale tutaj nie jest miejsce do załatwiania interesów. Wyjść lepiej.

NUNA — Ja nie mieszam się nigdy do żadnych interesów Felunia. Uważam, że mężczyzna sam najlepiej wie...

BRONKA (*j. w.*) — Ja także się nie mieszam.

HRABIA — Niech pan się nami nie krępuje, panie Zahorski.

ZAHORSKI (*do Boreszy na stronie*) — To pewno pieniądze dla mnie.

BORESZA — Pieniądze? Świetnie! Widzisz, że się jednak znalazły... Tylko nie trzeba tracić otuchy. Wiesz? Każ przynieść tutaj. Niech się przekonają, że masz kredyt. Słowo daję. Zobaczysz, jaką minę zrobi Rymwid! Zaraz stanie się serdecznym.

ZAHORSKI (*waha się*) — Myślisz?

BORESZA — Jak cię Kocham! Trzeba umieć czasem zaimponować.

ZAHORSKI (*do garsona*) — Czegóż stoisz tak nademną? Niech wejdzie!

(*garson wychodzi*).

BRONKA (*poruszona*) — To niema sensu! Olu, ja cię bardzo proszę!

NUNA — Czego się pani tak denerwuje?

ZAHORSKI (*niecierpliwie*) — Istotnie! Mogłabyś mnie zostawić te sprawy. (*idzie ku drzwiom, w których zjawia się inkasent, Bronka odsuwa się do pianina*).

INKASENT — Szwajcar w klubie powiedział mi, że tu zastanę pana Aleksandra Zahorskiego.

ZAHORSKI — Jestem... Czego pan sobie życzy?

INKASENT (*kłania się*) — Z polecenia firmy Meergold mam wypłacić trzy tysiące rubli. Tutaj rachunek i pokwitowanie.

(Zahorski odbiera pieniądze i rachuje).

ZAHORSKI (*z udaną obojętnością*) — Tak?

(przy stole obok drzwi podpisuje kwit ołówkiem, który podał mu inkasent).

RADOMYSKI — Co za uczciwy bank! Z pieniędzmi szukają ludzi po restauracjach. Jeśli mnie szukają, to zawsze po pieniądze!

INKASENT (*tłómaczy się*) — Ta pani mówiła, że pieniądze są potrzebne koniecznie dzisiaj.

NUNA (*żywo*) — Jaka pani?

INKASENT (*zwraca się ku niej*) — Ta, co była po południu u p. Meergolda.

(Spostrzega Bronkę i urywa, zdradzając się wyrazem twarzy. Chwila przykrego milczenia. Zahorski oddaje pokwitowanie i chowa pieniądze. Nuna wybucha ordynarnie złośliwym śmiechem).

NUNA — Bronka!

(chwila milczenia).

INKASENT (*kłania się*) — Moje uszanowanie! (*wychodzi*).

SCENA 4.

CIŻ — bez INKASENTA

NUNA (*śmieje się znowu*) — To dlatego pani się spóźniła!

BORESZA (*uderza w stół*) — Cicho bądź!

NUNA (*obrażona*) — Cóż to znowu? Jest pan ordynarny. Jeśli pan myśli, że ze mną tak można, to się pan grubo myli! (*do Bronki*). Także wybiera pani sobie obrońców!

BORESZA (*gwałtownie*) — Kroćset tysięcy diabłów... Czy pani nie przestanie?

RYMWID (*chłodno*) — Boresza! Uspokój się... Zupełnie ci nie do twarzy z tą gwałtownością!

NUNA (*wściekła*) — Ładne towarzystwo! Chwili dłużej tu nie zostanę. Proszę o mój płaszcz! (*Rymwid podaje jej płaszcz — do Bronki*). Przynajmniej nie powinna pani tak zadzierać nosa!

BRONKA (*wyzywająco*) — Czego pani odemnie chce?

NUNA (*ironicznie*) — O! nic! Zupełnie nic! Może pani sobie załatwiać interesy pana Zahorskiego, jak się pani podoba.

BRONKA (*postępując do niej*) — Co takiego? Niech pani powtórzy.

ZAHORSKI (*pobladł, zmieszany*) — Moja droga, uspokój się... (*Sili się na uśmiech*). W tem wszystkim tkwi jakieś nieporozumienie.

NUNA (*śmieje się złośliwie*) — Nieporozumienie?.. Do widzenia! (*do Rymwida*). Idziesz?

(*Hrabia, Radomyski, Rymwid ubierają się*).

HRABIA — Szkoda! Było tak przyjemnie!

RYMWID (*do hrabiego, półgłosem*) — Nowoczesne zdobywanie Jerozolimy!

ZAHORSKI (*zbliża się do nich, bardzo niespokojny*) — Panowie darują, ja chciałbym wyjaśnić... Nie chciałbym, żeby panowie wyszli pod wrażeniem...

(*Nuna wychodzi*).

RYMWID — Owszem, owszem... Tylko rozumiesz, nie mogę jej puścić samej... Wybacz! Do widzenia.

HRABIA (*do Bronki, oficjalnie*) — Żegnam panią!

(*Kłania się i wychodzi razem z Rymwidem. Przy wyjściu podaje nader chłodno rękę Zahorskiemu*).

ZAHORSKI (*zatrzymuje Radomyskiego*) — Słuchaj, ty przecie wierzysz, że w tej sprawie...

RADOMYSKI (*przerywa*) — Ależ naturalnie.

ZAHORSKI — Powiedz, co ja mam zrobić? Bo coś zrobić trzeba.

RADOMYSKI — Przedewszystkiem nie tracić pewnej miny... Takiej, co mówi: walę w pysk, a potem strzelam się na 15 kroków. (*podaje mu rękę*). Hrabia czeka na mnie.

ZAHORSKI — Zaraz. Weź te pieniądze dla Lutzo-wa. Ja do klubu dziś nie przyjdę.

RADOMYSKI (*bierze i chowa*) — Nie przyjdiesz? Byłoby lepiej pokazywać się jak najwięcej.

ZAHORSKI (*ciszey*) — Może pójdę z Weyrichami.

RADOMYSKI (*zrozumiał*) — A... Dowidzenia. (*wychodzi*).

SCENA 5.

(Bronka stoi nieruchoma przy pianinie. Boresza siada zasępiony przy stole. Zahorski chodzi dużymi krokami. Dłuższe milczenie).

BRONKA — ZAHORSKI — BORESZA —
SAPERNICKA

SAPERNICKA *(do Boreszy, przyciszonym głosem)*
— Co tu się stało?

(Boresza robi niecierpliwy ruch ręką. Bronka wodzi niespokojnym wzrokiem za Zahorskim).

BRONKA *(nieśmiało do Zahorskiego)* — Czy ty się na mnie gniewasz?

ZAHORSKI *(zatrzymuje się)* — Ja? *(wzrusza ramionami i zaczyna chodzić dalej).*

BRONKA *(j. w.)* — Nie chcesz powiedzieć, lecz ja czuję...

ZAHORSKI *(przerywa)* — Moja droga, proszę cię o jedno! Żadnych scen!

BRONKA *(tży w głosie)* — Ja tak nie mogę... Muszę z tobą rozmówić się szczerze.

ZAHORSKI — Byle nie teraz... Widzisz, że wszystko się we mnie trzęsie.

BRONKA — Ja także jestem taka biedna... rozstrojona. Ty się na mnie gniewasz?

BORESZA *(z lekką ironją)* — Skądże by się miał na ciebie gniewać?

ZAHORSKI *(gwałtownie do Boreszy)* — Mój kochany, ty się już do tego nie mieszaj.

BRONKA *(nagle)* — Niech ciocia jedzie do domu. Pan Dominik odwiezie. *(do Boreszy prosząco).*

Pan to zrobi? (*Boresza skinął głową*).

SAPERNICKA (*ogłada z żalem stół*) — Jeśli Bronka chce... (*wstaje i ubiera się. Boresza nałożył pal-
tot, wziął kapelusz i laskę*).

ZAHORSKI — Ja wychodzę także.

BRONKA (*zatrzymuje go*) — Ty musisz zostać...

ZAHORSKI — Jutro, kiedy chcesz, ale nie teraz.

BORESZA — Ja w każdym razie wrócę tutaj...

(*Sapernicka i Boresza spiesznie wychodzą*).

SCENA 6.

BRONKA — ZAHORSKI

BRONKA (*szorstko*) — Zostań! (*po chwili — ciepło*).

Parę słów tylko... Gdyś był u mnie po południu, zdawało mi się, że grozi ci niebezpieczeństwo... Byłeś taki dziwny. Bałam się! (*urywa*).

ZAHORSKI — Czy to już wszystko?

BRONKA — Ty przecie musisz rozumieć. Ja jestem taka nieszczęśliwa! Mam wrażenie, że słońce zaszło, żeby już nigdy nie wzejść, i że naokoło ciemno, pusto, straszno. Olu! przygarnij mię... Mocno! (*chce się przytulić do jego piersi*).

ZAHORSKI (*cofa się odruchowo*) — A nie, moja droga! Do czułości nie jestem usposobiony.

BRONKA (*bezradna*) — Ty nie chcesz powiedzieć, ale masz do mnie żal! Czuję to dobrze. Ja muszę powiedzieć ci wszystko i ty musisz mi odpowiedzieć wyraźnie. Jeśli mnie choć trochę... choć trochę lubisz! (*chwila milczenia, coraz sil-*

niej). Ty nie wiesz wcale, nie możesz wiedzieć, jak ja cię kocham. (*Zahorski robi ruch ręką*). Ja wiem, że ty nie uznajesz takich słów... przepraszam. Nie umiem się powstrzymać. Ciebie tylko jednego kochałam... Dlaczego? Nie wiem. Zdaje mi się, że nie żyłam przedtem, że moje życie zaczęło się, odkąd zostałam twoją. Przepraszam! Ty musisz zrozumieć, że ja żyję tylko myślą o tobie, prócz ciebie nie mam nikogo... nic! Ja chciałabym, abyś był ze mną tak szczęśliwy, jak tylko można być, nawet jak nie można... Nie śmiałam ci tego mówić, lecz tyś musiał odczuwać... musiałeś rozumieć! Twoje pragnienia, twoja wola, to dla mnie wszystko! Takiej miłości nie spotkasz łatwo, Olu! Napewno nie spotkasz! Bo... bo ja jej nawet wytłomaczyć nie potrafię. Ty sam jesteś inny, niż chcesz się wydawać! Jesteś dobry i szlachetny... tylko nie na pokaz! Ale, na prawdę, ty wszystko rozumiesz! (*przysuwa się do niego*). Twojej Bronce jest tak źle! (*chce się do niego przytulić*).

ZAHORSKI (*zimno*) — Więc czego chcesz?

BRONKA (*bezradnie*) — Ty masz do mnie odrazę? (*usiłuje odgadnąć jego myśli*). Tak... ja pojmuję... Ale ty musisz pojąć, ile mnie to kosztowało, zanim zdobyłam się... Sam mówiłeś, że innego wyjścia nie było. Sam mówiłeś, że tylko Meergold...

ZAHORSKI (*szorstko*) — Nie powiesz chyba, żebym cię namawiał!

BRONKA (*z tajoną rozpaczą*) — Nie... Ale zdawało

mi się... zdawało mi się, że tego pragniesz... Jeśli zrobiłam źle, to tylko dla ciebie!

ZAHORSKI — Nie chcę wcale o tem myśleć.

BRONKA — Ja nie zdawałam sobie sprawy... Wiedziałam tylko, że trzeba cię ratować.

ZAHORSKI (*ironicznie*) — Ładny ratunek! (*chodzi po pokoju*).

BRONKA (*nieszczercze*) — Przedewszystkiem... cóż się takiego stało? Nie przypuszczasz chyba, żeby Meergold... albo ja... Olu! Mogę cię zapewnić, że nie masz żadnego powodu... Przyszłam... był bardzo uprzejmy... powiedziałam mu, że potrzebujesz tych pieniędzy koniecznie i prosiłam go, jeśli już nie dla ciebie, to żeby zrobił to dla mnie. On trochę się drożył... i potem zgodził się... i nie było więcej nic... Mogę ci przysiąc...

ZAHORSKI (*szorstko*) — Cóż mnie to może obchodzić?

BRONKA (*nierozumnie*) — Jakto?

ZAHORSKI (*zatrzymuje się przed nią*) — Nie, wiesz, ja mam dosyć tych czułych frazesów! Czy ty nie jesteś w stanie zrozumieć, jak mnie urządziłaś? Czyś nie słyszała tego śmiechu... (*urywa*). Nie widziałaś, jak hrabia pożegnał się ze mną? Ledwo rękę mi podał. Tak samo Rymwid, — nawet Radomyski?

BRONKA (*z rozpaczliwym uporem*) — Kiedy mówię ci, że mogę przysiąc... pocałował mnie raz czy dwa w rękę! Nic więcej!

ZAHORSKI (*wściekły*) — A niechby cię pocałował pięćdziesiąt razy! Wszystko mi jedno. (*Bronka*

patrzy na niego osłupiałym wzrokiem). Ślicznie opowiadasz swoje romanse, ale byłoby lepiej, żebyś miała trochę więcej oleju w głowie. Jak można było coś podobnego zrobić? Kto ci podsunął tę myśl, żeby posyłać inkasenta tutaj?

BRONKA (*wciąż nie rozumie*) — Sądziłam, że tak odemnie brać te pieniądze... byłoby ci nieprzyjemnie...

ZAHORSKI — Nieprzyjemnie? A teraz wszyscy wiedzą... Jutro całe miasto będzie plotkować, żeś ty dla mnie... Czy ty rozumiesz, że mogę być okrzyczany za człowieka bez czci i wiary, za zwyczajnego alfonsa? Ja po prostu nie wiem, co teraz robić! Ziemia usuwa mi się z pod nóg.

BRONKA (*patrzy na niego pół-przytomnie i jakby szukając oparcia, siada bezradnie, chwila milczenia*) — Więc tobie tylko o to chodzi?

ZAHORSKI — To może mało? Nie wystarcza?

BRONKA — Ja boję się zrozumieć... Tak chyba nie może być... Ty jeden byłeś mi wszystkim, pójść tam... to było poświęcenie... nad siły, to było gorsze od wszystkiego! Ja jednak rozumiałabym, gdybyś do mnie z tego powodu nabrał wstrętu, ponieważ ja... to byłoby okropne... ale ja musiałabym pojąć...

ZAHORSKI (*brutalnie*) — Proszę cię, nie zwracaj mi już głowy tem poświęceniem.

BRONKA (*budzi się w niej zwolna gniew*) — Ja przecież mówiłam ci, pytałam się... Nie możesz zaprzeczyć, żeś sam chciał... I te pieniądze przyjąłeś i nawet je oddałeś już Radomyskiemu.

ZAHORSKI (*ironicznie*) — Miałem może wywołać jeszcze większy skandal?

BRONKA — Tylko o skandal ci chodzi? O nic więcej? Słuchaj. Teraz będę zupełnie szczerą... Gdym szła do Meergolda, nie myślałam o niczem, tylko żeby ciebie ratować!.. Ciebie i siebie! W głowie mi się mąciło. Widziałam cię leżącego na podłodze, bez życia, broczącego krwią... Widziałam cię, idącego do ślubu z tą... bogatą panią... Nie zastanowiłam się... nie umiałam myśleć... Ale potem, gdym wychodziła... Bo ja przedtem mówiłam nieprawdę... Ja tych pieniędzy nie byłabym *inaczej* dostała. Rozumiesz? Ja musiałam zapłacić! I kiedy wychodziłam od Meergolda, wtedy dopiero pojęłam, co się stało... Gdyś przed chwilą odtrącił mnie... dusza we mnie umierała... ale rozumiałam, że nie możesz się przemóc! To, co teraz czuję, jest gorsze... Ciebie tamto nic nie obchodzi? Ani mój ból, moja rozpacz? Byłam dla ciebie zabawką, niczem?.. Co teraz będzie?

ZAHORSKI (*zimno*) — Nie wiem!

BRONKA (*gwałtownie*) — Nie wiesz?

(*pukanie w drzwiach, wchodzi garson*).

SCENA 7.

CIŻ i GARSON

GARSON — Proszę jaśnie pana, ci państwo obok proszą, żeby pan do nich przyszedł.

ZAHORSKI — Powiedz, że zaraz przyjdę.

GARSON — Do usług jaśnie pana. (*wychodzi*).

SCENA 8.

BRONKA — ZAHORSKI

BRONKA — Chcesz do nich iść? Do pani Weyrichowej?

ZAHORSKI — Chyba mi wolno?

BRONKA — Może... może teraz się z nią ożenisz?

ZAHORSKI (*nieszczercze*) — Teraz jestem od tego bardzo daleki... Ale to byłoby najsmądniejsze...

BRONKA (*hamuje się*) — Olu! Ty tego nie mówisz serjo!

ZAHORSKI — Możesz przez chwilę mówić rozsądnie? Jestem zrujnowany. Nikt grosza nie chce mi pożyczyć. Jeśli dzisiejsza historia rozniesie się po mieście, będę do reszty skończony. Wyrzucą mię z klubu. Za tydzień lub dwa zejdem do rangi Boreszy... Zupełny koniec...

BRONKA — A teraz jeszcze możesz się sprzedać?

ZAHORSKI — Nie rób melodramatu... Gdy się ma pieniądze, można sobie drwić z plotek... Lecz jeśli się nie ma całych butów...

BRONKA (*z tajoną rozpaczą*) — To nie może być, żebyś ty tak myślał! Żebyś ty tak myślał naprawdę!

(*drzwi uchylają się, zagląda Boresza*).

SCENA 9.

CIŻ — BORESZA

BORESZA — Czy można?

ZAHORSKI (*chłodno*) — Proszę cię. Bardzo rad je-

stem, że przychodzisz, bo ja muszę iść. (*kładzie paltot*).

BRONKA (*wstaje żywo*) — Ty pójdziesz tam? (*wskazuje przez ścianę*).

ZAHORSKI — Tak!

BRONKA — Nie zrobisz tego! Olu! Ty tego zrobić nie możesz!

ZAHORSKI (*niecierpliwie*) — Proszę cię... już dosyć!

BRONKA — Ja mam także pewne prawa... Byłam ci wierną, jak pies. Dla ciebie rzuciłam magazyn... Kazałeś mi wstąpić to teatru. Robiłam wszystko, co chciałeś... Czekałam twego skinienia. I rujnowałeś się nie na mnie. Te biżuterje, które mi kiedyś dałeś, zastawione. Wiesz, kiedy i dla kogo. Na obiad nieraz musiałam pożyczać od ciotki... albo od pana. (*wskazuje na Boreszę*).

ZAHORSKI (*niecierpliwie*) — Ja wiem i możesz być pewną, że skoro tylko będę mógł...

BRONKA — Nie o to teraz chodzi. Robiłam wszystko... co mogłam. Nareszcie to, co dziś...

ZAHORSKI (*przechodzi, przerywa do Boreszy*) — Mój drogi, ja już dłużej nie mogę... Wytłomacz jej, powiedz, co chcesz, ja idę... (*zmierza ku drzwiom*).

BRONKA (*zastępuje mu drogę*) — Olu! Nie idź tam... Dziś przynajmniej! Dziś nie opuszczaj mnie... Przepaść rozwarła się przedemną. Zatrzymaj mnie, podaj rękę, przygarnij, bo zwalę się w tę straszną przepaść. Nie opuszczaj mię!..

ZAHORSKI — Kto nawarzył piwa, ten musi je wypić... Pomówimy jutro spokojnie. Do widzenia!

(do Boreszy, który stoi obok). Do — — — widzenia! (wyciąga doń rękę, Boresza nie podaje swojej).

ZAHORSKI (podniesionym głosem) — Co to ma znaczyć? Ja ci podaję rękę!

BORESZA (ręce w kieszeni) — A ja nie!

ZAHORSKI — Ty... ty pieczeniarku, śmiesz...

BORESZA — Ani słowa więcej, bo...

ZAHORSKI — Z tobą porachuję się kiedyindziej!
(wychodzi szybko).

SCENA 10.

BORESZA — BRONKA

(Bronka jest tak wzruszona, że ostatniego przemówienia się Boreszy i Zahorskiego nie zrozumiała. Siadła, głowę oparła na rękach. Chwila milczenia).

BRONKA — Panie! Co teraz będzie...

BORESZA — Dasz sobie radę bez niego...

BRONKA — Ale mnie jest tak źle!.. Ja nie mogę się pogodzić z myślą, że on odszedł... że może nie wróci... To wszystko jest, jak zły sen... Ja chcę się obudzić, rozumie pan, ja dłużej nie mogę...

BORESZA (zbliża się do niej ciepło) — Gdybyś wiedziała, jak ja ci szczerze współczuję...

BRONKA (przerywa) — Ja nie potrzebuję pańskiej litości, ani pociechy. Pan jest taki sam, jak oni wszyscy, może gorszy jeszcze.

BORESZA — Proszę cię, nie krępuj się. Ze mną nie potrzeba się krępować. Słyszałaś, przed chwilą tamten nazwał mnie pieczeniarkiem... A ja nie

mogłem wsadzić mu tego słowa z powrotem w gardło. Po raz pierwszy uczułem całą krew tu! (*uderza się w skroń*).

BRONKA (*gorzko*) — Dobrana z nas para!

BORESZA — Ty masz dwadzieścia dwa lata. Ja jestem stary. Ty masz życie przed sobą. Tylko trzeba umieć żyć. Ja dopiero teraz czuję, że nie umiałem...

BRONKA — Cóż panu złego się stało? Mnie roztopionego żelaza wleli do serca... i boli... boli!

BORESZA — Co ty wiesz!

BRONKA (*głowa oparta na rękach*) — To nie może być, żeby on był taki zły! Żeby mnie opuszczał teraz właśnie. Niech pan powie. Czy to może być... (*chwila milczenia*). Czy pan myśli, iż on poszedł do niej?

BORESZA — Nie wiem...

BRONKA — On może na razie nie zdał sobie sprawy... Wytrącili go z równowagi... Lecz gdy się zastanowi, — niepodobna, aby tam został, aby mógł bawić się, dowcipkować, zalecać się innej kobiecie... Prawda? To niemożliwe!

BORESZA — Nie wiem...

(*w tej chwili przez scenę odzywają się dźwięki tego samego, co na początku aktu cake walka*).

BRONKA (*słucha z rosnącym wzruszeniem, zrywa się z krzesła*) — Panie! To on gra!

BORESZA (*nieszczęrze*) — Zdaje ci się...

BRONKA (*nadśłuchuje*) — To on... z pewnością on... Niech pan nie kłamie. I pan poznaje. On teraz

dla tamtej! (*wybuchła śmiechem*). Ha! ha! ha!
Tylko wesoło, z humorem! A ja myślałam, że
serce mi pęknie! Głupstwo! Tylko wesoło! Skoń-
czyło się. Byłam złą uczenicą. Zobacz pan,
jaką będę teraz... Pańskie lekcje nie pójdą na
marne...

BORESZA — Moje lekcje!..

BRONKA — Czy pan zapomniał? Więcej tempera-
mentu! Z hercem!.. (*śmieje się*) ha! ha! ha! Jaka
ja byłam głupia. Mocniej! Prędziej! (*w pół przy-
tomnem podnieceniu zaczyna śpiewać i tańczyć
cake-walka*).

BORESZA (*chwyta ją za rękę*) — Bronka! Uspokuj
się! Co tobie jest?

BRONKA (*zatrzymuje się*) — Nic! nic! Boże... (*wy-
buchła głośnem łkaniem i rzuca się na krzesło,
kryjąc głowę w dłoniach*).

Zasłona spada b. wolno.

A K T III.

Dekoracja ta sama, co w pierwszym akcie.

SCENA 1.

BRONKA — SAPERNICKA — BORESZA — potem
SŁUŻĄCA

(*W chwili podniesienia zasłony Boresza siedzi w fotelu i czyta
gazetę*).

BORESZA (*odkłada gazetę, zwraca się ku drzwiom
na lewo*) — Bronka! Spiesz się. Dochodzi trze-
cia.

BRONKA (za sceną) — Zaraz będę gotowa.

SAPERNICKA (za sceną) — Pan Dominik tylko przeszkadza swoim gadaniem. Ukłułam się w palec.

BORESZA (wyjmuje stary, gruby pugilares i szuka w nim) — Dam pani plasterek angielski. (wstaje i idzie ku drzwiom). Proszę... (podaje przez drzwi). (Siada przy pianinie i jednym palcem brzdąka piosenkę, którą za chwilę będzie śpiewać Bronka).

BRONKA (wchodzi w kostjumie teatralnym, fantazyjnym. Krótka spódniczka, stanik dekolowany, kapelusz) — Dobrze?

BORESZA (ogląda ją okiem znawcy) — Dobrze! Sznyt jest! (nieuważnie). Wiesz, Oleś miał dobry gust, wybierając ten kolor. Ciekawy jestem, coby powiedział.

BRONKA — Będzie pan mógł zaspokoić swoją ciekawość.

BORESZA (zdumiony) — Jakto? On tu przyjdzie?

BRONKA (złośliwie) — Przyjdzie!

BORESZA — Prosiłaś go?

BRONKA — Nie wiem tylko, czy mu moje zaproszenie zrobiło przyjemność.

BORESZA (z wyrzutem) — Bronka!

BRONKA — E! Niech mi pan da pokój! Ja muszę wreszcie rozmówić się z nim stanowczo. On i dziś myśli, że się wykręci. Nie. Dzisiaj nie skończy się na ogólnej rozmowie.

BORESZA — W takim razie ja lepiej pójdę.

BRONKA (lekceważąco) — Niech pan nie robi

awantur. Pan go wcale nie widział od tego obiadu?

BORESZA — Nie... Nie byłem przecież na tej kolacji, na której pogodziłaś się z Nuną. (*z odzieniem dumy*). Radomyski ciągnął mnie... nie poszedłem. Ja szukam, proszę cię, serca... (*wskazuje na serce*). Życie może zrobić z człowieka oszusta, złodzieja, a mimo to zostaje w nim ludzkie uczucie. Nie można sądzić ludzi tylko z tego, co robią. Trzeba zapytać się, dlaczego tak robią, jak kształtowało się ich życie... (*chwila namysłu*). Oleś jest przedewszystkiem egoistą. On lubi tylko to, co mu jest wygodne, albo przyjemne. Lecz tam!... (*dotknął serca*). Ja ci powiem, ja straciłem dla tego chłopca serce.

BRONKA (*lekceważąco*) — To mu snu nie odbierze.

BORESZA — Jesteś dziś nie w humorze...

BRONKA (*nieszczercze*) — Ja? Przeciwnie!

BORESZA — A z tobą, czy mówił?...

BRONKA — O czym?

BORESZA — No... nie wiem... Ta wasza rozmowa w gabinecie nie miała dalszego ciągu?

BRONKA (*smutniej*) — Nie... Powiedziałam panu... nie byliśmy nigdy sami... Czy pan nie uważa, iż on się bardzo zmienił?

BORESZA — Nie, on się nie zmienił. To ty widziałas w nim przedtem to, co chciałas widzieć.

BRONKA — Pan wogóle nic nie słyszał?...

BORESZA (*nieszczercze*) — Nic...

BRONKA (*patrzy nań uważnie*) — Pan nie mówi prawdy.

BORESZA (*niechętnie*) — Po cóż powtarzać plotki...

BRONKA — Jakie plotki?

BORESZA (*j. w.*) — E!

(*wchodzi Sapernicka*).

SAPERNICKA (*do Boreszy*) — Jakże się panu podoba kostjum?

BORESZA (*skwapliwie*) — Doskonały. Jestem zupełnie zadowolony. Pani mówiła, że ten kapelusz nie będzie pasował. Kto miał rację?

SAPERNICKA (*pokazuje na nogi*) — Jabym spaliła się ze wstydu.

BORESZA — W starym piecu djabeł pali.

SAPERNICKA (*urazona*) — Cóż to znowu za dowcipy! Bardzo proszę.

BRONKA — Niech pan powie, o jakich plotkach pan słyszał?

SAPERNICKA (*nieważnie*) — Pan słyszał także?

BRONKA — I ciocia również? Wszyscy wiedzą, oprócz mnie... (*rozkazująco*). Co ciocia słyszała?

SAPERNICKA (*zmięszana*) — Kiedy to może próżna gadanina!

BORESZA — Proszę cię, kiedy tak, to ja już nie będę obwijał w bawełnę. Słyszałem, że wziął się na ostre do Weyrichowej.

SAPERNICKA — I że ma się z nią żenić.

BORESZA — Ale to wcale nie jest jeszcze pewne. (*Bronka siada bezradnie na krześle. Chwila milczenia*).

BORESZA (*ciszej do Sapernickiej*) — Pani zawsze musi wyrwać się, jak dziura w moście. Będzie się teraz martwić i po co, pytam się, proszę?

BRONKA — Martwić się? Teraz? (*śmieje się*).
Niech się pan nie niepokoi! Ja płakałam wtedy.
Ale teraz... To będzie tylko zabawne... (*ze łzami w głosie*). Bardzo zabawne!... (*tai łkanie w poduszkach szezlongu*).

SAPERNICKA (*sentencjonalnie*)—Mężczyźni wszyscy tacy sami...

BORESZA (*łagodnie*) — Bronka, uspokuj się...

BRONKA — Śmieszny pan jest! Panu o to chodzi, żebym nie miała czerwonych oczów, kiedy tamci przyjdą? Nigdy nie byłam spokojniejszą. Chcę tylko wiedzieć całą prawdę. Chcę wiedzieć, zanim on tu przyjdzie.

BORESZA — Daję ci słowo honoru, że więcej nic nie wiem. (*wpatruje się w nią ze współczuciem*).

SAPERNICKA — Mnie mówiła panna Nuna. Ale ona sama nie wierzy w to, co gada...

BRONKA (*niecierpliwie*) — Niech pan na mnie tak nie patrzy! Pan może myśli...

BORESZA — Ja nic nie mówię!

BRONKA — Pan sądzi, że to głupstwo! Bo cóż taka Bronka? Zabawka dla eleganckich panów!
Gdy przestanie bawić, odrzuca się ją, jak lalkę.

BORESZA — Jesteś niesprawiedliwa.

BRONKA — A wobec mnie on jest sprawiedliwy?

(*w przedpokoju dzwonek*).

BRONKA (*do Sapernickiej nerwowo*) — Niech ciocia zobaczy, kto dzwoni?

(*Sapernicka uchyla ostrożnie drzwi do przedpokoju*).

SAPERNICKA — Hrabia Horyński!

BRONKA — Raz przyszedł w porę. Idźcie stąd. Zostawcie mnie samą.

BORESZA (*niespokojnie*) — Bronka, ja cię proszę...

BRONKA — Do czego pan się miesza? Niech pan idzie, prędko (*popycha Boreszę i Sapernicką do drzwi na lewo*).

(*wchodzi służąca*).

SŁUŻĄCA — Pan hrabia Horyński pyta, czy pani przyjmuje?...

BRONKA — Proś!

(*służąca otwiera drzwi od przedpokoju*).

SCENA 2.

BRONKA — HRABIA

(*Hrabia staje w pobliżu drzwi i daje znaki niemego zachwytu*).

BRONKA (*zalotna*) — Dzień dobry! Hrabia nie wita się?

HRABIA — Zamieniłem się w słup soli.

BRONKA (*j. w.*) — Kara za niepotrzebną ciekawość?... Podobam się panu?

HRABIA — Bajecznie!

BRONKA — Naprawdę?

HRABIA — Mam złożyć przysięgę?

BRONKA — Bo dzisiaj sprawia mi to wielką, wielką przyjemność.

HRABIA — Dziś tylko?

BRONKA — Dodaje otuchy.

HRABIA — Nie rozumiem. (*siadają*).

BRONKA — Straciłam wiarę, że jeszcze podobać się mogę.

HRABIA — Pani żartuje!

BRONKA — Wcale nie. Hrabia zresztą mówi tylko tak... przez grzeczność... i ze współczucia dla biednej, opuszczonej...

HRABIA — Opuszczonej?

BRONKA — Hrabia wie przecież dobrze... Po co udawać? Zresztą widzi pan, że nie rozpaczam nad swoim losem.

HRABIA (*nieważnie*) — Pani wie?...

BRONKA — Że Oleś żeni się z panią Weyrichową? Oczywiście.

HRABIA — Mówił już pani?

BRONKA — Czyż takie rzeczy dadzą się utaić?

HRABIA — Ja myślałem, że dla pani będzie to wielkiem zmartwieniem.

BRONKA (*hamuje się widocznie*) — Alboż dla niego było inne wyjście? Obawiałam się tylko, czy to małżeństwo przyjdzie do skutku. Powiedzieć prawdę? Ja jeszcze dziś niezupełnie wierzę... Jej rodzina nie zgodzi się.

HRABIA — Co też pani mówi! Dziś odbyło się śniadanie, na którym oficjalnie zamienili pierścionki.

BRONKA (*nie może pohamować się dłużej*) — Dziś? Oficjalnie? (*kryje twarz w dłoniach*).

HRABIA (*przerazony*) — Co pani jest?

BRONKA — Nic! Nic!

HRABIA (*domyślił się podstępu*) — Pani... Tak... Pani wywiodła mię w pole... A ja dałem się zła-

pać! Teraz wstyd mi, doprawdy... I nie myli-
łem się wcale, że ta wiadomość... Pani płacze?
BRONKA — Nie, nie... Zaraz... (*odśłania twarz*).
Już dobrze.

HRABIA — Pani płakała?

BRONKA (*sili się na uśmiech*) — Już minęło.

HRABIA — Niech pani się nie martwi!

BRONKA (*śmieje się sztucznie*) — Pan także?
Niechże pan da pokój tym pociechom! Takie
współczucie gorsze od jałmużny. Ja miałabym
się martwić? Niech pan spojrzysz w te oczy! Czy
one na to stworzone, żeby płakały? Niech pan
spojrzy na te usta! Czy nie szkoda by ich było
na wyrzekania i skargi? Nie, nie! Życie jest
przecież dość wesołe!

HRABIA — Pani jest zdenerwowana!

BRONKA — Zdenerwowana? Tak, trochę... (*odwra-
ca się i znowu kryje twarz w dłoniach*).

HRABIA — Pan Zahorski nie zasługuje, żeby pani...
(*urwał*).

BRONKA (*podniosła głowę*) — Żebym co?...

HRABIA — Ja wogóle pani nie rozumiem...

BRONKA (*przesuwa mu dłonie koło nosa*) — Po co
pan ma rozumieć? To niepotrzebne i zbyteczne.

HRABIA (*chce chwycić zębami palec*) — Ugryzę!

BRONKA — Trzeba mieć takie ostre zęby, jak ja.
(*przeciąga się kocim ruchem*). Jabym teraz gry-
zła, gryzła...

HRABIA — Jest mi niezmiernie przykro, że przez
moją gadatliwość...

BRONKA (*przerywa*) — Dowiedziałabym się od ko-

go innego. On zresztą będzie tu dzisiaj... (*śmieje się*). Mamy rozmówić się ostatecznie. Chciałby pan być przy tej rozmowie?

HRABIA (*bardzo szczerze*) — Ja! Za nic w świecie.

BRONKA (*szyderczo*) — To będzie bardzo interesujące. Ale bez dramatu, drogi panie! Bez dramatu! Jestem artystką operetki. Chcemy się śmiać, bawić... Prawda?

HRABIA — Pani mię niepokoi... Ale wygląda pani ślicznie.

BRONKA (*szyderczo*) — Teraz zawsze będę śliczna... O to przecież chodzi, żebym wyglądała ślicznie, i żebym była wesoła, zabawna. Wogóle teraz będę się już tylko śmiała!

SCENA 3.

CIŻ — NUNA — RADOMYSKI — RYMWID —
SAPERNICKA — BORESZA

BORESZA (*uchyla drzwi z lewej strony*) — Bronka!
Masz gości.

BRONKA — Wiem. Czy pan się wstydzi wejść?

BORESZA (*wita się z hrabią*) — Sługa hrabiego.

HRABIA (*uprzejmy*) — Witam pana, panie Boresza.

(*wchodzą: Nuna — Radomyski — Rymwid*).

RADOMYSKI (*wesoło*) — Pokój temu domowi.

NUNA — Nie przeszkadzamy?

(*powitania*).

RYMWID — Hrabia wszędzie musi nas uprzedzić!

RADOMYSKI (*staje przed Bronką i deklamuje patetycznie z ręką na sercu*) — Dusza ma rozję-
[czała się, jak szloch aniołów...

O wy! Co zasiadacie do biesiadnych stołów,
Wy, co milczącym wrzaskiem drwicie z cudów
[szczytu,

Gdy myśl wieszczka wglębia się w prały wszech-
[bytu.

(*całuje Bronkę w rękę*). To nie ja wymyśliłem.
Wyjątek z poezyi, które pisuje do Nuny jej
aptekarz.

HRABIA (*śmieje się*) — Paradne!

NUNA — Jak się pani miewa? Więc to jest ów ko-
stjum? (*przygląda się*).

RYMWID (*wskazuje na Radomyskiego*) — Teraz
wiem, dlaczego on milczał przez całą drogę.
Układał swój poemacik.

BORESZA (*zadowolony*) — Cóż? Udała się nam
Bronka.

RADOMYSKI — Boska!

NUNA (*kostycznie*) — Pani będzie się w tem poka-
zywała na scenie?

BRONKA — I jak jeszcze! Niech pani patrzy. (*od-
stępuje parę kroków, unosi z lekka spódniczkę
i nuci melodje swojej piosenki*).

RYMWID i RADOMYSKI — Bravo! Jeszcze!

HRABIA — Nadzwyczajnie! Co za ogień!

BORESZA — Moja szkoła! (*siada przy pianinie
i gra. Bronka śpiewa i tańczy*).

HRABIA — Brawo!

*(wszyscy klaszczą w dłonie i wołają: Brawo!)
(Bronka rzuca się wreszcie zmęczona na szezlong).*

HRABIA — Będzie miała pani szalone powodzenie!
RADOMYSKI *(do hrabiego)* — Widzę, że nam obu grozi jedno nieszczęście... Ja już czuję, że będę się kochał.

(Boresza trzyma się zdaleka, posępny).

HRABIA — Ja także...

BRONKA *(zalotna)* — Dlaczegoż miałoby to być nieszczęściem?

RADOMYSKI — Pani jest równie uroczą, jak niedostępną.

HRABIA — Forteca nie do zdobycia.

BRONKA — Zrobił się w niej duży wyłom. *(do Rymwida)*. Czy pan Zahorski nie przyjdzie?

NUNA *(zdumiona)* — Pan Zahorski?...

RYMWID — Zaraz przyjdzie. Byliśmy razem na śniadaniu.

BRONKA *(ironicznie)* — Ach, więc i pan był na tej uroczystości rodzinnej! Winszuję. Dał pan swoje błogosławieństwo? Ja już dałam.

NUNA *(do Boreszy)* — Co to ma znaczyć?

(Boresza wzrusza ramionami. W drzwiach z lewej strony pojawia się Sapernicka).

SAPERNICKA *(dyga)* — Moje uszanowanie państwu.

RADOMYSKI (*wyciąga do niej ramiona*) — Ciocia Sapernicka. Najśłodsza makolągwa!

(*powitania*).

BRONKA (*w sztucznej podnieceniu*) — Po przedstawieniu wyprawicie mi kolację. Ale pierwszej klasy! Przyjdę w kostjumie. Sprowadzicie muzykę. Szampan będzie się lał. Ciocia będzie tańczyć kankana. Tak! (*robi kilka ruchów kankanowych*).

SAPERNICKA — Co też Bronka wygaduje! Grzech pomyśleć.

BRONKA (*j. w.*) — Trzeba umieć odegrać swoją rolę... nietylko na scenie! Ja moją pojnowałam fałszywie. Byłam nudna, prawda?

HRABIA — Ja tego nie zauważyłem.

BRONKA (*przerywa*) — Teraz podobam się panu lepiej? Pozbyłam się tego, co wam przeszkadzało. Nie lękajcie się, nie wróci. (*do hrabiego*) Czy pan mnie nie zna, że mi się pan tak przygląda? (*nagle*). Umie pan skakać?

HRABIA (*zdumiony*) — Ja?

RADOMYSKI — Ja potrafię...

BRONKA (*bierze z rąk Rymwida laskę i ustawia ją jak dla psa*) — Kto mię kocha, ten będzie skakał. No, prędzej. Kto chce się we mnie kochać?.. Hrabio!

SAPERNICKA — Pan hrabia może się obrazić.

BRONKA — Bardzo proszę! Jak hrabiemu się podoba... (*do Radomyskiego*). A pan?

RADOMYSKI (*przeskakuje*) — Ja już!

- BRONKA (*do Boreszy*) — Pan nie chce?
- RYMWID — On będzie służył na dwóch łapkach.
- BORESZA (*podrażniony*) — Proszę cię bardzo! Wobec kobiety można udawać nawet pudła. To ujmemy honorowi nie czyni.
- NUNA (*ironicznie*) — Jeszcze nigdy nie widziałam pani w takim humorze. Czy panią spotkało co dobrego?
- BRONKA — Coś niesłychanie dobrego.
- RADOMYSKI — Można składać życzenia?
- BRONKA — Można. Przekonałam się, że byłam głupia...
- NUNA (*ironicznie*) — I z tego pani się cieszy?
- BRONKA — Tak, bo zrywam z tą przeszłością. (*do Rymwida, który stoi przy Nunie*). Teraz zatańczymy innego kadryła, kochany margrabiou! Będę się trzymała pańskich nauk.
- RYMWID — Pani ma przyszłość! Ja to pani mówię, a ja się na tem znam!
- HRABIA (*bierze pod rękę Boreszę na bok*) — Pan miałeś słuszność! Ja się na niej nie poznałem. Ona jest bardzo interesująca.
- BORESZA — Dziś jest bardzo zdenerwowana.
- HRABIA — To nic. Jest bardzo interesująca. (*zbliża się do Bronki*). Czy to byłoby bardzo śmieszne, gdybym ja się w pani naprawdę zakochał?
- BRONKA — Z nas dwojga, śmiałabym się pewno tylko ja... Niech pan da pokój. To byłoby teraz kosztowne. Pan jest bogaty, ale oszczędny.
- HRABIA — Jestem gotów do szaleństw, gdy mi się kobieta podoba.

BRONKA — Mnie się podoba egretka brylantowa, którą widziałam u Mankielewicza. Pasowałaby mi do tego kostjumu.

HRABIA — Prawdziwe brylanty na scenę? Któż widział! Tylko sztuczne... Jeśli pani chce...

BRONKA (*przerywa w śmiechu*) — Słyszycie? Chce mi ofiarować imitację! Panie drogi. Za fałszywą miłość płaci się zawsze prawdziwymi brylantami!

NUNA — A za prawdziwą?

BRONKA (*nagle poważnieje*) — Prawdziwą miłość okupuje się łzami.

(*chwila milczenia*).

RADOMYSKI — Czy to ta egreta, co jest wystawiona w oknie?

BRONKA (*poszła w głąb*) — Ta sama. (*do Hrabiego*). Zdaje mi się, że pan ma rywala... Może mam urządzić licytację?

HRABIA (*do Boreszy*) — Drogo kosztuje ta egreta?

(*Boresza ruchem ramion odpowiada, że nie wie*).

RYMWID — Brawo! Hrabia zaczyna się wahać... Będziemy musieli rozciągnąć nad hrabią kurtelę.

BRONKA (*drwiąc do hrabiego*) — Jeśli pan potrzebuje troskliwej opieki, mogę panu odstąpić ciocię.

(*śmiech*).

NUNA — Hrabia będzie wyjeżdżał na spacer z ciocią.

SAPERNICKA (*serjo*) — Jaby m się nigdy nie zgodziła. Coby sobie ludzie pomysleli. (*śmiej*).

(*w drzwiach od przedpokoju pojawia się niezauważony przez obecnych Zahorski*).

BRONKA — Doskonała myśl!.. Wyobraźcie sobie, co za widok. Rozrzutny hrabia pod opieką cioci! Ciocia w kapeluszu z fijołkami.

(*nagle spostrzega Zahorskiego i urywa; wszyscy odwracają się w jego stronę*).

SCENA 4.

CIŻ — ZAHORSKI

RYMWID — Oleś! (*idzie ku niemu*).

RADOMYSKI — Wszedł jak duch, przez ścianę!

(*Bronka nie rusza się z miejsca*).

ZAHORSKI (*do Boreszy*) — Jak się masz? Nie chciałem przeszkadzać w zabawie. (*zbliza się do Bronki*). Dzień dobry!

(*Bronka zawahała się, podaje rękę*).

BRONKA (*matowym głosem*) — Dzień dobry!

ZAHORSKI — Ah, więc to jest ów strój? Bardzo ładny... Bardzo... Z czegoż panowie się tak śmieli?

NUNA — Panna Bronka jest dziś w świetnym humorze.

RADOMYSKI — Odsłania się w niej nowy talent.

RYMWID (*wskazuje na Radomyskiego*) — W nim zbudziło się serce. W tych dniach wzbogaci literaturę wekslową kilkoma nowemi autografami.

ZAHORSKI (*j. w. do Boreszy*) — Daśasz się jeszcze?

BORESZA (*zakłopotany*) — Nie... Wyglądasz doskonale.

ZAHORSKI (*ze sztuczną swobodą*) — Porządne życie, mój drogi. Bierz przykład. Na odmianę śpię teraz w nocy, nie w dzień.

BORESZA — Co za upadek!

ZAHORSKI (*sentencjonalnie*) — Każdego z nas czeka upadek taki lub inny...

NUNA (*po namyśle*) — Dlaczego pan nazywa upadkiem, jeśli kto śpi w nocy? W takim razie i ja upadłam.

(wszyscy się śmieją, prócz Bronki).

RADOMYSKI (*wylany*) — Nuna! Skarbie najcenniejszy.

RYMWID (*naśladuje Boreszę, do Nuny*) — Ja ci to zaraz wytłomaczę. Dzień jest dla szarego tłumu. Żeby się trudził. Bo czemże ma się odróżnić pan z towarzystwa od hałastry, pytam się, proszę?..

HRABIA — Panie Boresza! On pana naśladuje!

RYMWID — Z tego zaś wynika najjaśniej w świecie, że praca jednych uszlachetnia innych!

NUNA — To nie jest inteligentne dowodzenie. (*do Bronki*). Co pani się stało? Odrazu straciła pani humor.

ZAHORSKI — Wlaziłem jak piłat w credo i zepsułem państwu zabawę.

HRABIA (*żegna się z Bronką*) — Do widzenia pani...

BORESZA — Hrabia odchodzi?

HRABIA (*do Boreszy*) — Ja tu powrócę, panie Boresza, i będę miał nawet do pana interes.

BORESZA — Bardzo proszę...

(*hrabia wychodzi*).

SCENA 5.

CIŻ bez HRABIEGO

(*Chwila milczenia*).

NUNA (*do Bronki*) — Niech pani powie jeszcze coś zabawnego.

BRONKA (*nerwowo*) — Pani sądzi, że ja ciągle i zawsze muszę kogoś bawić?

NUNA (*dotknięta*) — Myślałam, że jako gospodyni...

BRONKA — Zawsze bywa najgorzej, kiedy pani zaczyna myśleć.

NUNA (*urazona, wstaje*) — Z panią nigdy nie wiadomo, czego się trzymać.

BRONKA (*szydlerczo*) — Nawet tak inteligentna osoba, jak pani?

RYMWID (*do Nuny*) — Moja droga...

NUNA (*przerywa*) — Jeśli chcesz, możesz zostać. Ja idę... (*do Bronki, majestatycznie*). Żegnam panią.

(*Bronka kłania się jej zdaleka*).

SAPERNICKA (*usiłuje udobruchać Nunę*) — Bronka od rana dzisiaj bardzo rozdrażniona.

(*Nuna wychodzi, wyprowadzona przez Sapernicką*).

RADOMYSKI (*bierze na bok Boreszę*) — Mój drogi,

wstąpi do Mankiela i pogadaj, czyby mi nie dał na kredyt tej egrety.

BORESZA (*niechętnie*) — Wątpię. Dziś nie wiem, czy będę miał czas.

(*Rymwid przez ten czas żegna się z Bronką*).

RYMWID (*do Zahorskiego*) — Idziesz z nami?

BRONKA (*podaje rękę Radomyskiemu*) — Pan Zahorski zostaje.

RYMWID (*do Radomyskiego*) — Czuć w powietrzu burzę. Umykajmy.

RADOMYSKI (*pół poważnie, pół żartem*)—Ja z panią muszę pomówić serjo.

BRONKA (*drwiąco*) — Sama obietnica już mnie napełnia radością.

ZAHORSKI — Cóż to za tajemnice? Może byłoby lepiej, żebym się wyniósł z Rymwidem?

BRONKA — Nie, nie. Tamto może poczekać.

RYMWID i RADOMYSKI — Do widzenia! (*wychodzą*).

BORESZA (*do Zahorskiego*) — Obiecałem Sapernickiej partję pikiety. (*zagląda do przedpokoju*). Nie ma jej. Pewno czeka w jadalnym? (*wychodzi*).

SCENA 6.

BRONKA — ZAHORSKI

(*Chwila milczenia*).

ZAHORSKI — Niezupełnie zrozumiałem, co miał znaczyć twój list. Chciałaś się ze mną widzieć?

BRONKA (*walczy ze wzruszeniem*) — Tak. Od owej sceny w gabinecie nie byliśmy nigdy sami. Mo-

zemy się rozejść, prawda? Nie potrzebujemy od siebie uciekać.

ZAHORSKI — Tak. (*po krótkim namyśle*). Mnie się zdaje, że ty już wiesz. Proszę cię, musimy mówić, jak para przyjaciół. Ty znasz najlepiej moje położenie. Musiałem zdecydować się. Innego wyjścia dla mnie nie było... (*po chwili*). Żenię się.

BRONKA (*z udanym spokojem*) — Z panią Weyrichową?

ZAHORSKI (*j. w.*) — Tak. (*chwila milczenia*). Było mi z tobą bardzo dobrze. Wierzaj mi, umiałem odczuć twoje... dobre serce, twoje... przywiązanie. Ale to dłużej trwać nie mogło. Ostatnie przejścia, sama rozumiesz... (*urywa*).

BRONKA (*j. w.*) — Jakie przejścia?

ZAHORSKI (*j. w.*) — Jestem zrujnowany. Kredyt wyczerpany do dna. Poprostu nie mam z czego żyć! (*zmiana tonu*). Słuchaj Bronka, rozstańmy się w przyjaźni. Ja nie zapomnę nigdy...

BRONKA (*szorstko*) — Czego?

ZAHORSKI — I skoro tylko będę mógł... (*zbliza się niej*). Nie gniewaj się...

BRONKA — Czy zrujnowałeś się dla mnie?

ZAHORSKI — Tego przecież nie powiedziałem... Ale rezultat jest ten sam. Ta nieszczęśliwa pożyczka Meergolda była ostatniem ostrzeżeniem!

BRONKA — I dlatego sprzedajesz się pani Weyrichowej? Od niej możesz przyjmować pieniądze, ona może płacić?

ZAHORSKI (*przerywa*) — Będzie moją żoną.

BRONKA — Ale ty jej nie kochasz. Nie możesz jej kochać. I dlatego to jeszcze większe brudy.

ZAHORSKI — Moja droga, proszę cię, mówmy spokojnie.

(chwila milczenia).

BRONKA *(po chwili wewnętrznej walki, miękko)*
— Olu! *(siada przy nim).*

ZAHORSKI — Co?

BRONKA *(nieśmiało)* — Czy to już nieodwołalne?

ZAHORSKI *(niechętnie)* — Sama wiesz najlepiej, że innego wyjścia nie mam.

BRONKA *(j. w.)* — Bo ja... ja mogłabym od ciebie nic nie potrzebować. Wróciłabym do magazynu. Mogłabym zarabiać... uczciwie. Ty, z twojami zdolnościami... stosunkami... znalazłbyś dobrą posadę... *(ze łzami w głosie)*. Widzisz, to przyszło tak nagle! Ja nie umiem dobrze powiedzieć...

ZAHORSKI *(szorstko)* — Nie możesz żądać, abym poświęcił całą swoją przyszłość.

BRONKA *(przerywa)* — Żebyś poświęcił swoją przyszłość?

ZAHORSKI *(łagodniej)* — Rozejdziemy się w przyjacielni.

BRONKA *(twardo)* — Ja nie potrzebuję twojej przyjacielni *(śmieje się sztucznie)*. Ha! ha! Jaki ty jesteś głupi!

ZAHORSKI *(dotknięty)* — Co to ma znaczyć?

BRONKA *(j. w.)* — Nic, nic! Nie obawiaj się, przyjacielu!

ZAHORSKI — Z czego się śmiejesz?

BRONKA (*nagle poważnie*) — Z ciebie, i z siebie...
Albo raczej nie. Tylko z siebie. Masz słuszość.
Každy powinien iść swoją drogą. Tyś wybrał
dla siebie najwłaściwszą. Gdy nie możesz utrzy-
mywać, idziesz sam na utrzymanie. To ja tylko
byłam głupia. Mnie się roilo... ha! ha. Bardzo
zabawne! Edukacja świetnie przeprowadzona!
Dziękuję! (*zmiana tonu*). Zdaje się, że powiedzie-
liśmy sobie wszystko?

ZAHORSKI — Myślałem, że okażesz mi więcej
serca.

BRONKA (*oburzona*) — Serca? (*idzie ku niemu wy-
zywająco*). Ty śmiesz to powiedzieć? Ty?

ZAHORSKI (*cofa się*) — Proszę cię... nie unosi się.
Możesz być pewną, że skoro będę mógł... nie bę-
dziesz miała powodu skarżyć się na mnie.

BRONKA (*szyderczo*) — Pieniądze pani Weyricho-
wej? Owszem... Naturalnie. Dobre rachunki
tworzą dorbych przyjaciół... A ty chcesz, byśmy
trwali w przyjaźni.

ZAHORSKI (*bierze kapelusz*) — Przykro mi, że się
żegnamy w ten sposób. Do widzenia! (*kłania
się zdaleka*).

BRONKA — Nie podajesz mi ręki? (*Zahorski, po
chwili wahania, zbliża się do niej, podaje rękę.
Bronka potrzęsa nią ironicznie*). Do widzenia,
przyjacielu! (*śmieje się*).

(*Zahorski szybko wychodzi, Bronka nagle przestaje
się śmiać, patrzy na drzwi i rzuca się na szezłag,
kryjąc twarz w poduszkach*).

SCENA 7.

BRONKA — BORESZA

BORESZA (*zagląda do Bronki, poczem zbliża się do niej*) — Bronka! Co tobie? Powiedział ci? (*chwila milczenia*). Szkoda łez, Bronka! Opa-miętaj się. Szkoda łez!

BRONKA (*podnosi głowę*) — Czy pana kto prosi o pociechę? Niech pan idzie grać w pikietę z Sa-pernicką.

BORESZA (*poruszony*) — Mogę wyjść zupełnie i nie powrócić

BRONKA (*idzie przed lustro*) — Wolna wola.

(*Boresza robi parę kroków ku drzwiom, zatrzymuje się*).

BORESZA — Jesteś niesprawiedliwa. Ja wiem, że jestem stary i do niczego...

BRONKA (*lekceważąco*) — Przedewszystkiem bardzo nudny!

BORESZA — Ty w tej chwili odczuwasz do wszystkich odrazę... wstręt. Inaczej być nie może. Dla tego, choć wyrządzasz mi przykrość, nie mogę się gniewać.

BRONKA — Pan jest taki sam, jak i wszyscy.

BORESZA — Właśnie, że nie... To jest... śmiesznie się przyznać, we mnie zmieniło się wiele. (*zazęnowany*). Tyś chyba musiała spostrzedz... Wielokrotnie chciałem z tobą mówić. Bałem się, że nie będziesz chciała mię zrozumieć.

BRONKA — Już teraz pan nie potrzebuje o mnie się

lękać. Pańskie dobroczynne rady i zbawienne wskazówki zrobiły swoje. Trzeba tylko było, żeby tam, gdzieś, coś pękło. Teraz będę grzecznie słuchała pana profesora. Widział pan, jak oni wszyscy koło mnie tańczą? Już nie będę szukała kafła z pieca, gwiazdki z nieba. Będziecie mieli Bronkę taką, o jaką wam chodziło. Pan sam się zadziwi, jak ja pojętnie będę stosowała pańskie nauki.

BORESZA — Kiedy wszystko, co ja ci powiedziałem, było głupim, nędznym fałszem!

BRONKA (*zdumiona*) — Fałszem?

BORESZA — Oni tobą poniewierać będą... jak poniewierają mną, jak już sponiewierał cię Zahorski. Bronka... mnie wstyd przed tobą... szkoda mi cię...

BRONKA — Teraz ja będę nimi poniewierać. Będę kłamać, a oni będą modlili się do mnie o te kłamstwa.

BORESZA — Ale, pytam się, proszę, czy to ci da szczęście?

BRONKA — Czego pan właściwie odemnie chce?

BORESZA — Słuchaj. Kiedyś byłem, jak oni... jak Radomyski.

BRONKA — Może jak Zahorski?

BORESZA — Nie skrzywdziłem nikogo. Potem powinna mi się noga. Wystugiwałem się im.

BRONKA (*szydlerczo*) — Zjadał pan dobre kolacje, prowadził pan Nunę lub mnie do cyrku.

BORESZA (*z szczerym bólem*) — Nie mów tak... Pamiętaj, człowiek może nisko spaść, przecież

zostają w nim ludzkie uczucia. Nie skrzywdzi-
łem nigdy nikogo. Ale swojej poniewierki nie
czułem. Odczułem ją dopiero teraz.

BRONKA — Teraz?

BORESZA — Gdy ten... łądak tak postąpił z tobą.

BRONKA — Niechże pan powie nareszcie, do czego
to wszystko zmierza?

BORESZA — Mówiłaś nieraz, że w magazynie czu-
łaś się szczęśliwa, że niedostatek cię nie trwoży.
Ja... nie wstydzilibym się teraz pracy. Jakies
zajęcie przecież bym znalazł.

BRONKA (*patrzy nań długo, nagle wybucha śmie-
chem*) — Choćby w chatce, byle z nim! Drogi
panie! Za późno... Pańskie nauki, poparte do-
świadczeniem, wywarły swój wpływ. (*chwila
milczenia*). Ha! ha! Jaki pan jest śmieszny!

BORESZA (*zmieniony*) — Ja od ciebie nic nie chcę.
Źle mię rozumiesz. Pragnąłbym tylko...

BRONKA — Jaki pan śmieszny! Pan teraz dopiero
jest tak samo głupi, jak ja byłam niedawno!..
Cóż warte pańskie długoletnie doświadczenie,
praktyka życiowa? I skąd się panu to wszystko
wzięło?... Nie, nie, kochany „panie Dominik“,
nie tędy dla nas droga! Pan sam nie wierzy...

BORESZA (*cicho lecz poważnie*) — Wierzę.

BRONKA — Ale ja — nie. Tak niedawno mówił
pan inaczej!

BORESZA — Nie zdawałem sobie sprawy. Przywy-
kłem do myśli, że jesteś z Olesiem, że kochasz
go. Lecz teraz, gdy przychodzą hrabia — Rado-
myski.

BRONKA (*naśladuje go*) — Hrabia jest bardzo bogaty. Radomyski gra w karty, a z człowiekiem, który gra w karty, kobieta ma się dobrze.

BORESZA — To, co wydawało mi się mądrością, było tylko nędznym głupstwem.

BRONKA — Zapóźno, panie drogi, zapóźno.

(w przedpokoju dzwonek).

BORESZA — To hrabia. Mówił, że wróci... (*błagalnie*). Bronka!

BRONKA — Niech mi pan nie zawraca głowy.

(Sapernicka uchyla drzwi jadalni).

SAPERNICKA — Pan Radomyski przyszedł przez kuchnię. Chciał dowiedzieć się, czy jesteś sama.

(służąca uchyla drzwi od przedpokoju).

SŁUŻĄCA — Pan hrabia pyta, czy pani sama?

BRONKA — Niech ciocia poprosi go tutaj. (*do służącej*). Proś!

(poprawia włosy przed lustrem. Boresza szuka kapelusza. Jednocześnie od przedpokoju i od jadalni wchodzi hrabia i Radomyski).

HRABIA (*trzyma w ręku pudełko z egretą*) — Nareszcie znajduję panią samą.

RADOMYSKI (*trzyma w ręku pudełko z egretą*) (*równocześnie*) — Skradam się do pani, jak złodziej.

HRABIA i RADOMYSKI (*spostrzegają się wzajemnie*) — A!...

BRONKA (*wybucho śmiechem*) — Jacy wy jesteście śmieszni.

(*powitania*).

BORESZA (*nerwowo*) — Do widzenia. (*wychodzi*).

RADOMYSKI (*zdziwiony spogląda na wychodzącego Boreszę*) — Co jemu się stało?

BRONKA (*śmieje się*) — Skończył moją edukację i odchodzi.

Z a s ł o n a s p a d a .

K O N I E C .

SPIS RZECZY

	str.
Noc Sylwestrowa	7
Zmartwienie p. Hammelbeina . .	125
Edukacja Bronki	227

INSTYTUT
BADAN LINGWISTYCZNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-230 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-62-31 w. 42



<http://rcin.org.pl>

F

1833